

VALDEMAR BALDHEAD

PERFIDIA



VALDEMAR BALDHEAD

PERFIDIA

Krajowa Agencja Wydawnicza

„Liber”

Kraków 1991

Projekt okładki i stron tytułowych:
MAREK PIETRZAK

© Copyright by Waldemar Łysiak, Kraków 1991

ISDN 83-03-03218-6

Opracowanie graficzne:
Aleksander Kornijasz

Redaktor:
Lidia Solska

Redaktor techniczny:
Elżbieta Biały

Korekta:
Joanna Kulawik



Krajowa Agencja Wydawnicza,

Kraków 1991
Wydanie II.

***Perfidia nie może być grzechem
cóż bowiem podlejszego nad
bezradność lub nudę?***

(Waldemar Łysiak)

Część I

BYŁ SOBIE POLICJANT...

*Dobry policjant nie dostrzega tego,
czego nie musi dostrzegać i koncentruje się
tylko na sednie sprawy.*

(Napoleon w liście do ministra policji,
generała Savary'ego, październik 1813)

FACET O ŁADNYM NAZWISKU

Śliczna była ta dziewczyna. Kiedy stanęła w drzwiach do jego gabinetu, Lessepsa zatkało. Widział w swym życiu wiele pięknych dziewczyn i niektóre udawało mu się zdobyć, a jedna zdobyła go kawałkiem złota na palcu, ale ta!

Pasowała do magnetycznego głosu, który przed godziną dobiegł go ze słuchawki i nie pozwolił zbyć czymkolwiek albo odesłać do kogoś z podwładnych. Cała. Od płazowych sandałów na stopach aż do złotych włosów, poprzez pośladki, brzuch i piersi, takie właśnie, jakie lubił – optymalne.

Początkowo, gdy zaczęli rozmawiać, nie tyle on się odzywał, ile jego policyjna rutyna; on był zajęty czymś innym – patrzył na dziewczynę jak głodomór na chleb i sycił jej widokiem bezwstydnymi myślami. Ale trwało to bardzo krótko, do chwili, kiedy powiedziała coś, co zatkało go po raz wtóry i kazało przestać myśleć o jej ciele, a skoncentrować się na słowach.

– Pan inspektor Lesseps? – spytała na wstępie i nie czekając na odpowiedź wyrzuciła z siebie: – Strasznie trudno dostać się do pana, czy to jest bunkier, a może pan jest Marlonem Brando? Co?!... Podobno policja jest w służbie społeczeństwa, czy nie tak się pisze?! Co?! A jak coś trzeba, jak się chce...

– Osiągnęła pani przecież to, co chciała, przyjąłem panią, chociaż powinien był to uczynić oficer dyżurny.

– Ten pański oficer przez pół godziny nie chciał mnie z panem połączyć, to jakiś brutal! Gdybym miała sprawę do oficera, to nie zawracałabym głowy panu!... A może znowu mnie oszukujecie, co? Czy pan jest na pewno inspektorem Lessepsem?

Lesseps odesłał ruchem ręki funkcjonariusza, który ją przyprowadził, i powiedział:

– Tak, to ja. Proszę usiąść – wskazał krzesło stojące przed biurkiem – panno...

– Marchi, Adrianna Marchi, panie inspektorze.

– To prawdziwe nazwisko?

– Dlaczego pan wątpi?

– Bo wymyślała je pani o dwie sekundy za długo. Kłamać trzeba bez zastanawiania się, z marszu, jak powiadają żołnierze, albo mówić prawdę. A więc to fałszywe nazwisko?

– Fałszywe, niech panu będzie! Ale ładne. Ja wiem, że nie tak ładne jak pańskie, ale...

– Dlaczegoż to moje jest takie ładne?

– Jak to dlaczego? Przecież to francuskie nazwisko i do tego tak się nazywał ten... no ten, nie pamiętam, ten marszałek Napoleona, który podbił Saharę, czy... zaraz, czy czasem nie ten facet, który pierwszy przeleciał Atlantykę? Nie! Już wiem! To ten, który wymyślił kolej!... Zgadłam?

– Niezupełnie, panno Marchi.

– Nie?... Aaaa, no jasne, ale jestem głupia! Przecież to ten od szczepionki przeciw ospie! Co?... Znowu?... Ale już blisko, prawda? – zapytała z nadzieją w głosie.

– Prawda. Ten facet wybudował Kanał Sueski.

Dziewczyna zrobiła obrażoną minę i zamilkła, ale tylko na moment.

– Możliwe, wszystko jedno. Ale miałam rację, że to była gruba ryba...

Lesseps skinął głową z tą samą powagą, jaką zachowywał dotychczas.

– Tak miała pani rację. Możemy wobec tego przejść do celu pani wizyty. Proszę mi powiedzieć, o co chodzi.

– Zaraz powiem, ale jak się nazywam naprawdę, tego nie powiem, bo gdybyśmy się nie dogadali, to pan szybko odnalazłby mojego brata i zamknął go. A tak, ustalenie kim naprawdę jestem zabierze panu tyle czasu, że już będzie po wszystkim, chyba, że zastosuje pan tortury, inspektorze...

Uśmiechnęła się i Lesseps też się uśmiechnął. Do niej, ale też i z jej naiwności. Odpowiedział z galanterią:

– Ależ droga pani, nie jestem wielbicielem praktyk markiza de Sade. Torturowanie pani byłoby torturą dla mnie. Zresztą tortury wyszły już w naszym kraju z mody, a szkoda, bo czasami trudno je zastąpić... No, ale przejdźmy do rzeczy. Z czym pani przychodzi?

Dziewczyna sięgnęła do sznurkowej torebki i podała mu strzępy gazety.

– To kawałek „Il Messagero” sprzed pół roku, panie inspektorze. Wyrwałam go ze zszywki bibliotecznej.

Przez chwilę przyglądał się z uwagą jej dłoni, starannie wypielęgnowanej, z jaskrawo polakierowanymi paznokciami, a następnie wziął poółtkły, zadrukowany świstek i zaczął czytać. Poznał od razu: prasa trąbiła wówczas przez miesiąc o ukradzionym arcydziele Rafaela. Wielkie czarne litery: *Policja na tropie Madonny z...* Poczul, że drży. Cóż warta była ta dziewczyna w porównaniu z *Madonną* Rafaela? Gdyby ją odzyskał, mógłby przeskoczyć do Interpolu... Opanował się i znowu się uśmiechnął, kryjąc w ten sposób podniecenie.

– Nie przyszła chyba pani po to, by błagać o karę za zniszczenie zbiorów bibliotecznych? – zażartował.

Ale tym razem nie podjęła pałeczki. Uśmiech zgubił się gdzieś w głębi jej oczu i to, co powiedziała, zabrzmiało bardzo poważnie:

– Chce pan odnaleźć to płótno czy nie?!

Odpowiedział machinalnie:

– Tak, chcę.

– O tym samym marzą wszyscy policjanci Europy...

– Wiem.

– ...ale szansę ma tylko pan, teraz. Ja jestem tą szansą.

Lesseps odkaslnął, by złagodzić suchość gardła. Opuścił dłonie, by nie widziała, jak drżą.

– Nic pan nie powie? – spytała.

– Na razie nic, słucham. Co może pani zrobić w tej sprawie?

– Bardzo dużo. Mogę sprawić, że stanie się pan dla tłumu – żywym wcieleniem Maigreta. Mianuję pana bohaterem narodowym, a prezydent uściśnie pańską genialną dłoń w błysku fleszów!

– To rzeczywiście bardzo dużo. Pani jest czarodziejką czy aktualną właścicielką obrazu?

– Powiedzmy, że to drugie. W każdym razie mogę panu oddać Rafaela, inspektorze.

– Tak po prostu?

– Tak po prostu, panie inspektorze. Plus połowa nagrody, którą otrzyma pan od rządu włoskiego.

Lesseps zastanawiał się przez chwilę, po czym rzekł:

– Powiedzmy, że się zgadzam. Gdzie jest...

– Nie tak szybko, panie inspektorze! Ja nie mam tego płótna, ale wiem, gdzie ono jest. Dowiedziałam się od brata. On sam nie mógł do pana przyjść, boi się, że go śledzą.

– Kto go śledzi, panno Marchi? Kumple? Nie udało wam się sprzedać arcydzieła, bo żaden kolekcjoner nie jest takim idiotą, by pakować miliony w skradziony unikat, znany nawet dzieciom z podręczników, czy tak? Ukradliście i znaleźliście się w kłopotcie, pomyśleliście więc, że dobra i połowa nagrody dla znalazcy...

– Nie zgadł pan, panie inspektorze! Ja i mój brat nie jesteśmy złodziejami i nie maczaliśmy palców w tej aferze... To znaczy brat tak, tylko, że zmuszono go do tego przed miesiącem za pomocą pistoletu!

– Kto go zmusił?

– Ci, którzy dokonali rabunku. Myślę, że to mafia.

Lesseps odchylił się wraz z fotelem i zaczął bębnić palcami po blacie biurka. Wiedział, że teraz już nie może popuścić i zastanawiał się, jak to rozegrać, żeby jej nie spłoszyć, nie przedobrzyć w jedną ani w drugą stronę.

Podniósł wzrok i spojrzał ostro w twarz dziewczyny, nadając głosowi ton twardszy o jedną nutę:

– Wszystko pięknie, panno Marchi, ale dlaczego bandyci wybrali sobie akurat pani braciszka? Podobał się z profilu?!

Dziewczyna poderwała się z krzesła.

– Proszę nie drwić, bo odejdę i niczego się pan nie dowie!

– Nie odejdzie pani. I to wcale nie dlatego, że mógłbym panią zatrzymać. Jeżeli rzeczywiście jesteście niewinni, to musicie być w podbramkowej sytuacji i pani obecność tutaj jest tego najlepszym dowodem!

– Ma pan rację, ale jeśli mi pan nie pomoże, zwrócę się do kogoś innego. Muszę uratować brata, muszę! Jeżeli pan nie przystanie na moje warunki...

– Jakie warunki? Polowa nagrody? W porządku, dostanie ją pani.

– To nie o to chodzi, panie inspektorze. Te pieniądze to... to przy okazji... Rozumie pan... jesteśmy biedni – powieki dziewczyny zaczęły drżeć.

Mamma mia, rozpłacze się! – pomyślał Lesseps.

– Ja... chciałabym, żeby pan, dowiedziawszy się o wszystkim, nie zamykał mojego brata, a jednocześnie, żeby pan odebrał ten obraz, by oni... no wie pan, bandyci... żeby nie zorientowali się, że ich sypnął i nie zrobili mu krzywdy!

– Niewiele pani chce! Ni mniej, ni więcej, tylko wykiwać mafię! Drobiazg, jeśli to rzeczywiście mafia. Słyszała pani, żeby to się komuś udało?

Dziewczyna zatrzepotała rzęsami i otworzyła oczy jak przestraszone dziecko.

– Co takiego? Nie rozumiem...

– Rozumie pani dobrze! Widziała chyba pani w telewizji, co mafia robi z tymi, którzy zaczynają grać przeciwko niej! Orientuje się pani, że mafia ma swych ludzi wszędzie, nawet w policji, nawet w parlamencie! Skąd pani wie, że ja nie jestem mafioso?

– O Madonna, dlaczego pan mi to mówi?

– Bo jeśli ktoś przychodzi do mnie z propozycją wykiwania mafii, czuję smród i zjeżam się. Nie lubię być kiwany i to w grze, w której raz po raz robi się czerwono!

– Pan mi nie ufa? Dlaczego?

– Nie ufam nikomu, a musiałbym być szalony, żeby zaufać pani!

– Więc co ja mam robić, Boże, co mam robić?! – krzyknęła rozpaczliwie.

– Powiedzieć prawdę, to pani jedyna szansa!

– Przecież mówię, a pan... pan mnie straszy!

Teraz dopiero rozpląkała się i to tak bardzo, że rozpuszczony makijaż upodobnił jej twarz do oblicza umalowanej Indianki. Lesseps zrozumiał, że to wystarczy, i odezwał się łagodniej:

– W porządku, chciałem tylko sprawdzić, czy pani nie kręci. Proszę przestać płakać, porozmawiajmy spokojnie.

Ale dziewczyna nie przestała płakać, ukryła twarz w dłoniach i szlochała spazmatycznie. Lesseps poczuł się głupio. Wstał i podszedł do niej, kładąc dłoń na trzęsącym się konwulsyjnie ramieniu.

– No dobrze, już dobrze... na miłość boską, niech się pani uspokoi, już dobrze, no...

– A., a... ale... jeśli pa... pan... pan mówił, że... że mafia...

– Żartowałem. I z mafią dajemy sobie radę. Tu nie Sycylia, jesteście w Rzymie, panno Marchi.

– A... ale... mój... bra... brat... niech pan o... obieca, że... że... –

przeciskała z trudem słowa przez drżące wargi.

– Obiecuję to pani! – krzyknął Lesseps. – Tylko proszę przestać płakać! Obiecuję!... Jeśli powie pani wszystko, co pani wie i jeśli pani brat będzie z nami współdziałał, postaram się, żeby nie został zamknięty.

Powoli uspokajała się. Wytarła twarz rękawem półprzeźroczystej bluzki, pod którą nie było stanika, i powiedziała:

– Skąd mam wiedzieć, że pan dotrzyma słowa? Muszę mieć gwarancję.

– Gwarancję? Na miłość boską, kobieto, jaką mogę pani dać gwarancję?

– Przysięgnie pan na ten medalik z Matką Boską z Loreto. O, ten...

Rozchyliła wycięcie bluzki, ukazując złoty krążek zwisający na delikatnym łańcuszku.

– Proszę na nim położyć dłoń i przysięgnąć.

Oszalała czy kpi sobie ze mnie? – przemknęło Lessepsowi pod czaszką. Ale dłoń położył skwapliwie i powiedział: przysięgam – i starał się, by ta idiotyczna farsa trwała jak najdłużej. W końcu jednak musiał cofnąć rękę, wrócił na swoje miejsce i oświadczył:

– Drogie dziecko, wierzysz w takie gwarancje? Może jestem niewierzący, nie pomyślałaś o tym? Albo, co gorsza, może jestem wierzącą kanalią, dla której taka przysięga to tyle, co splunąć? Wreszcie, do licha, jestem gliną! Może się okazać, że mam kiepską pamięć...

– Wierzę, że ma pan dobrą pamięć, panie inspektorze. I że nie zapomni pan o mnie i o naszym spotkaniu, kiedy przyjdę odebrać z pańskich rąk połowę nagrody. Nie będę się wówczas spieszyła do domu...

Uśmiechnęli się do siebie. Lesseps był zły, że nie potrafi opanować pożądania i że wypelza mu ono na gębę w takiej chwili, ale było już za późno.

Bąknął głupio:

– To miło, że przejawia pani takie zaufanie do mojej pamięci.

– Pan ma znakomitą pamięć, panie inspektorze, to jest moja gwarancja. A tak na poważnie, to muszę komuś zaufać, bo mój brat jest rzeczywiście w krytycznej sytuacji.

– Co mu grozi?

– Mówiłam już, grozi mu śmierć. Proszę posłuchać. Ta historia zaczęła się przed kilkoma miesiącami, kiedy... zaraz, lepiej zacznę od początku. Wie pan, że za osiem dni w Nowym Jorku zaczyna się festiwal kultury włoskiej...

– Wiem.

– ... i że w ramach tej imprezy odbędzie się wystawa awangardowego malarstwa włoskiego?

– Coś słyszałem na ten temat.

– Mój brat to Roberto Roberti!

– I to jest pani prawdziwe nazwisko?

– Nie, Roberti to jego nazwisko artystyczne, taki pseudonim, który stał się nazwiskiem. Jest pod nim znany w całej Europie, miał już kilkanaście wystaw, dostał dwa medale, w tym jeden złoty... Co, nie słyszał pan?!... Przecież Roberto to czołowy przedstawiciel grupy ekspansjonistów!... Nie?... No, trudno, to teraz nieważne. Chodzi o tę wystawę. To będzie wielka ekspozycja, największa ze wszystkich wystaw malarstwa nowoczesnego, jakie nasz kraj urządził po wojnie za granicą. Wysyłamy do Stanów ponad trzysta płócien dwudziestu kilku artystów. Będzie tam osiemnaście płócien Roberta i dwanaście Kamila Lomazzo. O nim też pan nie słyszał, panie inspektorze?

– Przykro mi, ale też nie... Wie pani, praca w policji nie pozostawia zbyt wiele czasu na śledzenie osiągnięć współczesnego malarstwa. Przyznam się zresztą, że nie bardzo je rozumiem, widziałem trochę, ale... Wolę mistrzów renesansu... no, może jeszcze co nieco Picassa. Opera, to co innego, kocham się w niej i ona zabiera mi tę odrobinę

wolnego czasu, którym dysponuję. Proszę więc nie egzaminować mnie dalej, przejdźmy do sedna sprawy.

Dziewczyzna wzruszyła ramionami.

– Wcale nie chciałam pana egzaminować. Jeśli to tak wyglądało, to przepraszam. Też nie jestem za wielką mądrałą, sam pan widział, że nawet nie pamiętałam, iż ten Lesseps zbudował Kanał Panamski. A już na operze to w ogóle się nie znam... No więc, jeśli chodzi o tamto, to spytałam, czy słyszał pan o Lomazzo, bo chodzi o jeden jego obraz, który namalował Roberto. Nosi nazwę *Uniwersalna introspekcja* i jest jednym z eksponatów tej wystawy.

– Nie rozumiem – przerwał Lesseps. – Kto w końcu namalował ten obraz, Lomazzo czy pani brat?

– Formalnie Lomazzo, ale w rzeczywistości Roberto.

– Szalenie proste, ale ja dalej nie rozumiem.

– Zaraz pan zrozumie, panie inspektorze. Ten obraz Roberto namalował na *Madonnie* Rafaela!

Lesseps zagwizdał przez zęby.

– Ślicznie! Obraz wyjedzie do Stanów jako płótno współczesne...

– Właśnie.

– Czy to zamalowanie nie uszkodziło Madonny?

– Nie. Przedtem pokryto ją specjalnym lakierem, który bez trudu i bez szkody dla arcydzieła można usunąć. Odbiorca w Ameryce po prostu zdejmie z wierzchu *Uniwersalną introspekcję*, potem zmyje lakier i będzie miał Rafaela bez najmniejszych uszkodzeń.

– Kto jest tym odbiorcą?

– Tego nie wiem, pewnie jakiś bogaty kolekcjoner. Roberto też nie wie, on tylko wykonał zamówienie, a oni...

– Zaraz, a rewers obrazu?

– Naklejono na nim nowy len, czyli z obu stron dzieło jest nowe.

– Ale mając tyle warstw stało się zbyt grube. To może zwracać uwagę.

– Nie, panie inspektorze. Lomazzo maluje nawarstwieniami, każde jego dzieło jest wręcz trójwymiarowe i bardzo ciężkie.

Lesseeps pokiwał głową z uznaniem.

– Wszystko przewidziane... Jestem pełen podziwu, panno Marchi, to ładny numer. I rozumiałbym już prawie wszystko, gdybym jeszcze wiedział, dlaczego brat pani pokrył *Madonnę* malowidłem w stylu Lomazzo, a nie swoim? Czy chodziło tu tylko o trójwymiarową technikę tamtego?

– Nie tylko, panie inspektorze. Lomazzo nie żyje już od trzech lat.

Roberto pomyślał, że jeśli nastąpi jakaś wyspa, to władze nie będą się czepiać jego... Był ostrożny, to dlatego.

– Byłby ostrożniejszy, gdyby w ogóle tego nie zrobił.

– A co, miał dać się zabić?!... Przyszli do niego kilka miesięcy temu. Trzech. Mieli ze sobą Rafaela. Kazali go zamalować. Obiecali milion lirów...

– To niewiele.

– To bardzo dużo, panie inspektorze, bo zagrozili Robertowi śmiercią, gdyby się sprzeciwiał. Cóż miał robić?... Był na tyle sprytny, że zamalował to w manierze Lomazza, im wszystko jedno. Najprawdopodobniej ukradli Rafaela na zamówienie jakiegoś teksańskiego nafcjarza i do tej pory czekali na okazję wywiezienia arcydzieła za ocean.

– No proszę, z pani doskonały detektyw.

– Ależ nie, ja tylko...

– Chwileczkę, coś tu nie gra, panno Marchi. W jaki sposób udało im się włączyć *Uniwersalną instrospekcję* do prac wysyłanych na wystawę? Przecież wyboru eksponatów musiała dokonywać jakaś komisja. Poza tym prace znanych malarzy są chyba katalogowane. A tu nowe płótno spadło jak z nieba i co? Nikogo nie zdziwił ten cud? Mało się znam na malarstwie, ale tego nie pojmuję. Przyzna pani, że to dziwne.

– Nie tak bardzo, panie inspektorze. Sam pan powiedział, że mafia ma wszędzie swoich ludzi. Zresztą nie trzeba było dokonywać wielkich wysiłków. Lomazzo był samotnikiem, trochę kopniętym na dodatek. Prawie nie wystawiał. Od czasu jego śmierci wciąż są odkrywane nowe płótna. To dlatego między innymi Roberto wybrał jego manierę. Byli przyjaciółmi, chociaż różnili się jak dzień i noc... A może właśnie dlatego? Roberto świetnie zna technikę pędzla i wszystkie tajemnice warsztatu Kamila, lepiej niż ktokolwiek inny na świecie.

Lesseps zamyślił się. Wszystko, co powiedziała, brzmiało wiarygodnie. Karkołomna historia, ale tak bezbłędnie dograna w szczegółach, że czuło się rękę mafii. Sprawdzi się to rentgenem w kilka minut i jeśli pod bohomasem jej braciszka będzie rzeczywiście Rafael, to pan inspektor Lesseps zmieni etykietkę i może miejsce pracy. W Interpolu pojawią się drzwi z nowym nazwiskiem na metalowej plakietce. Jeden sławny Lesseps już był... A do tego nagroda, dwie nagrody, bo jej tak zależy na bracie, że obiecała nie spieszyć się, kiedy będą potem dzielić pierwszą... Ależ musi być fantastyczna bez tych szmatek, to też się sprawdzi...

– Wskażecie mi, gdzie jest płótno? – spytał.

– Nie, nie tak, panie inspektorze, to byłby wyrok dla Roberta.

– Więc co mam robić?

– Odebrać je podczas kontroli celnej. Niech pan tak wszystko urządzi, żeby to było przypadkowe odkrycie.

– Niezły pomysł. Kiedy ta wystawa odpływa do Nowego Jorku?

– Nie odpływa, lecz odlatuje. Za trzy dni, z Fiumicino. Specjalny jet-747 zabierze prace i artystów. Roberto leci z nimi. Ta wystawa to największa szansa w jego życiu...

– Pani chce żebym puścił brata do Stanów? Przecież po odkryciu próby wywozu ukradzionego obrazu będę musiał przymknąć całą ferajnę!

– Nie wystarczy, że przymknie pan komisarza wystawy? Wątpię zresztą, czy rząd zgodziłby się na odwołanie takiej imprezy. Lomazzo nie żyje, więc trudno go karać, dlaczego zaś inni mają cierpieć za niego i jego nieznanymi mocodawców?

Po raz pierwszy popełniła błąd. Zdziwiło go to.

– Myli się pani, panno Marchi. Dla każdego będzie rzeczą oczywistą, że to nie Lomazzo namalował swoje dzieło na płótnie Rafaela, bo rabunku dokonano pół roku temu, a Lomazzo nie żyje już od... powiedziała pani, że od trzech lat?

– Tak... Rzeczywiście, ma pan rację, inspektorze. Ale to niczego nie zmienia. Potrzebne będzie specjalne śledztwo, żeby stwierdzić kto dokonał tego przestępczego czynu. Nic nie będzie wskazywało na to, że dokonał go któryś z artystów odlatujących do Nowego Jorku, dlatego więc mieliby zostać ukarani zatrzymaniem w Rzymie. Poza tym, powtarzam panu, władze nie będą chciały dopuścić do skandalu, jakim byłoby niewątpliwie odwołanie wystawy. Taka kompromitacja i uszczerbek na prestiżu...

Spojrzał na nią z uznaniem. Na wszystko miała odpowiedź. Nie rozumiał jeszcze tylko jednego.

– Nie lepiej było zainkasować od nich pieniądze i cicho siedzieć? – spytał. – Dlaczego zdecydowała się pani wyjawić wszystko policji? Przecież nie z poczucia obywatelskiego obowiązku.

– Nie, panie inspektorze, ze strachu. Im też zależy na tym, żeby cicho siedzieć, a jeśli udałoby się wywieźć Madonnę, jej nowy właściciel kazałby zabić Roberta, który byłby jedną z nitek do kłębka.

Podając rękę na pożegnanie spojrzała mu głęboko w oczy. Odprowadził ją do drzwi, po czym zamknął je i stał przez chwilę bez ruchu. Widział wielkie tytuły gazet: *Inspektor Lesseps odzyskuje stawne arcydzieło...*, a potem siebie i ją w garsonierze.

Pięciu mężczyzn poderwało się z krzesel, gdy do wytwornego apartamentu na dwudziestym piętrze wieżowca przy 5-th Avenue wkroczył siwowłosy, podpierający się laską starzec w ciemnych okularach. Spoczął w fotelu, a jeden z mężczyzn podszedł doń, ucałował z czcią w upierścienioną rękę i powiedział, wskazując palcem:

– Oto nasz nowy rzymski łącznik, padre. Artysta–malarz, duży cwaniak. Wpadł na genialny pomysł, dzięki któremu rzymskie gliny pomogły nam przerzucić towar nie mając o tym zielonego pojęcia. Nawet przed laty, kiedy jeszcze nie mieli na wszystkich lotniskach tych piekielnych maszynek do wykrywania narkotyków, nawet wtedy nie przewieźliśmy ani razu takiej porcji heroiny za jednym zamachem!

Starzec siedział bez ruchu, jakby spał i jakby słowa mówiącego nie docierały doń. Jego twarz była martwa, przypominała marmurową rzeźbę, którą nadmorski wiatr wyźłobił, rysując w niej głębokie, ciemne bruzdy. W okularach odbijało się światło kandelabrow. Za tymi dwoma szkiełkami żyły oczy. Usta nagle drgnęły i rozległy się słowa, ciche i anielsko łagodne:

– Zbliź się, chłopcze.

Malarz zbliżył się z szacunkiem i pochylił głowę, tak jak pochyła głowę głuchy. Starzec podał mu rękę do ucałowania i powiedział:

– Jesteś zdolny, synu, to dobrze. Młodzież dzisiaj traci czas na głupstwa, mało jest zdolnych dzieci... Jak ci na imię?

– Roberto, padre.

– Skąd pochodzisz

– Z Neapolu, padre.

– Z Neapolu... Taaak, z Neapolu... Piękne miasto, piękne. Giorgio mówi, że jesteś zdolny...

Stojący obok mężczyzna krzyknął:

– Padre, on jest cudotwórcą, jak mi Bóg miły! On...

Starzec przerwał mu ruchem ręki i szepnął:

– Zapamiętaj, Giorgio, że cuda czynił tylko Pan nasz, Jezus Chrystus, nikt inny. Zapamiętaj chłopcze, dobrze?

W oczach mężczyzny mignęło śmiertelne przerażenie. Wybąkał:

– Tak, padre, tak... przepraszam... to się nie powtórzy, padre!

Starzec zrobił głową ruch, który mógł oznaczać dezaprobatę lub przebaczenie.

– Człowiek ma język nie po to, by bluźnił Panu Bogu i by używał imienia Jego nadaremno, lecz by dziękował Mu za Jego nieskończone miłosierdzie i prosił o przebaczenie za grzechy, którymi zachwaszczone jest nasze życie doczesne. Jesteś młody, Giorgio, i popędliwy, czemu gniewasz Pana naszego, Który rzekł: nie używaj imienia Pana Boga twego nadaremno?

– Padre, ja... ja nie chciałem... to się już nigdy nie powtórzy, nigdy...

Mężczyzna stał drżąc. Cisza trwała nieznośnie długo. Przerwał ją w końcu, pytając pokornie:

– Czy mam mówić dalej, padre?

Mów, Giorgio, mów.

– No więc to było tak. Pół roku temu Roberto rąbnął obraz, którego nie można opylić, bo nie ma na niego ceny i zbieracze boją się. Potem zachlapał go po swojemu i wetknął w obrazy swego zmarłego kumpla. Te obrazy przyleciały wczoraj jetem z Rzymu na włoską wystawę. Ale już bez tego zachlapanego. Roberto podpuścił gliny i taki jeden inspektor Lesseps przymknął cały transport na dwa dni. Ten Lesseps myślał, że jest cholernym mądralą, bo prześwietlił nie tylko ten obraz, ale wszystkie inne też. Te inne były czyste, padre, więc je puścił, bo wystawa musi się odbyć, tylko że...

– I nie aresztował nikogo? – spytał starzec.

– A jakże, aresztował. Komisarza wystawy! Ha, ha, ha, ha... Artystów nie ruszył, bo za co? Zresztą nawet gdyby chciał, to by nie

mógł tego zrobić, bo rząd nie chciał skandalu. Nie mogli odwołać tej wystawy, to dla nich wielki numer. No więc puścili te obrazy, a że policja trzymała je przez dwa dni i obrabiała rentgenem, nikomu nie przyszło do głowy, żeby je potem macać maszynkami do wykrywania narkotyków! Prosto z biura Lessepsa przetransportowano je do jeta. To jest pomysł, co? Dziś w nocy nasi chłopcy odwiedzili magazyn wystawy i wydostali heroinę z ram. Jest tego cała fura!

Po ustach starca przeleciał skurcz, który mógł być uśmiechem. Znowu milczał i wszyscy stojący obok szanowali to milczenie, starając się nawet nie oddychać zbyt głośno. Odetchnęli, kiedy się odezwał:

– Gdzie jest ten towar, Giorgio? Czy dostał go doktor Peel?

– Tak, padre! Sprawdza go w laboratorium, zaraz będzie wynik.

– Przetransportujesz go jutro, Giorgio. I nie zapomnij, że cena się zmieniała.

– Pamiętam, padre. To już załatwione.

Starzec odwrócił się w kierunku malarza.

– Jesteś zdolny, synu. Neapolitańczycy są zdolni. Cieszymy się, że jesteś zdolny. Będziemy o tobie pamiętać... Poczekaj teraz obok, Giorgio cię odprowadzi. Do zobaczenia, synu...

Roberto ucałował pomarszczoną zimną dłoń i wyszedł do sąsiedniego pokoju. Mężczyzna, który mu towarzyszył, zamknął za sobą drzwi i rozluźnił się w szerokim uśmiechu, jakby spadł z niego ciężki, żelazny gorset. Zapalił papierosa i poklepał malarza po ramieniu.

– No, pięknie poszło, padrone jest zadowolony. Człowieku, masz przyszłość przed sobą! Napijesz się? Campari? Martini? Stuknęli się kieliszkami. Mężczyzna spojrzał na zegarek.

– Kiedy Peel przyniesie ekspertyzę, zapłacimy wam zgodnie z umową. Kto odbierze forszę, ty?

- Nie, jutro przylatuje don Ruffo, on jest od tego.
- Ile będziesz z tego miał?
- Wystarczająco dużo, by kupić sobie dom w Amalfi, urządzić kilka wystaw i opłacić najlepszych krytyków. A wystarczająco mało, żeby nie zaprzestać podróży do was.
- To świetnie, padrone lubi pracować z łebskimi chłopakami. Kiedy będziecie mieli nową partię towaru?
- Nie wiem, don Ruffo wam powie. Chyba nieprędko, w Turcji źle się dzieje, a z Birmy daleka droga. Ja jestem tylko od główkowania nad przerzutem do was.
- No i masz łeb, nadajesz się do tego! Tym razem ładnie rzecz rozegrałeś, ale to numer nie do powtórzenia.
- Wiem – Roberto Roberti uśmiechnął się szelmowsko – tylko że ja mam jeszcze kilka takich pomysłów, wcale nie gorszych.

Śliczna była ta dziewczyna. Kiedy stanęła w drzwiach jego garsoniery, Lessepsa ogarnęło poczucie spełnionego sukcesu. Widział w swym życiu wiele pięknych dziewczyn i niektóre udawało mu się zaliczyć, ale ta! Ta była wyjątkowa. Pasowała do magnetycznego głosu, który zapamiętał, cała, od płazowych sandałów na stopach aż do złotych włosów, które wiły się na ramionach, poprzez tę samą półprzeźroczystą bluzkę i nagie piersi, takie właśnie, jakie uwielbiał, optymalne. Rano zrobiła śniadanie i zaczęła się zbierać.

– Kiedy ci wypłacą nagrodę, kochanie? – spytała. – Myślę, że zanim dostaniesz awans, a powinieneś dostać lada chwila.

– Nie wiem – odpowiedział. – Wiesz jak to jest, papierki, podpisy. Biurokracja jest silniejsza od policji.

Roześmiała się na cały głos i potargła mu włosy czułym gestem.

– Teraz ty jesteś silniejszy od wszystkich, a dzięki komu?...No?

Dzięki swojej sarence, bezwstydniku! Do czego mnie doprowadziłeś? Deprawator!

Pogroziła mu palcem, udając gniew, i roześmiali się oboje.

– Najlepiej wyszedłeś na tym zdjęciu w „L’Europeo”, ale na okładce w „Epoca” też dobrze. A ci Francuzi, ho, ho! „France Soir” zrobiło z ciebie Napoleona policji! To mi się podoba! Mówiłam ci, że masz ładne nazwisko i wiedziałem, że to przyniesie ci szczęście! Wiesz, wycięłam sobie te zdjęcia i przyszpiliłam jedno na macie w pokoju, nad łóżkiem, a drugie na półeczce obok lustra w łazience. Ale to niesprawiedliwe! Na tej okładce jest obok ciebie *Madonna* Rafaela, a powinna być inna dama! Nie wiesz czasem, która? Co, draniu?

– Wiem, wiem – odburknął. – Ciągle się zastanawiam, czego masz więcej, ambicji czy urody?

– Mam po prostu ambitną urodę, co ty na to?

– Nic. Kiedy znowu przyjdiesz?

– Kiedy będziesz mógł oddać mi moją połowę. Nie bujaj, że nie wiesz kiedy!... No?... Przyznaj się, sławny człowieku, kiedy zgarniesz ten rozkoszny szmal?

Lesseps odwrócił się do okna, wsadził ręce w kieszenie piżamy i pomyślał, że szkoda takiej ślicznej dziewczyny. Był zły i trwał w tej złości, nie mogąc się zdecydować. A kiedy już się zdecydował, odwrócił się i powiedział powoli, wymawiając słowa zgłoska po zgłosce:

– Wyplącaj mi tę forszę za kilka dni, ale ty nie dostaniesz ani jednego lira!

Tak jak przypuszczał, uśmiechnęła się głupio i zaraz, kiedy zrozumiała, że to nie był żart, usta się jej zwężyły, a oczy poczęły napełniać gniewnym zdziwieniem, które przeradzało się w nienawiść, w miarę jak mówił dalej. Mówił zaś w złośliwy sposób, bo już nie można było inaczej, bo wszedł na tę ścieżkę, na której bije się batem, chociaż to boli także bijącego.

– Ani lira! – powtórzył. – Wtedy, kiedy do mnie przysłaś, dałem się nabrać. Za bardzo mi się podobałaś. Ale na początku naszej rozmowy włączyłem magnetofon. Taki zawodowy nawyk, kochanie, odruch warunkowy. Dopiero następnego dnia przesłuchałem taśmę, i to kilkakrotnie, i przemyślałem sobie wszystko od nowa. I wówczas zwróciłem uwagę na jeden drobiazg, który wcale nie był drobiazgiem... Przewidziałaś wszystko i na wszystko miałaś gotową odpowiedź, ale jedna z tych odpowiedzi była tak głupia, że musiałem to zauważyć. Powiedziałaś, że gdyby wywieziono Rafaela, nowy właściciel kazałby zabić twego brata, aby mieć gwarancję zachowania tajemnicy. Wątpliwa teza, ale nie o to chodzi, lecz o to, że przecież odkrycie, jakiego mi kazałaś dokonać na lotnisku, musiałoby właśnie spowodować taką reakcję mafii obawiającej się drobiazgowego dochodzenia. Gwarancją bezpieczeństwa dla mafii byłoby wówczas przede wszystkim zamordowanie twego braciszka. Nie mogłaś ty, która reagowałaś jak komputer, nie wziąć tego pod uwagę, a jeśli nie wzięłaś, to znaczy, że kłamałaś. Tak to sobie wytłumaczyłem i dlatego pogrzebałem gdzie trzeba... Tak więc popełniłaś błąd, układając scenariusz, lub też popełnili go inni, którzy ci go ułożyli. Kosztowny błąd.

– Nieprawda! – krzyknęła histerycznie. – O czym ty mówisz, o czym ty mówisz?!

– Ciągłe o tym samym, kochanie, że nie dostaniesz ani jednego lira! Skreśl więc tę pozycję z planu, bo mam dla ciebie jeszcze smutniejsze informacje. Twój brat nie żyje, co jest niewątpliwie nokautem dla współczesnego malarstwa, któremu trudno będzie się odrodzić po takiej katastrofie. Ty zniesiesz to lepiej, gdyż nie darzyłaś braciszka zbyt gorącym uczuciem, w każdym razie lepiej niż wiadomość, że twój kochanek, zastępca szefa siatki neapolitańskiej, również przeniósł się do Hadesu. Wiesz, co to jest Hades?... Może spróbujesz zgadnąć, tak jak z tym Lessepsem, co to

był marszałkiem Napoleona i wymyślił kolej, szczepionkę oraz proszek na udawaną głupotę!... Odebrało ci mowę, kochanie?

– Zamordowałeś ich! Zabiłeś ich, ty świnió, ty skurwysynu, ty podły, śmierdzący glino! Ty... ty... ty...

Doskoczyła do niego i biła z furją pięściami, aż wykręcił jej rękę i pchnął na łóżko.

– Nie, to ty ich zabiłaś przychodząc do mnie. Nie wszyscy śmierdzący gliniarze są baranami, których można jeszcze bardziej ogłupić kilkoma łzami, gołym cyckiem i kręcącą się dupą, chociaż mnie niewiele brakowało! Zabiłaś ich realizując ten cholernie mądry plan, który ułożyliście, więc pociesz się, że masz w tym tylko skromny udział, wmów sobie, że oni są samobójcami! Przedwczoraj znaleziono ich ciała na nadbrzeżu w Nowym Jorku, w stanie, hm... trochę niekompletnym. Byli pokrojeni jak świnki na haku. Mafia im zapłaciła. Mafia to solidna firma, zawsze dobrze płaci. Chcesz wiedzieć za co? Za cukier w proszku, który próbowali jej sprzedać jako heroinę.

Dziewczyna leżała bezwładnie, z palcami zaciśniętymi na poduszce, po policzkach płynęły jej łzy. Teraz były to łzy autentyczne, prawdziwej rozpacz, nie miał co do tego wątpliwości.

– Jeśli płaczesz ze strachu, że cię wsadzę i że stracisz młodość w pierdłu, to niepotrzebnie. Posłuchaj uważnie, bo to jeszcze nie wszystko. Wasz szef potrzebuje teraz na gwałt towaru, by wypełnić zobowiązania wobec nowojorskiej centrali. Jeśli się nie wywiąże, to pewnie w ciągu tygodnia albo dwóch mafia zapłaci i jemu, rozumiesz? W dwa tygodnie nie uda mu się zorganizować po raz drugi takiej partii heroiny, bo skąd? Słuchasz mnie uważnie? Teraz powiem najważniejsze, najważniejsze dla ciebie i dla twojego szefa. Skontaktujesz się z nim i powiesz, że ja go uratuję. Dostarczę mu tę heroinę. Po tej samej cenie, jaką zapłacił uprzednio swoim dostawcom i tę samą ilość, bo wyjąłem z obrazków wszystko, co do

grama. Za cukier, którym nafaszerowałem ramy, nie musi mi zwracać, wliczyłem to w koszty własne, mam gest. Powinien mi być wdzięczny, bo daję mu szansę uratowania głowy. I niech nie próbuje żadnych sztuczek, bo może się to dla niego źle skończyć! Ja zaś obiecuję, że dotrzymam umowy, jeśli chcesz, mogę przysiąc na twój medalik. Chcesz, kochanie?

BESTSELLER

Spał ciężko, męczony majakami, budząc się co godzinę lub dwie. Śnił mu się adwokat Loftman, nagi, szukający rozpaczliwie swojego ubrania. Nagle Loftman ujrzał go i wytrzeszczył oczy. Patrzyli na siebie przez chwilę w milczeniu, potem Loftman otworzył usta i zaczął krzyczeć bezgłośnie, wskazując ręką w kierunku wysokich drzew, za którymi widać było fasadę olbrzymiego staroświeckiego gmachu. Cooley chciał pobiec w tym kierunku, lecz Loftman zastąpił mu drogę, budynek zaczął unosić się w powietrze jak balon, stawał się coraz mniejszy i mniejszy, aż zniknął wśród chmur. Na jego miejscu, za kolumnadą drzew, stał teraz mężczyzna ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami i patrzył na Cooleya zimnym wzrokiem. Cooley poczuł, jak ogarnia go strach przed tym człowiekiem, którego wzrok przewiercał mu ciało.

Obudził się spocony i oddychał ciężko, by zaraz zapaść ponownie w sen o tym samym tajemniczym mężczyźnie z laserowym wzrokiem.

Nad ranem wyrwały go ze snu buciory strażnika dudniące w korytarzu posępnym echem. Strażnik zatrzymał się na wysokości jego celi. Teraz zgrzyt judasza czy zamka? Zgrzyt zamka. W otwartych drzwiach zobaczył „brudasą”.

– Cooley! Idziemy!

Wstał i przeciągnął się, ziewając głośno. Strażnik powtórzył:

– Idziemy!

– Zaraz, muszę się umyć.

– Umyjesz się potem!

– Nie mogę, nie jestem brudasem.

Strażnik zsiniał i chwycił za rękojeść pałki.

– Idziesz, bydlaku, czy mam ci pomóc?!

Szli długim korytarzem centralnym w ciszy wypełnionej grzmoceniem obcasów o żelazne płyty galerii. Potem zeszli schodami na parter i skręcili w mniejszy korytarz, prowadzący do kancelarii „rodzinnej”. Minęli ją jednak. Więc dokąd?

– Dokąd idziemy? – spytał.

– Stul pysk! – padło w odpowiedzi.

Popatrzył na „brudasa” z nienawiścią i szedł obok, krok w krok, zastanawiając się nad celem marszu. Albo do gabinetu dyrektora... Ale o tej porze?... Albo... Znowu skręcili, tym razem w lewo. A więc do „adwokackiej”! Ale przecież mecenas Loftman zachorował przedwczoraj i mieli spotkać się ponownie nie wcześniej jak za dwa tygodnie. Co się, do diabła, stało?

Drobny człowieczek w źle skrojonym garniturze i w krawacie w pasowe koła podniósł się na ich widok. Miał bladą twarz i wąsy, które sprawiały wrażenie przyklejonych. Kiedy tamten na niego spojrział, Cooleyowi wydawało się przez chwilę, że czuje ten sam ból, który przeszył go we śnie. Człowieczek wyszczerzył zęby w uśmiechu i wyciągnął do Cooleya rękę, mówiąc:

– O’Brien jestem, miło mi, panie Cooley.

Miło mu, sukinsynowi, pewnie z jakiejś szmaty, amator wywiadu z „wampirem”. Loftman nie pozwalał pismakom kontaktować się z nim, ale korzystają z choroby Loftmana i już się zaczyna. Tacy wszędzie się wkręca. Parszywe pijawki, cokolwiek by powiedział i tak przekręca, a ich redakcyjni koleś domalują na zdjęciach ociekające krwią kły do brody. Gównu dostaniesz, draniu, a nie wywiad. Nie podając ręki, odwrócił się do „brudasa” i powiedział:

– Nie będę rozmawiał z pismakami, chcę wrócić do celi!

– Nie jestem dziennikarzem, panie Cooley! – krzyknął O’Brien. – Chcę panu pomóc!

– Gównu! Zawsze tak mówicie! Dwa razy dałem się nabrać i więcej nie dam!

– Ależ ja naprawdę nie jestem z prasy, panie Cooley! Ręczę panu!... Chcę panu pomóc...

– Armia Zbawienia?

– Nie.

– No więc czego?!

– Przyszedłem tu w pańskim interesie, panie Cooley,...

– Tak z dobrego serca, co?

– O tym właśnie chcę z panem porozmawiać.

Nie wiedział, co odpowiedzieć tym razem. Czego chce ten szczur, co znowu kombinują?

O'Brien poprosił „brudasa” o pozostawienie ich samych. Strażnik wyszedł i zamknął drzwi na zasuwę.

– Zapali pan? – spytał O'Brien podsuwając mu pod nos złotą papierośnicę.

Camele. Cholerny świat, camele! Wyjął jednego i powąchał. Camel! Obudziły się w nim nowe podejrzenia. Tyle jest marek papierosów, a tu właśnie camele. Dlaczego nie marlboro, chesterfieldy, pallmalle czy jakiegokolwiek inne, tylko właśnie jego ulubione? Skąd wiedzieli? Pismaki wszystko wiedzą. O'Brien przypalił mu papierosa złotą zapalniczką i wskazał krzesło:

– Usiądźmy, panie Cooley, i porozmawiajmy.

Usiedli. Cooley oparł łokcie na kolanach i patrząc na podłogę zaciągnął się łapczywie.

– Jak już mówiłem, panie Cooley, bardzo mi miło poznać pana. Myślę, że nasza rozmowa przyniesie korzyści i mnie, i panu...

– Dlaczego? – spytał Cooley.

– Dlaczego myślę, że ta rozmowa...

– Dlaczego ci miło?

O'Brien uśmiechnął się nieszczercze.

– No wie pan, kiedy mnie jest miło, to i panu może być. Takie słowa robią atmosferę, a mnie zależy na tym, byśmy porozmawiali w miłej atmosferze.

– To nie do mnie z tym!

– Ależ panie Cooley...

– Miło ci rozmawiać z wampirem?! – warknął Cooley. – i mówisz, że nie jesteś pismakiem. Tylko im miło mnie czarować! Powiedziałem: nie dam się nabrać!

– Panie Cooley, całe życie dajemy się nabierać, nie ma sensu być zbyt pewnym. Ale ja nie jestem dziennikarzem, proszę mi wierzyć. Jestem adwokatem i chciałbym być pańskim obrońcą. Przede wszystkim jednak pragnę, by nie zwracał się pan do mnie per „ty”. To mnie razi. Winien pan wykazywać to minimum szacunku dla człowieka, który chce dać panu ostatnią szansę!

Miał już dość tego bezczelniaka. Zerwał się z krzesła i chciał zawołać strażnika, lecz w tej samej chwili kończący się papieros przypalił mu palec i przypomniał, że jeśli wyjdzie, to będzie tylko wspominał camele, a tak, podczas tej rozmowy, wypali jeszcze ze dwa. Rzucił peta na podłogę, przydeptał butem i opadł z powrotem na krzesło.

– Mogę zapalić? – spytał.

– Ależ tak, proszę bardzo! – O'Brien znowu błysnął mu przed nosem złotem i płomieniem.

– No więc, czego chcesz... czego pan chce?

– Już panu powiedziałem, panie Cooley. Chcę być pańskim obrońcą.

– Mam już obrońcę.

– Owszem, ale to obrońca z urzędu. Ściślej mówiąc – to człowiek, który odwala pańszczyznę i ma gdzieś pański interes. Nie jest specjalnie zainteresowany finansowo, a chociaż pańska sprawa to wielka sensacja, z rzędu tych, na których podczas procesu można

sobie zrobić nazwisko, w pańskim przypadku i ta możliwość odpada. Wymowa obciążających pana dowodów jest miazdząca, to sprawa z góry przegrana.

– Loftman ma inne zdanie.

– A co miał panu powiedzieć? Powiedział oczywiście, że ma pan szansę, to rytuał, Zresztą nawet gdyby tak było, pańska sprawa pozostawałaby wciąż loterią. Uniewinnienie lub więzienie do końca życia. W praktyce ma pan to drugie jak w banku.

– Więc po co, do jasnej cholery, chce się pan tym zająć?!

– Z chęci zarobku, panie Cooley.

– Co?! Od kogo chce pan zarobić? Ode mnie?

– Właśnie. I to dokładnie milion dolarów.

Cooleya zatkało. Wyjął papierosa z ust i spojrzał na tamtego jak na człowieka z Marsa.

– Panie...

– O'Brien. John O'Brien.

– Panie, pan...

– Nie, nie, wcale nie zwariowałem, panie Cooley.

– Przecież ja nie mam grosza przy duszy!

– To nie ma znaczenia, panie Cooley. Ważne, że może pan mieć. Może pan mieć trzy miliony dolarów.

W tym momencie zrozumiał. Przedstawiciel Starków! Wysłali cwaniaka, żeby jeszcze raz spróbował. Więc jednak pismak! Zanim wszakże zdążył powiedzieć O'Brienowi, żeby się nie wysiłał, bo to nic nie da, tamten, odgadując jego myśli, uprzedził go:

– Pan zapewne podejrzewa, że przychodzę od Starków? Nic podobnego. Powtarzam, jestem adwokatem i chcę być pańskim obrońcą.

– Ale pan wie?

– Owszem.

– Skąd?

– Wiem bardzo dużo, panie Cooley, bez tego nie przychodziłbym tu i nie robiłbym panu żadnych nadziei. Wiem że wydawnictwo Stark & Stark zaproponowało panu trzy miliony za napisanie pamiętników. To dla nich wielka gratka, teraz jest moda na perwersję. Taka seria mordów seksualnych na kilkunastoletnich dziewczynkach to złota żyła, superbestseller...

Cooley z twarzą wykrzywioną wściekłością podniósł się.

– Dość, ty gnoju! Nie będziesz mnie obrażał, nie jestem skazany. Straż...

O'Brien chwycił go za rękę.

– Cooley, idioto! Nie wołaj strażników, bo rzeczywiście zostaniesz skazany. Chcę ci dać szansę, durniu, już ci mówiłem, a ty wciąż jesteś głuchy, stawiasz się i nie dajesz mi skończyć!

Nasłuchiwali przez moment. Cisza. Usiedli.

– Uuuuuf! – sapnął O'Brien rozluźniając węzeł krawata i rozpinając kołnierzyk koszuli. – Nie dajmy ponosić się nerwom, panie Cooley, to bez sensu... Zaczniemy od nowa. powtarzam po raz trzeci: jestem pańską jedyną szansą, Cooley, jeśli jej pan nie wykorzysta, to zgnije pan w pierdłu. Nie obchodzi mnie, czy jest pan tym mordercą, czy nie, obchodzi mnie forsa, i to świadczy o mojej uczciwości. Naucz się pan, Cooley, że tylko ci, którzy otwarcie wyznają kult forsy, są względnie uczciwi. Reszta, ci od ideałów, bezinteresowności uczuć, filantropii – to banda szulerów. Interesuje mnie równy milion, panu zostaną dwa. Z takim kapitałem może pan wyjechać dokąd pan chce, choćby do Australii, zmienić nazwisko i żyć jak w raj.

– Ale ja przecież odrzuciłem ich propozycję.

– Wiem. W zasadzie uczynił pan słusznie, Cooley, wtedy nie mógł pan przyjąć tej propozycji. Teraz pan może.

– Nie mogę! – krzyknął Cooley. – Za nic!

– Spokojnie, panie Cooley, tylko spokojnie. Teraz pan może, a ja w tym panu pomogę.

– Nie mogę, nie zrobię tego! Przecież oni chcą tylko pamiętników zbrodźca-mordercy. Musiałbym przyznać, że nim jestem, a wówczas straciłbym ostatni cień szansy na uniewinnienie. Trzy miliony w pierdłu nie będą mi potrzebne, wolę zachować nadzieję na uniewinnienie. A uniewinniony jestem dla Starków bezwartościowy!

– Wprost przeciwnie, panie Cooley. Uniewinniony będzie pan dla Starków cenniejszy, a książka smakowitsza. Będzie pan mógł nawet zaśpiewać wyższą cenę. Wszystko to dowodzi, jak bardzo potrzebny jest panu dobry adwokat i jego dobre rady.

– Nie rozumiem, co pan...

– To z kolei dowodzi pańskiej słabej znajomości prawa obowiązującego w tym stanie. Otóż zgodnie z jego prawem człowieka można sądzić za jedno przestępstwo tylko jeden raz.

– No i co z tego? Wystarczy, że raz mnie skażą...

– Ale jeśli nie skażą, lecz uniewinnią, to już potem nie będą, mogli skazać, choćby pan był sto razy winien! W momencie gdy sąd ogłosi uniewinnienie, może się pan roześmiać na całe gardło i powiedzieć przysięgłym i sędziemu: frajerzy, zrobiliście się w konia, to ja zamordowałem i teraz będę się śmiał z was do końca życia! Oczywiście, tego pan nie zrobi, chociażby dlatego, że rozeźlony sędzia wsadziłby pana na kilka lat za obrazę trybunału.

– Ciągle nie rozumiem, panie...

– O'Brien. John O'Brien. Panie Cooley, chodzi po prostu o to, że po ogłoszeniu werdyktu uniewinniającego może się pan przyznać w prasie lub w książce do popełnienia zbrodni, za które pana sądzono, i nikt nie może panu nic zrobić. Władze są w takim przypadku bezsilne, nie wolno pana sądzić po raz drugi za to samo! Rozumie pan teraz?

– Nie.

– Nie? Czego pan nie rozumie, Cooley? Dla Starków pańskie

wspomnienia okraszone takim numerem będą bombą o jakiej nie śnili! Czego pan jeszcze nie rozumie?

– Nie rozumiem, jak pan dokona cudu. Sam pan powiedział, panie O'Brien, że to sprawa z góry przegrana... Pan myśli chyba o lekarzach, którzy zrobią ze mnie wariata. Słyszałem, że takie rzeczy można kupić, ale teraz już za późno. Badali mnie najlepsi specjaliści i orzekli, że mam wszystkie klepki w porządku. Ten numer nie przejdzie.

– Panie Cooley... czyż nie udowodniłem panu, że wiem wszystko? Jak mógłbym przeoczyć fakt, że pana już badali lekarze, których opinię trudno byłoby podważyć? Do diabła z psychiatrami! Wylądowałby pan w kukułczym gnieździe, w pokoju bez klamek, a przecież nie o to chodzi! Chcę panu zwrócić wolność!

– Więc w jaki sposób zamierza pan...

– Umówmy się, panie Cooley, że pana to nie będzie obchodzić. Ta sprawa jest z góry przegrana, jeśli broniał będzie Loftman, a oceniać będą zwykli, bezstronni przysięgli, czyli w kategoriach typowych. Tylko tak zwany przeciętny obywatel, czytający gazety i oglądający telewizję i stąd czerpiący wiedzę o wymiarze sprawiedliwości, wyobraża sobie, że machina sądowa kieruje się takimi przesłankami, jak na przykład wina czy niewinność oskarżonego. To są mity, panie Cooley, to są bajki dla naiwnych i dla głupców! Powiedziałem już, a może nie powiedziałem, wobec tego mówię teraz: nie obchodzi mnie, czy pan jest winny, czy też nie, chociaż wiem, że prawdą jest to pierwsze. Istotne jest, że w pańskiej sytuacji sama niewinność, nawet gdyby był pan rzeczywiście niewinny, nie odgrywa żadnej roli, Cooley! Nic by panu nie pomogła. Czy znane jest panu nazwisko Bailey?... Lee Bailey z Bostonu?

– Nie... chociaż, zaraz, coś mi się obilo o uszy, chyba czytałem coś, a może w radiu...

– Bailey to jeden z najślawniejszych obrońców w naszym kraju,

autor kilku świetnych książek. W jednej z nich, pod tytułem Obrona nigdy nie spoczywa na laurach, napisał: „Niewinność nie tylko jest słabą gwarancją pomyślnego dla oskarżonego wyniku rozprawy, ale – w miarę jak zaczynają się kręcić koła sprawiedliwości – staje się ona w coraz większym stopniu sprawą nieistotną”. To zdanie wszyscy adwokaci znają jak chrześcijanie dekalog.

– Czyli nie muszę być niewinny, nawet na sali...

– Panie Cooley. Gdybym podczas pańskiego procesu skoncentrował się na problemach winy i niewinności, zakończyłoby się to klęską. Ale wystarczy, że podważę ustalenia śledztwa, a do tego... do tego wśród przysięgłych będą ludzie panu przychylni, którzy...

– Przychylni mnie? Po tym co pisano i mówiono?

– Nie będzie to przychylność spontaniczna, panie Cooley ale, nazwijmy ją: zaprogramowaną przez... zresztą to już nie pańska sprawa. Przysięgłych bierzemy na siebie.

– Bierzecie?... O kim pan mówi, O'Brien?

– Pan jest wciąż zbyt ciekawy, panie Cooley. Wie pan dokąd prowadzi zbyt ciekawość? Czasami lepiej nie wiedzieć wszystkiego, za to wiedzieć, że jeszcze się pożyje. Myślę o życiu na wolności. Bo na razie, Cooley, jest pan murowanym dożywotniakiem i dobrze pan o tym wie, jakkolwiek odsuwa pan od siebie tę straszną myśl, wierzy pan w jakiś cud, w coś, co pozwoli panu wyjść z pierdła na świeże powietrze. No i proszę, oto cud się zdarzył, przyszedł do pana O'Brien, który pomoże panu w odzyskaniu wolności. Innej szansy pan nie ma i nie będzie miał, a więc jaki ma pan wybór? Nawet jeśli mi pan nie ufa, to rezygnacja z moich usług nie powinna wchodzić w grę, chyba że wierzy pan zapewnieniom Loftmana. Z Loftmanem nie wygra pan tej sprawy, prędzej już mógłby pan wygrać na rowerze wyścig w Indianapolis. Słowem, nie ma pan wyboru. I to wszystko, co chciałem panu

zakomunikować, Cooley.

Popatrzył na więźnia pytająco, a nie doczekawszy się odpowiedzi, sam spytał:

– No jak, panie Cooley?... Proszę się zdecydować.

– Zgadzam się – powiedział Cooley.

– To bardzo rozsądna decyzja. A teraz niech pan napisze podanie z prośbą o zmianę obrońcy.

O'Brien sięgnął po teczkę, wyjął papier i podał Cooleyowi wieczne pióro mówiąc:

– Podyktuję panu.

– Uwzględnią? – spytał Cooley.

– O to niech pana głowa nie boli, Cooley. Czy zastanowi się pan nad tym, jak udało mi się uzyskać zezwolenie na rozmowę z panem i to sam na sam? Uda mi się jeszcze więcej. Będę się starał, by rozprawa nie była publiczna, argumentując, że rozszałały przeciw panu tłum wytwarzałyby nieprzychylną atmosferę i wpływał w ten sposób na sędziów przysięgłych. Ręczę panu, że doprowadzę do tego, iż rozprawa odbędzie się przy drzwiach zamkniętych, przez co nasi przysięgli będą spokojniejsi. Mogę bardzo wiele i to jest właśnie pańską szansą, Cooley. Milion dolarów to doprawdy niewiele za taką przysługę.

Cooley czuł, że rodzi się w nim coś, o co się modlił przez wszystkie dni spędzone w celi, jakaś wielka radość, gorączkowa nadzieja na zwycięstwo.

Dotknął ręką swej koszuli – była cała mokra, pot przylepił ją do ciała. Chciał tańczyć, śpiewać, krzyczeć ze szczęścia, upić się, zwariować, oszaleć! Z trudem uspokoił rozdygotane nerwy i wziął pióro w palce, potem podniósł głowę znad stołu, spojrział w twarz adwokata i zadał ostatnie pytanie:

– Panie O'Brien, jaką ma pan gwarancję, że dostanie pan ten milion, że po uniewinnieniu, zakładając, iż pan rzeczywiście tego

dokona, nie wystrychnę pana na dudka?

– Największą, Cooley, jaką można mieć – odpowiedział O'Brien. – To, że nie będzie pan chciał wystrychnąć się na trupa. Mógłby pan uciec przed wszystkimi policjantami świata, ale nie przed nami. Nasi ludzie będą pana pilnować dzień i noc, aż do wypłaty. Nie ma takiego miejsca w kosmosie, w którym mógłby się pan przed nami schować. Teraz niech pan pisze i niech pan zaprzestanie snucia głupich myśli.

Dziesięć dni później, wczesnym rankiem, „brudas” zabrał go do umywalni. Tam dopilnowano, by Dick Cooley wziął prysznic, po czym zaprowadzono go do fryzjera. O godzinie dziesiątej, ogolony, w czystej koszuli i w garniturze, wsiadł na podwórcu więziennym do karetki policyjnej i pojechał na rozprawę w towarzystwie trzech funkcjonariuszy.

Po raz pierwszy od dwóch miesięcy oglądał miasto i ludzi w barwnych strojach. Codzienne życie rozmazywało się za okienkiem z pancerną szybą jak na przyspieszonej taśmie filmowej. Wkrótce i on wtopił się w ten tłum, już niedługo...

Samochód zatrzymał się przed dużym, szarym budynkiem z klasycystycznym portykiem i wielkimi schodami prowadzącymi do kolumnady. Gdzieś już widział ten budynek, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie i kiedy. Nie miał zresztą czas przypominać sobie. Wprowadzono go po schodach do wysokiego hallu, nad którym wisiał plafon z jakimiś mitycznymi postaciami w rydwanach, potem znowu po schodach do korytarza z czerwonym dywanem, gdzie mały orszak obskoczyła grupa dziennikarzy.

Podsuwali Cooleyowi pod nos mikrofony, strzelali fleszami, przekrzykiwali się wzajemnie. Policjanci rozepchnęli ich i przez poczekalnię wprowadzili go na salę rozpraw. Cooley z satysfakcją

skonstatował, że jest on prawie pusta, nie licząc tych kilku przedstawicieli prasy, którzy wbiegli za nim i usadowili się z notesami i magnetofonami.

O'Brien powitał go reklamowym uśmiechem, potrząsnął jego dłonią i poklepał po ramieniu, po czym powiedział głośno, tak żeby wszyscy słyszeli:

– Proszę być spokojnym, panie Cooley. Sprawiedliwości na pewno stanie się zadość!

Cooley pochylił się ku niemu i spytał szeptem:

– Długo to potrwa?

– Są procesy, które ciągną się miesiącami – mruknął O'Brien grzebiąc w notatkach – ale ten przy odrobinie szczęścia może się skończyć dzisiaj. Na to samo liczy prokurator Jenkins, tylko że on wierzy w moc zebranych przez siebie dowodów, a ja postaram się wykazać, że są to pseudodowody. Mam dla niego kilka bonusów, które powinny zepsuć mu humor. Proszę się nie niepokoić.

Cooley spojrział w prawo, na człowieka, który miał go oskarżać. Jenkins był szpakowatym przeciętniakiem o wydatnym brzuchu. Żuł gumę z niezmaconym spokojem i bawił się długopisem, stukając nim w otwarte akta. Nagle odwrócił głowę i ich spojrzenia się spotkały. Po grzbiecie Cooleya przebiegł dreszcz strachu.

Pierwsze dwie godziny zabrało odczytywanie aktu oskarżenia i kompletowanie ławy przysięgłych. Wybrano dwunastu z siedemnastu kandydatów, przy czym wszystkich odrzuconych wyeliminował Jenkins.

Cooley wiedział, że nie ma to żadnego znaczenia, gdyż wszyscy kandydaci zostali uprzednio „zrobieni”.

W ciągu następnej godziny, podczas której przesłuchiowano grupę lekarzy i kryminologów, O'Brien stał się kilkakrotnie z Jenkinsem w drobnych sprawach natury formalnej. Potem Jenkins wprowadził do gry swoje najpotężniejsze atuty. Na brzegu paska jednej z

zamordowanych dziewcząt znaleziono fragment odcisku kciuka, który kryminalodzy policji stanowej zidentyfikowali jako odcisk Cooleya. Wówczas sprowadzony z Nowego Jorku przez O'Briena ekspert federalny, profesor Brian Cooper, oświadczył, że fragment ten w żadnym wypadku nie może służyć jako niezbity dowód. Owszem, wykazuje on pewne cechy podobieństwa do odcisku Cooleya, lecz tylko porównanie pełnych odcisków mogłoby pełnić rolę dowodu. Cooper powołał się na precedensy z lat 1927 i 1949. Pierwszy z nich był wstrząsający – człowiek, skazany na podstawie fragmentu odcisku na krzesło elektryczne, został uniewinniony na dwa dni przed egzekucją, gdy znaleziono prawdziwego mordercę, lecz w wyniku przeżytego szoku postradał zmysły. Oświadczenie Coopera wywarło na przysięgłych duże wrażenie.

Ta porażka nie zdeprymowała Jenkinsa. Za paznokciami innej zamordowanej znaleziono zakrzepłą krew. Dla każdego oskarżyciela byłoby to przysłowiową gwiazdką z nieba, chodziło bowiem o bardzo rzadką grupę krwi, a Cooley podczas aresztowania miał ślady zadrapań na twarzy i co najważniejsze – posiadał tę właśnie grupę krwi. Lecz O'Brien udowodnił, że w okresie, kiedy popełniano zbrodnie, szeryf w pobliskiej miejscinie zatrzymał, niestety tylko na jedną noc, niejakiego Melwina Thorpa, włóczęgę, z identyczną grupą krwi. Nie była to, rzecz prosta, rewelacja – nie była dopóty, dopóki O'Brien nie przedstawił dokumentów wykazujących, w jakiej okolicznościach Thorpowi zbadano krew. Nastąpiło to przed jedenastu laty w Chicago, Thorp był wówczas podejrzany o zgwałcenie i zamordowanie nieletniej dziewczynki! Zwolniono go z braku dowodów. Wśród dziennikarzy i przysięgłych rozległy się głośne szmery rozmów, sędzia musiał uciszać salę.

Wszystko, co działo się potem, dalsze przesłuchania i nawet błyskotliwe skompromitowanie przez O'Briena jedyne go świadka, kobiety, która widziała Cooleya na miejscu zbrodni, nie miało już

znaczenia. Jenkins wyraźnie spuścił z tonu, nadrabiał miną, ale jakoś bez przekonania, zmałał, stał się statystą. Jego przemówienie było bezbarwne, pozbawione pewności siebie i dynamiki. Za to O'Brien strzelił retorycznym fajerwerkiem, przeplatany często wspominkami o tragicznych pomyłkach sądowych. Gdy skończył, dziennikarze, ku zdziwieniu Cooleya, bili brawa.

Późnym popołudniem przysięgli wrócili z krótkiej narady i na pytanie: „Guilty or not guilty?“, ich przedstawiciel odpowiedział zdecydowanie:

– Not guilty!

Cooleyowi wydawało się, że śni. Patrzył na O'Briena jak na cudotwórcę i po raz pierwszy odwzajemnił uśmiech uśmiechem.

Rzucili się ku nim dziennikarze. Zanim zdążyli dobiec, O'Brien szepnął:

– Niech pan się jeszcze nie przyznaje, Cooley. Nie teraz! Lawina pytań, którymi ich zarzucono, docierała doń z trudem przez barierę oszołomienia. Odpowiadał jak automat plotąc, co tylko ślina przyniosła mu na język i cały czas myśląc o tym, że jest wolny, że cały ten koszmar jest już za nim i nigdy nie powróci. Wolny, wolny, wolny!!! W pewnym momencie O'Brien krzyknął:

– Dosyć, panowie, na dzisiaj. Mój klient jest wyczerpany i musi odpocząć. Mogę wam jednak obiecać, że za kilka dni złożę sensacyjne oświadczenie!

W odpowiedzi wybuchnął wulkan pytań i chóralny jęk zawodu, kiedy O'Brien, trzymając Cooleya pod ramię, rozepchnął tłumek i pomaszerował do bocznego wyjścia. Dziennikarze pobiegli z wrzaskiem za nimi, lecz woźny sądowy zastąpił im drogę i zamknął drzwi za O'Brienem i Cooleyem.

Znaleźli się w małym przedsionku wyłożonym drewnianą boazerią, która tłumiała dźwięki. O'Brien poprowadził go do następnych drzwi, po przekroczeniu których zatrzymali się u wylotu

wąskiego, nisko sklepionego korytarza. Korytarz sprawiał wrażenie ciemnego tunelu. Gdzieś daleko, na jego końcu, jaśniało blade światelko. Cooleya ogarnął dziwny niepokój. Nagle spostrzegł, że O'Brien nie trzyma już jego ręki. Odwrócił się i zobaczył, że obok nie ma nikogo. Nacisnął klamkę u drzwi – były zamknięte. Naparł na nie i zaczął szarpać klamkę, lecz drzwi ani drgnęły. Odwrócił się ponownie i oparł o nie plecami.

Korytarz wypełniała posępna cisza. Było w niej coś takiego, że Cooley poczuł, jak zaczyna mu cierpnąć skóra. Oderwał plecy od drzwi. Światelko na końcu korytarza wabiło go do siebie. Ruszył powoli, starając się iść jak najciszej, lecz każdy krok wydobywał z betonowej posadzki głośny zgrzyt.

Światelko stawało się coraz większe i większe. W połowie drogi zauważył, że jest to niewielkie okno umieszczone pod sklepieniem. Stało tam dwóch mężczyzn, których głowy rysowały się ostro na tle szyby. Chciał zawrócić, ale drugi kraniec korytarza tonął w ciemności. Poszedł dalej jak nakręcona lalka.

Kilka metrów przed oknem zatrzymał się. Wówczas mężczyźni podeszli do niego. Ręce mieli schowane w kieszeniach długich płaszczy.

– Cooley? – spytał jeden z nich.

– Tak... to ja – odpowiedział.

– Spieszysz się gdzieś, Cooley? – spytał drugi mężczyzna.

– Nie... ja... pan O'Brien zostawił mnie tutaj...

– O'Brien już nie tęskni do ciebie, jego rola się skończyła. Teraz my się tobą zajmujemy.

Poszedł za nimi bez słowa. W podziemnym garażu czekał samochód z szoferem przy kierownicy. Mężczyźni posadzili Cooleya między sobą, na tylnym siedzeniu, i dali szoferowi znak. Miasto pławiło się w świetle neonów.

– Jestem głodny – powiedział Cooley – nie jadłem od rana.

Mężczyzna siedzący po prawej stronie stuknął szofera w ramię.

– Zajedź do Mc Donalda, Joe!

Zatrzymali się na parkingu przed barem Mc Donalda.

– Co ci wziąć? – spytał ten z prawej.

– Wszystko jedno...

– Może być Big Mac z frytkami?

– Tak... może dwa, jestem bardzo głodny...

Mężczyzna wysiadł z wozu i wrócił po kilku minutach z dwoma pudełkami i torebką frytek. W drugiej ręce trzymał kubek napoju ze słomką.

Zawieźli go do willi na przedmieściu i zamknęli w małym pokoju bez okna, z jedną żarówką zwisającą z sufitu. Czekał tam ponad dwie godziny, siedząc przy stole, na którym leżały stare czasopisma. Kiedy usłyszał zgrzyt klucza w zamku, wstał. Ujrzał w drzwiach jednego z dwóch mężczyzn, którzy zabrali go z gmachu sądu i nieznanego łysielca z teczką pod pachą. Gangster wycofał się, a człowiek z teczką wszedł do pokoju i przedstawił się:

– Jestem Thompson, przedstawiciel Stark & Stark Editors. Umożliwiono mi kontakt z panem w celu omówienia spraw związanych z naszą poprzednią propozycją. Przystąpmy więc od razu do rzeczy.

– Dobrze – powiedział Cooley – przyjmuję waszą propozycję, ale na innych warunkach finansowych.

– To zrozumiałe – odrzekł Thompson, siadając i otwierając teczkę.
– W obecnej sytuacji...

– Zapłacicie mi cztery miliony dolarów!

Thompson spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Pan sobie kpi, Panie Cooley?

– Nie, po prostu podbiłem cenę.

Thompson zamknął teczkę i wstał.

– Wobec tego nasza rozmowa jest bezprzedmiotowa, żegnam

pana.

Cooley przestraszył się.

– W porządku – powiedział – zgadzam się.

– Na co pan się zgadza? Przecież jeszcze nie ustaliliśmy wartości kontraktu.

– Jak to nie?! Proponowaliście trzy miliony dolarów!

– Tak, ale sytuacja zmieniła się od tamtej pory.

– Co się zmieniło? Przecież nie splajtowaliście! Chcieliście dać trzy miliony...

– Teraz już nie chcemy. Interesowały nas wspomnienia zboczonego mordercy, a nie człowieka niewinnego. Ludzi niewinnych są miliony, gdybyśmy każdemu chcieli dawać grubą forszę za pamiętnik, to rzeczywiście splajtowalibyśmy w dwie doby. Teraz możemy panu zapłacić najwyżej sto tysięcy za opis śledztwa, podczas którego policja zrobiła z pana kozła ofiarnego i parawan swej nieudolności. To może być ciekawe, lecz już nie tak, jak autentyczne wspominki sadysty seksualnego. Gratuluję panu uniewinnienia, panie Cooley, ale nie będąc mordercą, nie jest pan dla nas zbyt cennym partnerem.

– Mylicie się... to ja zamordowałem te dziewczyny.

Thompson uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Niech pan da spokój, nie wydusi pan od nas ani centa więcej. Proszę się zwrócić z tym do konkurencji, może...

– Nie będę rozmawiał z żadną konkurencją! Chcę zrobić interes z wami i to zaraz!

– To proszę podpisać kontrakt na sto tysięcy i cieszyć się z tego, bo to i tak dużo.

– Dużo? Chcecie to dostać za darmo!

– Panie Cooley, nie mam czasu na takie rozmowy.

– Mówię panu, że jestem mordercą! – krzyknął Cooley. – To prawda!

Thompson wrócił do stołu i usiadł na brzegu krzesła.

– Coś panu powiem, Cooley. Może pan sobie być mordercą, albo nie, liczą się fakty zakodowane w świadomości społecznej. Sąd uwolnił pana od winy...

– Sąd został oszukany! Ci ludzie, którzy pana tu przyprowadzili, spreparowali ławę przysięgłych...

Tamten zachnął się i odezwał szorstko, wyraźnie już znużony utarczką:

– Mój panie, jutro cała prasa napisze, że jest pan czysty jak łąza! Ci sami, którzy do tej pory nazywali pana wampirem, teraz mianują pana ofiarą. Thorp interesuje nas bardziej niż pan, tylko gdzie go szukać?... No dobrze, załóżmy, że to prawda, co pan mówi, że jest pan mordercą, ale kto w to teraz uwierzy? Wszyscy pomyślą, że pan i my blefujemy dla zysku, że pański pamiętnik to czysta fantazja, humbug. Dzisiaj wielką forszę robi się na literaturze faktu. Myśli pan, że Capote zarobiłby tyle, ile zarobił, gdyby *Z zimną krwią* było fikcją? Wątpię, czy ktoś zechce kupić pańską książkę, jeśli będzie pan w niej udawał mordercę, wątpię więc, czy moi szefowie zechcą zainwestować w taki interes więcej niż sto tysięcy. W każdym razie muszę to z nimi przedyskutować. Damy panu znać. Bye!

Wstał i skierował się do drzwi. Cooleya oblał zimny pot Zrozumiał, co się stanie za kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt minut, gdy O'Brien, te dwa zbiry i ich szefowie pojmą, że trudzili się bezowocnie i nie dostaną ani centa. Kiedy tamten był już w drzwiach, Cooley zawołał:

– Chwileczkę!... Niech pan wróci!... Dam... Dam wam dowód!

Thompson spojrział na niego zaskoczony.

– Niech pan wróci – powtórzył Cooley cicho. – Udowodnię że jestem mordercą...

Tamten zawrócił niechętnie i nawet nie usiadł, czekał ze zniecierpliwionym wyrazem twarzy.

– Wskażę nie odnalezione do tej pory ciało ósmej dziewczuchy –

wyszeptał Cooley.

– Co?

– To co pan słyszy. Pokażę, gdzie zakopałem trupa.

– Ejże, to nie błąd? Nie mam czasu na...

– Mówię prawdę!... I co teraz, będę miał te trzy miliony?

– Jeśli pokaże pan ciało, natychmiast podpiszemy umowę i wypłacimy zaliczkę!

– Milion dolarów.

– Nie... nie dajemy takich wysokich zaliczek... może...

– Milion dolarów albo gówno zobaczycie!

– W porządku. Ale jeszcze dzisiaj chcę mieć dowód, że pan nie błądzi, Cooley. Niech pan poczeka, zadzwonię po kumpla z fleszem. Za pół godziny jedziemy!

O'Brien wrócił do domu późno w nocy. Anna nie spała, czekała na niego

– Zjesz coś? – spytała, kiedy zdejmował płaszcz.

– Dziękuję, nie jestem głodny. Napiję się piwa.

Sięgnął do lodówki, otworzył puszkę i powędrowawszy do salonu opadł ciężko na fotel.

– Jestem zmęczony...

– To kładź się spać. Znowu nie będę mogła cię dobudzić.

– Nie będziesz musiała, jutro nie idę do roboty.

– Wyjeżdżasz?

– Nie... Nie będę już pracował. Jutro przeczytasz w gazetach o mojej degradacji, może mnie nawet zamkną.

– John! Oszalałeś?!

– Nie, Anno.

– Coś ty zrobił, na Boga?

– Załatwiłem tego Cooleya.

– Ty? Przecież aresztował go porucznik Selby, mówiłeś, że tylko pomagałeś im w śledztwie...

– Tak, ale teraz włączyłem się na całego i to na własną rękę. Zbyt długo pracuję w policji, by nie wiedzieć, czym to się mogło skończyć. Mogli go uniewinnić. A ja go zmusiłem do przyznania się!

– To cudownie!

– Tak, ale... jak ci to powiedzieć?... Zrobiłem to poza prawem, złamałem prawo. To, co zrobiłem, jest przestępstwem.

– John, na miłość boską!

– Ktoś to musiał zrobić, Anno. Nie było takich dowodów, by można było mieć pewność, że się nie wywinie. Przy dobrym adwokacie... Loftman nie jest głupi. Skorzystałem z jego choroby i zrobiłem teatr... Co tak patrzysz? No, po prostu wyreżyserowałem fikcyjną rozprawę, a potem ten bydlak ujawnił, gdzie jest ciało tej małej z Dolnego Miasta. Nie myśl, że kogoś skrzywdziłem. Chłopcy z mojej brygady musieli spełniać moje rozkazy, zresztą nie wiedzieli całkowicie, w co się gra, tak jak i inni, których w to wciągnąłem, nawet ta kobieta, świadek, myślała, że to na poważnie. Tylko mnie mogą obwiniać... Najgorsze, że wyjąłem go z więzienia na lewych papierach, rzekomo na konfrontację i na nowe przesłuchanie. To jest największe bezprawie ze wszystkich, jakie popełniłem, bo nie miałem zgody przełożonych, sam spreparowałem dokumenty na urzędowych blankietach. Ale nie było innej możliwości, musiałem to zrobić!... No, nie płacz – podszedł do żony i przytulił ją – nie będzie tak źle...

– Co... co ty pleciesz... John, och, John!

– Wiem, co mówię, darling. Zobaczysz, wszyscy ludzie, i władze będą mnie błogosławić, może nawet ogłoszą mnie człowiekiem roku? – roześmiał się. – Dadzą mi najniższy z możliwych wyroków i zaraz na pewno ułaskawią, to murowane... Zrozum, Anno, musiałem... Nadarzyła się okazja, teatrzyk z Forest Hills

przygotowywał właśnie Anatomie morderstwa i miał na składzie wszystkie rekwizyty, meble sądowe, i stroje, wszystko! A budynek starego parlamentu jest taki podobny do gmachu sądu! No i jeszcze ta choroba Loftmana... Pomyśl, tyle okazji naraz, taki przypadek! Pomyślałem sobie, że ta szansa sama przychodzi, że popycha ją opatrność, więc ktoś musi wyciągnąć ręce i chwycić. Wydawało mi się, że jeśli nie wykorzystam, zostanę ukarany. Wierz mi, czułem to, naprawdę!... Musiałem się spieszyć, bo za kilka dni stary parlament będą rozbierać albo remontować. Widzisz, to dlatego stoi pusty, że firma budowlana z Los Angeles chce go zlikwidować i postawić na tym miejscu supermarket, ale władze stanowe sprzeciwiły się, bo to zabytek. Urządziłem wewnątrz przy pomocy tej trupy z Forest Hills i zagrałem... Wiesz, kiedy byłem młody, oblałem egzamin do szkoły teatralnej. Zawsze marzyłem o wielkiej roli... A tak na poważnie, ta blondynka zamordowana nad rzeką była niemal sobowtórem naszej Lizy... Przysiągłem sobie, że go załatwię!

– Przestań! Przestań!!! Zdegradują cię! Tyle lat dobijałeś się stopnia kapitana, a teraz, na sześć lat przed emeryturą, zdegradują cię! Stracisz emeryturę i z czego będziemy żyć, za co wykształcisz dzieci? Z oszczędności?

– Nie ma ich, kochanie. Wydałem wszystko, by wynająć na jeden dzień tych aktorów i statystów z Forest Hills i na różne inne rzeczy. Wszystko. Nawet pożyczyłem jeszcze od Billa. Ale nie martw się. Dopiero teraz zaczniemy żyć! Stark & Stark zaproponowali mi kontrakt na trzy miliony dolarów za opisanie całej imprezy. To jest, powiedzieli, bomba. Dadzą mi pomagiera, wiesz, takiego od stylu, no i przysięgają, że to będzie superbestseller... No, nie płacz już, czemu znowu beczysz?

SELEKCJA

Kiedy zza pleców dobiegł go cichy skrzyp drzwi, pomyślał, że to służący don Anzelma i nie odwrócił się. Nie odwrócili się również Frank i Giuliano. Wszyscy trzej z uwagą słuchali leżącego w koronkowej pościeli starca, który z trudem wydobywał z siebie zdania przerywane szybkim oddechem.

Nieoczekiwanie z tyłu dobiegły ich słowa, beznamietne jak tykanie zegara:

– Łapy do góry i nie odwracać się. I żadnych kawałów, bo bez namysłu rozwalę.

W chwilę później do pokoju wkroczyła grupa ludzi, którzy zaczęli ich obmacywać, szukając broni. Vittorio; był pewien, że to któryś z tamtych dwóch gra komedię i że i faceci, którzy ich obmacują, to ludzie Franka albo Giuliana. Tylko którego? Który z nich postanowił sięgnąć po sukcesję siłą?

Kiedy pozwolono mu się odwrócić i zobaczył mundury policyjne, oniemiał.

Bardzo niewiele rzeczy na świecie mogło zaskoczyć Vittoria Mattę. Nie pamiętał, by w ciągu kilkunastu ostatnich lat życia coś zaskoczyło go bardziej. Prędzej spodziewałby się policjantów w swej sypialni o północy niż tutaj, w rezydencji bossa bossów, o której wiedziało tylko kilku najpewniejszych ludzi, sami capi. Ze zdumienia nie potrafił się nawet ucieszyć, że to nie jest numer urządzony przez konkurenta z mafii. Gdyby tak było, mógłby już tylko westchnąć do Boga, jeśli w ogóle by zdążył.

Vittorio Matta miał pięćdziesiąt dwa lata i był bossem organizacji na południowe Stany. Tego dnia jechał do szefa bez entuzjazmu.

Miał najmniejsze szanse, był najmłodszy i nigdy nie należał do pupili don Anzelma. Gorzej, naraził mu się ryzykując przed trzema laty interes w Las Vegas, po którym policja o mały włos nie wpadła na ślad kanałów przerzutowych z Meksyku.

Miał się, co prawda, także czym pochwalić: ani jednego grama heroiny nie można było kupić lub sprzedać na południe od Denver i Kansas bez jego wiedzy, do tego sieć sklepów samoobsługowych i restauracji, banki w Teksasie, nafta... Ale Giuliano, szef na wschodnie Stany, i Frank, capo Zachodniego Wybrzeża, też nie byli gorsi, a do tego mieli dłuższy staż i urodzili się na Sycylii, podczas gdy on w Tampa, w rodzinie sycylijskich emigrantów. Don Anzelmo przyjechał do Ameryki po pierwszej wojnie światowej i lubił takich, jak on sam, „chłopców z wyspy”. Vittorio zdawał sobie sprawę z tego, że musiałby stać się cud, by berło dostało się w jego ręce.

Don Anzelmo umierał. Miał osiemdziesiąt siedem lat. Rządził organizacją przez jedenaście ostatnich lat i zwano go Big Boss the Winner – Wielki Szef Zwycięzca. Miał piekielne szczęście. Vittorio wiedział o tym z opowiadań, które brzmiały jak streszczenia z filmów o Supermanie skrzyżowanym z Fantomasem i czarnoksiężnikiem ze wschodniej bajki. Nikt natomiast nie wiedział, ile razy strzelano do don Anzelma, wiedziano tylko, że wiele, bardzo wiele razy. Przeżył, i wszystkich zamachowców wykreślał z listy żywych. Wreszcie uwierzono w jego nieśmiertelność i przestano doń strzelać. Wkrótce potem sięgnął po władzę. Uczynił to za pomocą pistoletu. W rezultacie przez pierwsze dwa lata jego panowania mafia przechodziła kryzys, mszczono się i wyrównywano rachunki. Opanował ten chaos i postanowił nie dopuścić więcej do podobnych jatek osłabiających organizację. Jego postanowienia charakteryzowały się tym, że zamieniały się w krew i ciało, toteż krew przestała płynąć i przeżywali boom pod jego rządami.

Don Anzelmo posiadał wszystkie cechy przywódcy charyzmatycznego i tylko jedną wadę – w rzeczywistości nie był nieśmiertelny i nie mógł przeżyć samego siebie. Właśnie dlatego teraz, gdy lekarze powiedzieli mu prawdę, wezwał do siebie ich trzech, by jednego uczynić królem – capo di tutti capi.

Zgodnie z rozkazem Vittorio wraz z trzema swoimi goryłami dojechał zielonym highwayem Interstate nr 95 do Elko. Na stacji benzynowej przed miasteczkiem czekało nań w białym pontiacu dwóch gwardzistów szefa. Pojechał za nimi na północ, odnogą speedwayu, w kierunku Tuscarora. Nie dojeżdżając do Tuscarora skręcili w prawo i jechali wzdłuż brzegu rzeczki South Fork aż do wysokiej bramy w ogrodzeniu z metalowej siatki. Na krańcu szerokiej alei widać było piętrową rezydencję otoczoną wysokim azurem starodrzewu. Był absolutnie pewien, że prędzej wciśnie się do tej twierdzy niedostrzeżony słoń niż policjant. Teraz, gdy zobaczył mundury, pomyślał, że ktoś z obstawy szefa zdradził – inaczej słyhać byłoby strzały. Powinni bronić się goryle don Anzelma, a już na pewno trzech jego chłopcy, których tu przywiózł i zostawił w przedpokoju. Frank i Giuliano też przywieźli po trzech uzbrojonych po zęby i cała ta gromada zawodowców dała się zaskoczyć i rozbroić jak stado baranów! Było to niepojęte i nie dawało się wytłumaczyć inaczej jak zdradą.

Policja wdarła się do pokoju na piętrze w momencie, gdy don Anzelmo podawał im krzyż, by przysięgli, że uszanują jego decyzję i nie będą wydzierać sobie władzy siłą. Był to gest symboliczny – jeden z tych, w których szef kochał się na starość – i zupełnie zbyteczny. Poszanowania decyzji i tak dopilnowałyby tajemnicza grupa egzekucyjna, którą utworzono przed ośmiu laty jako żandarmerię wewnętrzną organizacji i której dowódcę, zwanego capitano, znał tylko don Anzelmo.

Stojąc bez ruchu Vittorio czuł, jak powoli ogarnia go wściekłość.

Kiedy pozwolono im opuścić ręce i odwrócić się, ujrzał kilkunastu policjantów z wymierzonymi w nich pistoletami i wysokiego szatyna w garniturze koloru marengo. Człowiek ten stał z rękami wsuniętymi w kieszenie marynarki, przyglądał się im uważnie i milczał. Pierwszy nie wytrzymał Giuliano:

– Dlaczego panowie nas napastują? Co znaczy ten teatr? Jestem starszym człowiekiem, szanowanym obywatelem, regularnie płacę podatki, przyjechałem tu odwiedzić przyjaciela... Jakim prawem...

– Stul pysk.

Cywil powiedział to tym samym spokojnym głosem, którym odezwał się od progu i tylko w oczach zalśniło mu coś takiego, że Giuliano skulił się jak smagnięty batem i zamilkł.

Vittorio opanował nerwy i zwrócił się to tamtego:

– Tak nie można, panie władzo, nie macie prawa...To jakaś pomyłka. Chcę skontaktować się z moim adwokatem.

Wówczas cywil zrobił kilka kroków, stanął przed Vittoriem i patrząc mu w oczy powiedział:

– Chwilowo nie mogę ci tego obiecać. Obiecuję co innego – jeśli któryś z was odezwie się od tej chwili bez pytania, dostanie po buzi. Zrozumiano?

Vittorio nie odwrócił wzroku. Znał ten typ utytułowanych gnojków, których nadyma posiadana siła i chwilowa przewaga w grze. Idealny przedziałek, wypielęgnowane paznokietki, kołnierzyk zmieniany dwa razy dziennie, dezodorant w pysku. Silny i bezczelny, kiedy ma przewagę. Dopadnięty kwiczy jak zarzynane prosię. Nie warto się szarpać, trzeba odczekać. Z boku dobiegł go głos Franka:

– To skandal! Konstytucja Stanów Zjednoczonych gwarantuje każdemu obywatelowi...

W tam samym momencie cywil zrobił błyskawiczny półobrót i jego prawa pięść wylądowała na twarzy Franka. Szef nowojorskiej mafii

poleciał do tyłu, odbił się od masywnej donicy z eukaliptusem i runął na łóżko don Anzelma, paskudząc pościel na czerwono.

Mimo że cała ta sytuacja wyglądała podle, Vittorio uśmiechnął się w duchu. Frank takich bubków, jak ten, który go uderzył, lubił topić z nogami wsadzonymi w kubel z cementem, po odczekaniu aż cement stwardnieje – był to jego wynalazek i dlatego nazywano go „Frankiem–betoniarzem”. Teraz taki glina wybił mu zęby i Frank siedział na podłodze jak skrzywdzone dziecko, a spomiędzy palców, którymi zasłaniał twarz, skapywała krew.

Vittorio poczuł satysfakcję – to był doprawdy fajny obrazek, szkoda, że nie widzą tego podwładni Franka.

Cywil przyglądał się teraz baczniej oddychającemu z trudem don Anzelmowi.

– Sprawdziliście tego starego? – zapytał swoich ludzi.

Mundurowi kiwnęli głowami, że nie.

– No to już!

Podsoczyło dwóch. Jeden wyszarpnął spod głowy starca poduszkę, drugi odkrył koldrę i otworzył szufladę nocnego stolika. Nie znaleźli broni, tak jak uprzednio nie znaleźli jej u Vittoria, Franka i Giuliana – wszyscy musieli ją oddać w przedpokoju, przed wejściem do szefa. Cywil założył ręce na plecy, przeszedł się kilka razy od ściany do ściany, potem zatrzymał na środku pokoju i zaczął mówić:

– Jestem starszym inspektorem FBI oddelegowanym czasowo na stanowisko komendanta sekcji antymafijnej policji stanu Nevada. Nazywam się Ramsey Callaghan. przedstawiłem się, kolej na was.

Vittorio chciał powiedzieć, że mafię zna tylko z gazet i z telewizji, lecz w porę przypomniał sobie twarz Franka i powiedział krótko:

– Vittorio Matta.

– Mało! – inspektor podniósł głos. – Zawód, pochodzenie, wszystko!

– Macie moje dokumenty – przypomniał Vittorio.

Callaghan spojrział na niego spod przymrużonych powiek i Vittorio, nie czekając, wyrzucił z siebie:

– Vittorio Matta, urodzony 28 marca 1922 roku w Tampa na Florydzie. Zawód – przemysłowiec.

– Pytałem o pochodzenie!

– Włoskie.

– Konkretniej. Miejsce urodzenia ojca.

– Sycylia.

– Bardzo ładnie, a wy? – zwrócił się w kierunku Giuliana i Franka.

– Giuliano Gramsci, urodzony 8 sierpnia 1910 roku w Palermo...

– Gdzie to jest? – Na Sycylii.

– Tak myślałem. Zawód?

– Jestem na emeryturze.

– W porządku. A ty?... Też jesteś na emeryturze?

– Nie... ja... jestem bankierem... – odpowiedział Frank i zlizując krew z rozbitych warg.

– Nazwisko!

– Frank... Frank Buonfortuna... urodzony w czerwcu... 1912... w Caltanizetta...

– Spróbuję zgadnąć. To na Sycylii?...

– Tak.

– No proszę! – Callaghan uśmiechnął się po raz pierwszy. – Sami Sycylijczycy, rodzinny nastrój, prawda?

– Nasz przyjaciel jest ciężko chory. On też jest Sycylijczykiem, przyjechaliśmy go odwiedzić. To dlatego jesteśmy tutaj – wyjaśnił Vittorio.

– To nie jest chyba zabronione?

– Nie. Zabronione jest należeć do mafii i posługiwać się terrorem i zbrodnią dla osiągnięcia zysków!

– Do jakiej mafii, na Boga! – krzyknął Giuliano.

– Do amerykańskiej. O ile wiem, na naszym kontynencie jest tylko jedna, którą przeflancowaliście tu z Sycylii, j Uczyniliście z niej ośmiornicę, która oplotła cały kraj, od Atlantyku do Pacyfiku. Do takich jak ja należy obcinanie ramion ośmiornicy. Chcesz coś jeszcze powiedzieć? – spytał Giuliana.

– Tak, panie inspektorze.

– To mów, pozwalam ci, jestem tu po to, by was słuchać.

– Chcę powiedzieć – powiedział Giuliano akcentując mocno każdy wyraz – że pan się naczytał komiksów o Alu Capone. Chcę także powiedzieć, że organizacje włoskie w tym kraju od dawna już protestują przeciw insynuacjom i utożsamianiu każdego uczciwego Włocha z mafioso!

– A ty jesteś uczciwym Włochem?

– Jestem uczciwym członkiem społeczeństwa amerykańskiego, podobnie jak moi obecni tu przyjaciele.

Callaghan zastanowił się, po czym wygłosił stwierdzenie, które świadczyło, że don Giuliano nie opanował sztuki przekonywania w dostatecznym stopniu.

– Rozumiem. Teraz, kiedy już ustaliliśmy, że jesteście uczciwymi i pracowitymi członkami mafii...

– Nie mamy nic wspólnego z mafią! – przerwali mu wszyscy trzej z najszerszym oburzeniem, prawie jednocześnie, tak iż głosy ich zlały się w jeden chór, którego tonację psuł tylko charkot poturbowanego Franka.

– Znowu kłamiecie, a to bardzo nieładnie – Callaghan mówiąc to pogroził im palcem. – Udowodnię, że kłamiecie!

Ciekawe jak? – pomyślał Vittorio. – Odpowiesz już za samo uderzenie Franka, kochasiu. Wszystko, co robisz, to bezprawie, nie pokazałeś nawet nakazu rewizji. Skończy się to przed sądem, a potem zajmiemy się tobą, najlepiej metodą Franka, nóżki w cement. Albo nie, wymyśli się coś lepszego, specjalnie dla ciebie.

Wszystko to było trudne do zrozumienia. Mieli w policji swoich informatorów, w każdym stanie, i naraz takie zaskoczenie! Przeklęty los, FBI co chwila tworzy nowe komórki i instaluje w policjach stanowych nieznanych i nie skorumpowanych ludzi z centrali, a don Anzelmo jest już za stary, by trzymać rękę na pulsie. Teraz to się mści. Wszystko zresztą było do wytłumaczenia, tylko w jaki sposób policja wdarła się do rezydencji don Anzelma bez jednego strzału?! Tego wciąż, nie mógł pojąć. Zakładając nawet, że ktoś zdradził, było to trudne do zrozumienia. Przecież nie zdradzili wszyscy na raz, a i goryle nie mogli gromadnie ogłupieć i stracić refleksu.

Callaghan, jakby odgadując jego myśli, wytłumaczył:

– Ciekawi was, jak się tu dostałem... Te bardzo proste. Jadąc tu dwaj z was mijali styk szosy numer jedenaście z nowym skrótem na Tuscarore, który od trzech miesięcy jest w budowie. Od trzech miesięcy w budowie był też tunel do tego domu. Przed dwoma laty wyszedł z ciupy wasz kompan, niejaki Lombardo. Śledziliśmy chłopczyka, potem śledziliśmy tych, z którymi nawiązał kontakt, a potem jeszcze innych, z którymi tamci nawiązali kontakt, aż w końcu jeden z nich zaprowadził nas tutaj. Przez ponad rok obserwowaliśmy dom, oba wyloty szosy, rzeczkę, las Humboldta, wszystko. Tunel prowadzi z lasu i ma ponad trzysta metrów, niezła robota, co? Dwa tygodnie temu uderzyliśmy łopata o piwnice tego gniazdko i zainstalowaliśmy się w nich. Potem już tylko czekałem na takich gości jak wy. Słyszałem, o czym mówiliście na parterze, mamy takie małe pchełki, które podczepia się do sufitu i wówczas słyszeć wszystko, nawet przez półmetrowy mur. Tego, o czym mieliście zamiar rozmawiać tutaj, na piętrze, nie mógłbym już usłyszeć z piwnicy. Postanowiłem więc przyłączyć się do towarzystwa. Będę was słuchał bezpośrednio, bez elektronicznych sztuczek, dobrze? Wiem, że macie mi dużo do powiedzenia,

przynajmniej jeden z was jest capo mafioso. Ten mi powie to, co chcę wiedzieć, a chcę wiedzieć dużo, z natury jestem ciekawy.

Vittorio słuchając tego czuł, jak mu się robi słabo. Zaświtało mu w głowie, że chyba źle ocenił Callaghana. Teraz już nie widział w nim ulizanego bubka... Zastanowił się nad sytuacją. Ten cholerny glina o zimnych oczach i miękkich ruchach zawodowego mordercy miał rację. Taki tunel to rzeczywiście niezła robota, artystyczna... Duża rzecz, parszywie piękna robota! Zaraz!... Słyszeli szystko, co działo się na parterze, gdy witał ich szef obstawy don Anzelma, Andrea Righi. Starał się gorączkowo przypomnieć sobie, co wówczas mówił, czy nie powiedział czegoś, co mogłoby teraz utrudnić mu obronę.

Nagle zadzwieczał telefon na nocnej szafce.

Callaghan wyjął rewolwer, podszedł do łóżka i przykładając lufę do skroni don Anzelma powiedział:

– Odbierz!

Starzec spojrział na niego z pogardą i odwrócił głowę do ściany. Telefon wciąż dzwonił.

Inspektor skoczył do drzwi, otworzył je szarpnięciem i krzyknął:

– Dawać tego łysielca, piorunem!

Usłyszeli szybki tupot kroków na schodach i do pokoju wbiegł Andrea w asyście dwóch policjantów. Miał podniesione ręce, bladą twarz i wytrzeszczone oczy.

– Odbierz! – warknął Callaghan – i bez trików, jeśli chcesz żyć!

Andrea podniósł słuchawkę drżącą dłonią. Po chwili odwrócił się do inspektora i powiedział:

– To do pana, z Nowego Jorku... Callaghan podszedł do telefonu.

– Callaghan... Tak jest, szefie, wszystko w porządku, trzymam czterech VIP-ów i ich goryli... Tak... Co?! Ależ szefie!... Szefie, niech pan posłucha. Jeśli oddamy ich teraz tym mądralom z policji stanowej, to koniec! Prawie wszyscy są skorumpowani, biorą łapówki na prawo i lewo, zrobią wszystko za forszę! Przez te kilka

miesiący, odkąd u nich pracuję, dobrałem sobie tylko dziewięciu chłopaków, do których mam zaufanie. Harowałem wraz z nimi właśnie na ten dzień i nie chcę teraz stracić wszystkiego! Jeśli zaraz oddam tych łobuzów, to skończy się jak zawsze: procesy, kaucje, stare chwytys, znowu nas wyrolują, szefie!... Ja to rozumiem, szefie, ale mamy szansę, nie mieliśmy podobnej od wielu lat. Szefie, proszę zostawić mi ich na tydzień. Cztery dni, do niedzieli wieczorem, błagam pana! W poniedziałek przetransportuję ich do Carson City. Jeśli przegram, całą odpowiedzialność wezmę na siebie, zna mnie pan! Ale ja nie przegram, nie mogę teraz przegrać, przysięgam panu!... Tak jest. Dziękuję, szefie.

Położył słuchawkę na widełki, otarł pot z czoła i powiedział do swoich ludzi:

– Sprowadźcie ich na dół. Staruchem zajmiemy się później.

Na parterze Vittorio zobaczył lekarza, całą obstawę don Anzelma, goryli swoich oraz chłopców Franka i Giuliana z rękami opartymi wysoko na ścianie.

Lekarzowi policjanci kazali pójść do chorego, a goryli wyprowadzili z salonu. Im trzem kazano usiąść w fotelach i czekać. Vittorio zamknął oczy. Dawno już nie bał się, to inni bali się jego. Teraz przypomniał sobie, jak smakuje strach.

Callaghan usiadł naprzeciwko nich, obok mahoniowego biurka, zgasił niedopalek i powiedział:

– Słyszeliście, mam cztery dni i cztery noce. Przez te cztery doby dowiem się od was wszystkiego o organizacji. Jestem waszym spowiednikiem, ten pokój to konfesjonał. Im prędzej to zrozumiecie, tym lepiej dla was. Który chce zacząć?

Milczeli, odwracając wzrok. Vittorio pomyślał, że ta komedia nie może trwać długo. Nie wątpił, że to komedia obliczona na zastraszenie i że lada chwila zabiorą ich stąd i przewiozą do Carson City. Tam będzie mógł skontaktować się z adwokatem. Wiedział już

jedną, bardzo ważną rzecz: Callaghan, narzucony skorumpowanej policji stanowej w Nevadzie przez centralę FBI, dobrał sobie grupę „komandosów” i działa w sekrecie. To dlatego don Anzelmo nie dostał cynku z Carson City i nie wiedział o tym tunelu... Najważniejsze, że Callaghan w tej chwili łamie prawo i nawet fakt, że jest chwilowo kryty przez jakiegoś wysokiego urzędnika FBI, niczego nie zmienia. Przez cztery dni, nawet uwzględniając, że to weekend, nie będzie mógł ich trzymać w tym domu, bo w Carson City zainteresują się jego nieobecnością.

Blefujesz draniu! – pomyślał z nienawiścią. Nagle usłyszał: „może ty?” i spostrzegł, że inspektor zwraca się do niego.

– Mówiłem już, nie mam nic wspólnego z mafią, to tragiczna pomyłka. Pańskie postępowanie jest bezprawne, nie pokazano nam nawet nakazu aresztowania. Odpowie pan za to, jest jeszcze w tym kraju sprawiedliwość!

– Jeszcze jest, to prawda i rzecz doprawdy dziwna, zważywszy, że już tyle lat pracujecie nad zamordowaniem sprawiedliwości w tym kraju.

– Pan nie ma prawa tak mówić do nas – krzyknął Vittorio ośmielony spokojnym głosem tamtego. – Odpowie pan za to wszystko przed sądem! Dopiero wówczas sprawiedliwości stanie się zadość!

Starął się powiedzieć to jak najbardziej pompatycznie, niczym Lincoln z trybuny, z naiwną nadzieją, że zrobi na tamtym wrażenie.

Callaghan patrzył na niego z ironią i milczał przez chwilę. Potem odezwał się, ciągle tym samym łagodnym głosem, który w każdym z nich budził przerażenie:

– Nie strasz, od straszenia tutaj jestem ja. Właśnie w imię sprawiedliwości wyduszę z was wszystko, co wiecie. Całe życie pracowałem w policji; zaczynałem od posterunkowego i miałem czas, by się napatrzeć, jak robiliście ze sprawiedliwości prostytutkę.

Przez te cztery doby nie dostaniecie nic do żarcia i picia. W nocy będziecie polewani wodą, w ten sposób odbiorę wam sen. Sprawdzicie swoją wytrzymałość...

Wstał.

– Teraz macie kilka godzin do namysłu. Jeśli się nie zdecydujecie, wieczorem moi chłopcy dadzą wam pierwszą lekcję.

Zapalił papierosa i nie patrząc na nich wyszedł.

Zostali w pokoju z dwoma rosyjskimi policjantami, z których każdy trzymał w dłoni odbezpieczony pistolet. Vittorio przez dłuższy czas nie zdawał sobie sprawy z tego, jak szybko obracają się wskazówki zegara. Wydawało mu się, że minęły dwa lub trzy kwadransy. Gdy odchylił mankiet koszuli, zorientował się, że to już cztery godziny. Inspektor dwukrotnie w ciągu tego czasu wchodził do pokoju i pytał ich, czy zmiękli. Odpowiadało mu milczenie.

Pilnującym ich policjantom przyniesiono gorący posiłek. Vittorio nie czuł głodu, tylko suchość w gardle i z chęcią napiłby się czegoś. Nie wiedział już, w co ma wierzyć, a w co nie i co jest tu grane. Cztery dni. Można chyba wytrzymać, jeśli to wszystko nie jest blefem. Nie miał pojęcia, ile może wytrzymać organizm bez jedzenia, picia i snu, ale chyba przez cztery dni nie zdycha się bez tego wszystkiego?

Wieczorem zawleczono go do piwnicy i ciężko pobito. Zasłaniał się i starał nie krzyżeć. Po kolejnym ciosie w żołądek zemdleł. Ocknął się na tym samym fotelu w salonie. Miał mokre ubranie i twarz. Pierwszym obrazem, który do niego dotarł, był widok policjanta wylewającego kubek wody na nieprzytomnego Franka.

Policjanci zmieniali się co kilka godzin i regularnie oblewali ich zimną wodą. Vittorio drżał z zimna, bielizna przylepiła mu się do ciała, dostał gęsiej skórki. Podobnie musiało być z tamtymi, słyszał jak zęby Giuliana uderzają o siebie.

Rano pojawił się Callaghan i spytał krótko:

– Macie dość? Zaczynamy?

Nie odpowiedzieli nic.

W ciągu dnia torturowano ich widokiem posiłków, które policjanci pożerali demonstracyjnie, patrząc na nich z jawną satysfakcją. Vittorio, o dziwo, wciąż nie czuł głodu. Nie doskwierało mu też pragnienie. Zlizywał wodę z rąk i ssał mokrą koszulę, wystarczało to w zupełności. Tylko brzuch bolał go mocno i stamtąd, gdzieś od dołu, wędrowały mu do gardła mdłości.

Po południu, gdy Callaghan wszedł po raz któryś z kolei, Frank zaczął błagać:

– Panie inspektorze... proszę... proszę o coś do jedzenia, umrę bez jedzenia!... Nie może pan tak postępować, to nieludzkie... .

– Mogę, zapewniam cię, mogę jeszcze przez dwie i pół doby – przerwał mu Callaghan. – Czy sposób, w jaki wy wykańczacie ludzi, jest ludzki? Którykolwiek z tych waszych sposobów?... Są szybsze, wiem, ale mnie się nie spieszy, jeszcze nie. Kiedy zacznie mi się spieszyć, znajdę lepszą metodę. Mówisz, że umrzesz bez jedzenia. To twoja sprawa. Jesteś panem swego losu, złóż zeznanie, a dam ci zjeść, ile zechcesz.

– Jakie zeznanie, o czym? – jęknął Frank.

– O mafii...

– Nie znam mafii!

– ... o jej strukturze organizacyjnej, kontaktach, informatorach, melinach. Nazwiska, strefy działania, hasła, wszystko.

– Ja nie jestem mafioso, przysięgam panu, ja...

– No to masz pecha.

Callaghan odwrócił się i wyszedł.

Vittorio pomyślał, że gdyby tacy ludzie, jak ten glina, byli w mafii, nie doszłoby do tej wyspy. Podziwiał Callaghana i nienawidził. Nienawidził w swym życiu wielu ludzi i wielu z nich zabił, lecz nikogo dotychczas nie nienawidził z taką siłą i nikogo tak bardzo

nie pragnął zamordować jak tego człowieka. Jawiły mu się przed oczami makabryczne obrazy, wymyślał dla inspektora przeróżne rodzaje śmierci, jeden okrutniejszy od drugiego, i żaden nie wydawał mu się wystarczająco okrutny. Pod wieczór zaczęły mu doskwierać nogi. Który to był wieczór? Pierwszy... nie. Drugi czy trzeci?... Nie mógł sobie z tym poradzić, wszystko mu się poplątało. W skroniach narastał mu tępy ból i te nogi... Drętwiały. Próbował zmieniać ich położenie i ruszać palcami, ale to niewiele pomagało. W końcu wstał, lecz jeden z policjantów natychmiast zareagował krzykiem:

– Posadzić cię, czy sam usiądziesz?!

– Chcę rozprostować nogi, tylko chwilę...

Policjant zrobił krok w jego kierunku i Vittorio czym prędzej opadł na fotel.

Gdy zapadał zmrok i chciano ich zabrać do piwnicy Frank zaskomlał:

– Nie, nieee!!! Będę mówił, powiem wszystko!

Vittorio i Giuliano zrozumieli, co wykombinował Frank i również zgodzili się zeznawać. Callaghan wywoływał ich kolejno do sąsiedniego gabinetu, naciskał klawisz kasetowego magnetofonu i słuchał.

Vittorio zeznawał przez niecałą godzinę. Podawał jakieś lipne adresy, nazwy i nazwiska, aż wreszcie zabrakło mu wyobraźni. Potem, w Carson City, odwoła się to wszystko, kiedy już wyzwolą ich spod władzy tego sadysty. To był dobry pomysł.

Kiedy powrócili na swoje fotele, Frank spytał inspektora:

– A jedzenie? Obiecywał pan... obiecywał pan nam jedzenie, dużo jedzenia, jeśli powiemy...

– Dotrzymuję obietnic, ale nie obiecywałem, że dam z siebie zrobić idiotę. Jeśli mówiliście prawdę, to wkrótce będziecie żreć.

Gdy Callaghan wyszedł, Vittorio zrozumiał, że pomysł wcale nie

był dobry. Był głupi i naiwny. Inspektor bez wątpienia przekaże informacje telefonicznie i tajniacy sprawdzą przynajmniej część z nich. A to wystarczy. Domyślał się, co zrobią z nimi za kilka godzin.

Przez całą noc raziło ich światło z żyrandola, a gdzieś zza drzwi dochodziło straszliwe, pełne przejmującego bólu wycie któregoś z chłopców z obstawy don Anzelma.

Pobito ich nad ranem. Giuliano miał zapuchnięte oko, Frank, któremu złamano palec u lewej ręki, jęczał żałośnie. Vittorio miał zbite piersi i oddychał z trudem. Głód doskwierał im coraz bardziej. Vittorio też już nie był od tego wolny.

Gdy kilka minut po dwunastej inspektor wszedł do pokoju z uśmiechem na ustach, Vittorio domyślił się, że nastąpiło coś, co zmienia sytuację.

– Wiedziałem, że jesteście grube ryby – powiedział Callaghan – ale że aż tak grube, nie miałem pojęcia. Goryle dziadzia Anzelma pękli. I to dwóch naraz... A więc złożyłem wam wizytę w momencie koronacji, jeden z was to niedoszły capo di tutti capi.

Sięgnął po papierosy, włożył jednego do ust i przypalając płomieniem zapalniczki, z głową lekko przechyloną, przyglądał się im przez przymrużone powieki. Potem zaciągnął się kilka razy w milczeniu, strzepnął popiół na dywan i oznajmił:

– Chcę wam zakomunikować, że tron jest wolny. Dziadzio umarł.

Zamilkł, czekając na efekt tych słów. Vittorio spojrział na Franka i Giuliana. Mieli głowy opuszczone na piersi. Wyprostował się z trudem i powiedział cicho:

– Zamordowałeś go... zamordowałeś go i już nic cię nie uratuje!

Callaghan zbliżył się do Vittoria, położył ręce na oparciach fotela i nachylając swą twarz do niego syknął:

– Co powiedziałeś?

– Powiedziałem, że to zbrodnia i że zapłacisz za nią.

Callaghan upuścił papierosa, przydeptał go butem, po czym lewą

ręką chwycił Vittoria za włosy, a prawą zaczął go policzkować na odlew, z jednej i z drugiej strony.. Uderzył kilka razy i spojrzął na swoje dłonie. Były mokre.

Wytarł je starannie o klapy marynarki Vittoria, następnie cofnął się na środek pokoju i kontynuował spokojnie, tak jakby nic się nie stało:

– Należy do mnie mówić: panie inspektorze. Straszyć mnie nie wolno, bo to boli straszonego. Zapamiętajcie to. A więc, jak mówiłem, dziadzio odwalił kitę. Lekarz też jest zdania, że to ja go wykończyłem, ale to nieprawda. Sam się wykończył. Nie chciał mówić, więc nie dostawał jedzenia. Taki już los upartych.

Przerwał, chcąc zapalić papierosa, ale miał już pustą paczkę. Poczęstował go jeden z policjantów.

– Myślę – powiedział Callaghan zaciągawszy się głęboko dymem – że już dostatecznie skruszeliście, ale nie mogę tego sprawdzać dotychczasowymi metodami, bo czas mi się kończy. Mam tylko półtorej doby w zapasie. Zmieniam więc reguły gry, panowie capi. Macie do wieczora czas na podjęcie decyzji. Wieczorem otrzymacie papier i długopisy i napiszecie wszystko, co wiecie o mafii. Będzie to rodzaj konkursu – zwycięzca wygrywa życie. Zanim opuszczę ten dom, dokonam selekcji. Każdy z was po tysiącuroć zasługuje na śmierć, lecz jeden będzie nam potrzebny żywy, jako przynęta i pomagier w dalszych fazach śledztwa. Ten, który napisze najwięcej, najszybciej i najprecyzyjniej, przeżyje. Dwóch zastrzelę. To wszystko.

Podszedł do drzwi, odwrócił się i dodał tym samym spokojnym tonem:

– Nie żartuję i nie straszę. Do tej pory dotrzymywałem wszystkich obietnic i tej też dotrzymam. Zrobiłem już tyle, że i tak będę siedział, a jeśli nic z was nie wyduszę, to nie będę miał żadnych argumentów przed sądem i posadzą mnie do końca życia. Nie mam wyboru.

Zamknął za sobą drzwi i w pokoju zapanowała straszliwa cisza. Przerwał ją Frank błagając policjantów, by ułatwili mu ucieczkę za sto tysięcy dolarów, na które natychmiast wypisze im czek. Vittorio i Giuliano dołożyli drugie tyle.

Vittorio, widząc wahanie policjantów, ostrzegł ich przed konsekwencjami udziału w linczu i podwoił stawkę. Jeden z młodych chłopców w mundurach, piegowaty blondyn o zwalistym cielsku, mruknął:

– Przestańcie bredzić. Co mi po forsie, jeśli i tak poszedłbym za to gnić. To, co się tu dzieje, to sprawa Callaghana, my tylko spełniamy rozkazy, nikt nie będzie nas winił. Nie podoba mi się to wszystko, ale moją rzeczą jest słuchać.

– To nieprawda! – krzyknął Vittorio. – Jest akurat odwrotnie! Właśnie za wypełnianie tych zbrodniczych rozkazów, czyli za współudział w przestępstwie, będziecie siedzieć! Natomiast gdybyście pomogli nam uratować się...

– Wtedy Callaghan rozwaliby nas tak samo, jak to robi z wami. Odnalazłby mnie, choćbym się wkopał pod ziemię...

– Przecież jest was tylu, a on jeden! – wyszeptał Giuliano. – Obezwładnijcie go, nic wam z jego strony nie grozi... Przecież to zbrodniarz albo psychicznie chory. Za to, co tu robi, zamkną go w więzieniu lub w domu wariatów, nie potrzebujecie się go bać!

Policjant pokiwał głową i powiedział niezdecydowanie:

– Tak, ale...

W tej samej chwili jego kolega krzyknął:

– Przestań z nimi gadać!

– Odpieprz się, co ci to przeszkadza?

– Inspektor zabronił nam...

– Okay! Nie martw się, nie dam się kupić.

Vittorio sięgnął po książeczkę czekową. Była mokra i zlepiona.

– Panowie – powiedział – wypiszę wam czek za...

– Odwal się! – warknął drugi z policjantów.

– Nie, nie, nie o to chodzi... Nie cofam słowa, wypiszę wam czek, jeśli powiecie, co się tu dzieje. Tylko za to... Czy ten człowiek naprawdę chce nas zabić?

Rozmowniejszy policjant wzruszył ramionami i odparł:

– Nie wiem, on nigdy nie żartuje, a poza tym...

– Co poza tym?

– Kilka lat temu, chyba w siedemdziesiątym trzecim albo w siedemdziesiątym czwartym, nie pamiętam już, zakatrupiliście mu młodszego brata...

– Nikogo w swym życiu nie zabiłem! – skłamał najszczerzej Vittorio.

– No, może nie wy osobiście, ale mafia. Chłopak miał dwadzieścia trzy lata i pierwszy raz brał udział w obławie. Callaghan wtedy omal nie zwariował.

Teraz Vittorio nie miał już wątpliwości, że Callaghan rzeczywiście zwariował i że znajdują się w ręku szaleńca, który celebryje zemstę.

Wieczorem zaczęli pisać. Vittorio długo zastanawiał się, od czego zacząć, podczas gdy Frank i Giuliano pracowicie zapełniali stronę za stroną. Był straszliwie zmęczony, ręce mu drżały, z trudnością utrzymywał w dłoni długopis. Nad ranem zrozumiał, że jest bez szans. Był najmłodszy, szefem mafii na południowe Stany został przed trzema laty, a poza tym nie urodził się na Sycylii i don Anzelmo nie miał do niego takiego zaufania, jak do tamtych dwóch. W rezultacie wiedział najmniej.

O szóstej rano uświadomił sobie, że jest już za późno. Nawet gdyby zaczął pisać teraz najszybciej, jak tylko potrafił, nie zdążyłby już dogonić Franka i Giuliana. Wsunął się głębiej w fotel i zamknął oczy. Pragnął zasnąć, ale sen nie chciał przyjść. Myślał o tym, że na tych kartkach, na których nie napisał ani jednego słowa, jest wypisany jego wyrok i że nic się już nie może zmienić, chyba że

Callaghan oprzytomnieje lub zdąży tu przyjechać policja z Carson City.

Kiedy o siódmej rano Callaghan wszedł do pokoju, Frank i Giuliano byli gotowi, a Vittorio powiedział:

– Jeszcze tylko jedno zdanie.

Callaghan uśmiechnął się.

– Proszę bardzo.

Vittorio wziął długopis i na czystej kartce napisał kilka słów, których nie ośmieliliby się wydrukować najodważniejsze pismo pornograficzne.

Inspektor zebrał kartki nie patrząc na nie i wyszedł. Vittorio przytulił się do fotela i odetchnął głęboko. Ulżyło mu i już się nie bał, sam nie wiedział dlaczego, ale nie bał się. Chciał, żeby już nastąpił koniec tego koszmaru, jakikolwiek, byle prędko.

W południe Callaghan wszedł do pokoju z rewolwerem w dłoni. Miał rysy wykrzywione wściekłością.

– Sprawdziłem wasze bajeczki! Znowu chcieliście mnie wykiwać, sukinsyny!!!

Pierwszy strzał dosięgnął Franka. Frank zwinął się jak poczwarka i osunął na ziemię. Giuliano poderwał się na nogi, zdążył jeszcze krzyknąć: „nieeee!!!” i padł na wznak z przestrzeloną głową. Wówczas Callaghan podszedł do Vittoria, podniósł go za kłapy marynarki i pchnął w kierunku schodów na górę.

– Ciebie, za to, co napisałeś, załatwię tam i to nie zwyczajnie! Wymyśliłem ci taki koniec, że zanim zdechniesz, pożałujesz, że w ogóle przyszedłeś na świat!

Vittorio z trudem wspinał się stopień po stopniu, bolały go nogi i całe ciało. Gdy inspektor otworzył drzwi do sypialni bossa, Vittorio Matta ujrzał don Anzelma ze szklanką mleka w dłoni. Callaghan podszedł do łóżka i pocałował starca w rękę.

– Już? – spytał don Anzelmo.

– Tak, padre, już.

– Dziękuję ci, Marco, dobrze się spisałeś.

Don Anzelmo sięgnął po słuchawkę telefonu i wykręcił numer. Vittorio domyślił się, że szef dzwoni do dowódcy tajnej grupy egzekucyjnej, która miała dopilnować respektowania decyzji o następstwie. Stary człowiek mówił cicho, często przerywając:

– Tu Anzelmo, czy to ty, Luigi?... Słuchaj uważnie... Frank i Giuliano zdradzili, nie żyją... Od tej chwili będziecie słuchać Vittoria, od tej chwili on jest capo di tutti capi! Zrozumiałeś mnie?... Pozostań w zdrowiu.

W pół godziny później, po krótkiej konferencji z don Anzelmem i zjedzeniu kilku kanapek, Vittorio zszedł na dół. Pragnął się dobrze wyspać i dobrze najeść, ale nie w tym domu.

– Odjeżdżam – powiedział do Marca – zobaczmy się w Dallas.

– Nie ma pan chyba do mnie żalu, don Vittorio – uśmiechnął się Marco. – Musiałem urządzić tę maskaradę, bo tak chciał padrone.

– Rozumiem, nie martw się, odpocznij. Ale, ale, zabraliście mi pistolet.

– Proszę – Marco sięgnął do kieszeni – nietknięty.

Don Vittorio wziął broń do ręki, błyskawicznie odbezpieczył i wpakował dwie kule w brzuch człowiekowi, który męczył go przez siedemdziesiąt godzin i którego nienawidził jak nikogo na świecie. W tej samej chwili trzej jego goryle wyszarpnęli spod płaszczy pistolety maszynowe i kilkoma seriami położyli trupem wszystkich ludzi z obstawy don Anzelma, goryli Franka i Giuliana, a także mafiosów przebranych w mundury. Potem Vittorio Matta raz jeszcze wszedł po schodach na górę. Otworzył drzwi do sypialni, spojrzął na starego człowieka i opróżnił magazynek do końca.

HISZPAŃSKA SZPADA

Gary Taylor zaczął podejrzewać swego szefa od chwili, kiedy ten wyrzucił go za drzwi bez powodu.

Porucznika Taylora, jednego z sześciu „special agents” III Oddziału Biura Narkotyków, łączyły z szefem niemal familiarne stosunki, jako że inspektor Lingle był przyjacielem starego Taylora. Obaj w czasie II wojny walczyli w piechocie morskiej na Filipinach, a po demobilizacji w tym samym czasie wstąpili do FBI. Gdy ojciec zginął w strzelaninie na Coney Island, Lingle zaopiekował się dwudziestotrzyletnim wówczas synem przyjaciela, pomógł Gary’emu we wstąpieniu do akademii FBI w Quantico i kiedy Gary ukończył ją, przyjął go do swego oddziału w Narcotic Bureau.

Koledzy nie lubili Gary’ego, gdyż był pupilem szefa i jego nieformalnym zastępcą. Gary odpłacał im pięknym za nadobne. Właściwie nie lubił nikogo, nie miał przyjaciół ani nawet sympatii. Załatwiał te sprawy z prostytutkami i to aż w Filadelfii, gdzie go nie znano i gdzie nie musiał obawiać się kompromitacji w wyniku przypadkowego spotkania.

Świat wydawał się Gary’emu Taylorowi podłą speluną w której każdy czyha na każdego, frajerzy dostają w tyłek i giną, a wygrywają tylko cwaniacy wysokiego rzędu. Sam pragnął być królem cwaniaków, ale do tego musiał jeszcze kilkakrotnie awansować, więc starał się, jak mógł. Był skrupulatny i obowiązkowy, nigdy się nie spóźniał, równie zimno traktował kolegów z oddziału, jak i aresztantów. Umiarkowaną sympatią darzył jedynie inspektora Lingle’a. Do owej chwili, kiedy Lingle potraktował go jak gnojka, i to w obecności osób trzecich.

Nastąpiło to w tydzień po największym dotychczasowym sukcesie III Oddziału. Po dłuższej obserwacji kanału przerzutowego Sztambuł–Marsylia–Meksyk–Nowy Jork, prowadzonej przy współpracy z policjami francuską i meksykańską, zlikwidowano gang Goldsteina, aresztując większość jego członków, z grubymi rybami na czele, a nie same płotki jak zazwyczaj. Po raz pierwszy w swej działalności Narcotic Bureau położyło rękę na dziesięciu tonach heroiny. Nigdy dotąd nie mieli tak dobrej prasy, nie mówiąc o premiach i pochwałach od władz federalnych.

I wówczas, po tygodniu euforii, Gary Taylor poczuł się jak człowiek obłany znieścacka kubłem wody.

Kończyli już przesłuchania i byli blisko oddania sprawy w ręce prokuratora. Gary czuł dumę, że to właśnie jemu powierzył Lingle obrabianie „króla heroiny”. Goldstein nie mógł odparować żadnego ciosu, był zupełnie bezradny wobec materiału dowodowego i zeznań, jakie złożyli jego ludzie. Z zapisem „śpiewu” Goldsteina w ręce, Gary zapukał do drzwi gabinetu szefa w czasie przesłuchiwania kochanki herszta, Diany Lucas. I jak zawsze, natychmiast po tym nacisnął klamkę.

Kobieta siedziała tyłem do drzwi, Lingle stał obok niej pochylony. Słyszając głos Gary’ego: „panie inspekto...” wyprostował się i wrzasnął:

- Wynoś się!
- Przepraszam, sir, chciałem tylko...
- Precz!!!

Gary zamknął drzwi. Korytarzem przechodzili właśnie Littlejohn i Serlio, z pokoju teleksów wychyliła głowę telefonistka. Mieli w oczach złośliwą satysfakcję, a on musiał przejść obok ze swoim wstydem. Gary Taylor nie znał jeszcze tego ciężaru. Czuł, że pałą go policzki i że w sercu zakwita mu nienawiść.

Powlókł się do swego pokoju i opadł na krzesło. I zaczął myśleć..

Na zimno, bez uniesienia, którym napompuwał go sukces, starając się zaprząć do pracy ten rodzaj „komputerowej” logiki, do którego wdrażano jego umysł przez kilka lat w Quantico. Robiono to skutecznie, przynajmniej w stosunku do niego, bo we wszystkich testach bił kolegów na głowę. Było to myślenie, które powieściopisarze nazywają dedukcją, a które w Quantico określano mianem retrospekcji analitycznej.

Nagle wiele zdarzeń z ostatniego tygodnia przestało być dla niego tak oczywistymi, jak uprzednio. Przypomniał sobie, jak przesłuchiwana po raz pierwszy przez; Lingle’a i trzech jego współpracowników panna Lucas po kilku minutach odmówiła kontynuowania zeznań. Wówczas Lingle spytał:

– Czy nie rozumie pani, że wyczerpujące zeznanie będzie wzięte pod uwagę przez sąd?

– Nie wiem nic ponad to, co już powiedziałam. I tak powiedziałam za dużo – odparła panna Lucas.

– Naszym zdaniem o wiele za mało, panno Lucas.

– Nic więcej nie wiem!

– Jeśli pani się boi, proszę mi wierzyć, zupełnie bezpodstawnie. Nie grozi pani żadne niebezpieczeństwo. Goldstein i wszyscy członkowie bandy wylądują dożywotnio za kratkami.

– Czyli macie już dość dowodów. Po co wam więcej?

– To nie pani sprawa. Wszyscy, poza panią, złożyli już wyczerpujące zeznania. Sąd weźmie to pod uwagę. Pani została poważnie obciążona tymi zeznaniami. Może się pani bronić, ale z zamkniętymi ustami będzie raczej trudno. Proszę się więc zdecydować! Obecnie ma pani piętnaście lat za kratkami murowane, a i to tylko przy bardzo dobrym humorze sędziego. No więc?

Ta przemowa wyraźnie zrobiła na niej wrażenie. Myślała przez chwilę. Potem rzekła:

- Dobrze, będę zeznawać, ale...
- O co chodzi? – spytał Lingle.
- Gdyby to doszło do pewnych uszu, nie obroniłyby mnie wszystkie policje świata i najgrubsze mury.
- Nie ma pani do nas zaufania, panno Lucas?
- Odkąd nie jestem dziewczynką, nie mam zaufania do nikogo, panie inspektorze. Ale rozumiem, że im więcej zeznam, tym lepiej dla mnie, więc komuś muszę zaufać.
- Ja natomiast nie bardzo rozumiem, co pani proponuje?
- Będę zeznawać tylko przed panem i bez magnetofonu. W przeciwnym razie nie powiem słowa więcej!

Lingle wyraził zgodę i od tej pory sam przesłuchiwał Dianę Lucas. Gary uświadomił sobie, że chociaż Lingle zamykał się z nią już dwukrotnie, dotychczas nie pisał słówka na temat tych rozmów. Przypomniał sobie też, jak Serlio przyniósł zeznanie prawej ręki Goldsteina, Rona Schultza, które mocno obciążało kochankę bossa. Schultz ujawnił jej rolę w organizowaniu detalicznej sprzedaży przywożonego zza oceanu hurtu. Lingle po przeczytaniu tego zeznania warknął gniewnie:

– Ta świnią mści się na niej za to, że ona sypie ich wszystkich! Nie można tego brać poważnie. Serlio, przyciśnij bydlaka jeszcze raz i powiedz mu, że jak będzie dalej robił z panny Lucas Ala Capone, to mu nogi z tyłka powyrywam!... Albo nie, sam to załatwię.

Po rozmowie z Linglem Schultz zmienił zeznanie. Tym razem było ono o wiele bardziej korzystne dla kochanki Goldsteina.

Wszystkie te fakty zaatakowały teraz mózg Gary'ego niczym błyski flesza. Zrodziło się w nim podejrzenie o takiej wadze, że się przestraszył swych myśli. I zapewne porucznik Gary Taylor szybko pozbyłby się tego balastu kładąc wszystko na karb rozdrażnienia, gdyby nie fakt w całej tej historii najdziwniejszy. W kilkanaście minut po wywaleniu porucznika za drzwi,

Lingle przyszedł doń, uśmiechnął się serdecznie i klepiąc po ramieniu powiedział:

– Wybacz, synu, nie chciałem cię urazić, wyrwało mi się. Wiesz, jak cię lubię. Jestem trochę zmęczony tym wszystkim. No, nie miej już żalu do starego sklerotyka.

Mrugnął szelmowsko i wyszedł. Ale Gary Taylor nie dał się kupić na ten ojcowski tonik; zbyt dobrze znał swego szefa, by nie dostrzec, że ten gra przed nim komedię z przyklepionym na twarzy uśmiechem szulera, który deklaruje swój wstręt do kart. Pierwszy raz widział takiego Lingle'a, ale nie pierwszy ludzi tak reagujących, kiedy znajdują się w kłopotcie. Dzwonek pod czaszką podnosił coraz głośniejszy alarm. I porucznika Taylora ogarnęła przemożna chęć, by poznać scenariusz całej sztuki.

Następnego dnia Gary przyszedł do biura wcześniej niż zwykle i umieścił „pchłę” podsłuchową w ścianie, archiwum, które sąsiadowało z gabinetem szefa. Urządzenie miało wielkość zapalniczki kieszonkowej i dało się bez trudu ukryć za gablotą. Przez archiwum przewijało się kilkanaście osób na godzinę.

Gary miał nadzieję, że żadnej z tych osób nie przyjdzie ochota zaglądać za gablotę ze sprawozdaniami ze szpitali. Wystarczyłoby wówczas zainstalować inną „pchelkę”, która sfotografowałaby go w momencie wyjmowania mikromagnetofonu zza gabloty. Gdyby został przyłapany, mógłby w jakiejś innej branży wystartować od zera po sześciu latach, nie wcześniej.

Po południu, kiedy już Lingle opuścił gabinet, Gary zaczął grzebać w archiwum, szukając jakichś dokumentów i piekląc się, że nigdzie ich nie ma. Przez całą godzinę węszył i nie dostrzegł niczego podejrzanego. W końcu zdjął swoją „pchłę” i pojechał do domu. Po drodze raz po raz zdejmował prawą rękę z kierownicy i wkładał ją do kieszeni sprawdzając, czy „pchelka” nie uciekła.

Czuł się dziwnie podniecony, jak zamachowiec, który trzyma w

zanadru bombę. Obserwował w lusterku, czy nikt za nim nie jedzie i wszystko to wcale nie wydawało mu się śmieszne – porucznik Taylor popełnił pierwsze w swoim życiu przestępstwo.

Pierwszą rzeczą, jaką uczynił po przekroczeniu progu, było zamknięcie drzwi na zasuwę i zaciągnięcie rolet w oknach. Potem delikatnie wyjął z „pchły” mikroskopijną kasetę z taśmą, wsadził ją w odtwarzacz i słuchał.

Pierwsze sto czterdzieści minut było bezwartościowe; Lingle wydawał przez telefon dyspozycje, potem coś czytał (kwadrans ciszy), wezwał Littlejohna i wypytywał go w sprawie konferencji prasowej, którą zaplanowano na następny dzień, wyszedł, po powrocie rozmawiał z prokuratorem Williamsem, znowu czytał, w końcu Taylor usłyszał swój głos (czytał Lingle’owi raport). Od chwili, kiedy przyprowadzono do gabinetu pannę Lucas, taśma pracowała jeszcze tylko przez pół godziny. Lecz każda z tych trzydziestu minut była na wagę złota. Gary zrozumiał to już po wysłuchaniu kilku zdań z tej bardzo osobliwej jak na przesłuchanie rozmowy.

Lingle: – Dzień dobry, panno Lucas.

Diana Lucas: – Dzień dobry, panie inspektorze. Świetnie pan wygląda. Miałam rację namawiając pana na przesunięcie przedziałka o centymetr w dół. To pana odmładza. Tak to już jest, przystojni mężczyźni uważają zazwyczaj, że nie muszą podkreślać swej urody. Dlatego potrzebne im są kobiety, które przypomną i doradzą. Pańska żona, panie inspektorze, powinna bardziej dbać o pana.

L: – Nie będziemy mówić o mojej żonie, panno Lucas!

DL: – Słusznie, mówmy o mojej wczorajszej propozycji. Zgadza się pan?

L: – To niebezpieczna gra, panno Lucas. Pani niewiele ryzykuje, ja ryzykowałbym wszystko. Trudno podjął taką decyzję w jedną noc.

DL: – To zależy od tego, z kim się spędza tę noc, panie inspektorze.

A ryzyko? Jak powiadają Francuzi: „qui risque rien, n’a rien”. Ja też ryzykuję. Jaką mam gwarancję, że pan mnie potem nie wykiwa lub nawet nie zabije?! Ale jedno wiem na pewno: Buchanan posiada dokładnie pięć milionów dolarów w gotówce. Czy taka suma nie jest warta ryzyka?

L: – Ja też nie mam żadnej gwarancji, panno Lucas.

DL: – Cóż mogę panu dać poza sobą? Chcę być pańską gwarancją na całe życie, inspektorze... Oboje ryzykujemy, ale to się nam opłaci. Mówiłam już panu, Buchanan jest skarbnikiem wielkiej rady syndykatu gangów Wschodniego Wybrzeża i wolno mu wydać całość lubi część tego „funduszu natychmiastowego” tylko na hasło i znak od jednego z czterech bossów: mafijnego capo di tutti capi oraz trzech szefów regionalnych. Goldstein był zbyt małym pionkiem, by zostać dopuszczonym do tajemnicy, lecz jakimś cudem zdołał się dowiedzieć, a ja ukradłam mu tę tajemnicę. Pięciu milionów dolarów nie zarobi pan przy swojej pensyjce przez cały wiek harówki.

L: – Założmy, że poszedłbym na to... Czyżby nie zamierzała pani wziąć swojej części?

DL: – Czy koniecznie musimy dzielić taką okrągłą sumę, panie inspektorze?... Chcę, żeby pan mnie dobrze zrozumiał. Ja nie marzę wyłącznie o wielkiej forsie. Przede wszystkim marzę o spokojnym życiu z kimś, kto wzięłby mnie pod opiekę i traktował jak damę. Mam dopiero trzydzieści lat, lecz zmęczyła mnie już ta zabawa w policjantów i złodziei, wieczny strach i niepewność jutra. Mam dość oglądania prawdziwych mężczyzn tylko na ekranie, chcę mieć takiego mężczyznę, kochać go...

L: – Nie kochała pani Goldsteina?

DL: – W łóżku i to ze wstrętem. Brzydzą się tymi bydlakami, którzy są mocni, dopóki nie wpadną w ręce policji. To nie są prawdziwi mężczyźni. Można z nimi spać, ale kochać ich?... A przecież ja także

mam serce i nigdy nie kochałam. W każdym razie do tej pory, bo... bo teraz... wydaje mi się – Gary usłyszał, jak chlipnęła nosem – czy ja się panu podobam? Ja...

L: – Pani jest tak piękna, że musi się pani podobać każdemu, panno Lucas. Ale niebezpiecznie jest panią kochać, czytałem dane o pani...

DL: – Czy to moja wina, że mężczyźni strzelają do siebie z mojego powodu? Nie chcę tego i sama jestem ofiarą! Goldstein zastrzelił Harry'ego Browna i zgwałcił mnie. Żyłam z nim ze strachu, pan wie najlepiej do czego są zdolni. A ja pragnę żyć, jak inne kobiety, z kochanym przeze mnie mężczyzną! Gdyby ten mężczyzna chciał wraz ze mną i z pięcioma milionami dolarów wyjechać na przykład do Ameryki Południowej, byłabym szczęśliwa do końca życia. I dawałabym mu co dzień i co noc tyle szczęścia, ile tylko by zapragnął!... Czy rozumiesz mnie, Joseph?... Czemu nic nie mówisz?

Po tym była długa chwila milczenia, następnie Lingle wstał (Gary poznał skrzywienie jego butów), zrobił kilka kroków i powiedział:

– Nie wiem, co robić... Pani ma olbrzymią siłę perswazji, panno Lucas, ale ja nie wiem... nie mogę, boję się tej gry, to jest... Widzisz, Diano... W tym momencie Gary zaklął soczyście. Taśma się skończyła. Jak w filmie – pomyślał. Te cholerne taśmy mają to do siebie, że zawsze kończą się w najciekawszym momencie! Wstał i nalał sobie szklankę szkockiej. Potem puścił taśmę od początku i jeszcze raz i za każdym razem wsłuchiwał się uważnie w ostatnie, ciche i drżące słowa Lingle'a nie Lingle'a, w to szeptane: „widzisz, Diano...”. Materiał, który uzyskał Gary Taylor, przeszedł jego najśmielsze oczekiwania. Czekał od lat właśnie na taką okazję, wierzył, że ona przyjdzie, ale nie mógł przewidzieć, że dostarczy mu jej właśnie Lingle. Ten sam Lingle, który tępił bezlitośnie korupcję i który wsadził już kilku policjantów za branie łapówek! Niepojęte, jak ludzie głupieją na starość!

Pierwszą rzeczą, której Gary teraz potrzebował, było dossier panny

Lucas.

Dostarczono je im z centralnej kartoteki FBI, lecz Lingle wszystko zabrał do siebie. Gary wolał nie prosić go o te informacje, by nie wzbudzić podejrzeń. Znalazł inne wyjście. W centralnej kartotece pracował jego szkolny kolega, Avery Kahn. Kahn miał bzika na punkcie starej broni – koledzy żartowali, że za muszkiet sprzedałby duszę diabłu. Od kilku już lat Kahn starał się namówić Gary'ego do odsprzedania mu siedemnastowiecznej hiszpańskiej szpady, którą stary Taylor przywiózł z Manili. Dzwonił w tej sprawie regularnie co pół roku, bardziej z przyzwyczajenia niż z wiary w powodzenie. Gary bowiem nie chciał się pozbyć pamiątki po ojcu. Teraz on sam zadzwonił do Kahna.

– Cześć Ave, tu Gary. Mam interes.

– Cześć! O co chodzi?

– O tę szpadę. Ciągłe cię interesuje?

– O rany, jeszcze pytasz?! Człowieku, ja zwariuję!... Ile chcesz za nią?

– Trzy tysiące.

Gary usłyszał jęk Kahna i w słuchawce zapanowała cisza.

– No więc jak? Chcesz ją?

– Jasne, że chcę... tylko...

– To bierz.

– Tak... tylko... Wiesz, Gary... tyle... tyle forsy nie będę w stanie... To za drogo!

– Wcale nie za drogo, Ave. Byłem dzisiaj na Madison Avenue – zablefował Taylor. – W tym domu aukcyjnym.

– U Parke Berneta?

– Tak. Od takiej właśnie sumy wywoławczej rozpoczęliby licytację. Gdybyś wziął udział, to kosztowałoby cię to kilka razy drożej, a tak możesz mieć ją za minimum.

– Wiem, ale ja naprawdę nie mogę, nie mam tyle, Gary! Ostatnio

kupiłem dwa pistolety skałkowe i ładownicę bukanierską i teraz jestem bez grosza.

– Trudno...

– Gary, poczekaj! Nie odkładaj słuchawki!... Chryste Panie, zwariowałbym tracąc taką okazję... poczekaj, może sprzedam wóz, coś wykombinuję...

– Ja już wykombinowałem za ciebie, Avery – powiedział Taylor. – Opuść tę tyśiąc, za który dasz mi wszystko, co możesz wyszperać o Dianie Lucas.

– Przecież daliśmy wam komplet informacji.

– Tak, daliście nam. A ja chcę, żebyś dał to mnie.

– Człowieku, wolno mi to zrobić tylko na polecenie...

– To też wiem, nie jestem idiotą, Avery! Gdybym mógł wziąć od ciebie te informacje drogą urzędową, nie proponowałbym szpady. No więc?

– Ja nie wiem, Gary, doprawdy...

– Zaczynam się niecierpliwić, Ave! Zdaje się, że niezbyt zależy ci na tej szpadzie!... Człowieku, nic nie ryzykujesz, nie musisz nic pisać, po prostu opowiesz mi to przy szklance manhattanu. Czysta sprawa.

Cisza w słuchawce. Gary drżał z podniecenia. Wreszcie Kahn powiedział:

– Okay... Ale...

– Mnie to mówisz, Ave?! Nikt się nie dowie, nie obawiaj się!

Spotkali się w jednej z małych knajpek Bronxu. Gary przyniósł szpadę w tekturowym pudełku po kijach golfowych, zainkasował czek i sącząc ulubiony koktajl słuchał tego, co mówił Kahn:

– Stary, zapracowałem na tę szpadę solidnie! Przedtem, kiedy wasz oddział prosił o dane, wrzuciłem kartę perforowaną do automatu i przesłałem wam maszynopis i zdjęcie ani na to patrząc. A teraz, kiedy musiałem przeczytać, wciągnęło mnie. Niech ja skonam, co za historia! Jeszcze wszyscy żyjecie?

– Co to znaczy?

– Nic nie wiesz? Przez nią chłopaki dostają obłędu i rozwalają się! To, że Goldstein zastrzelił jej kochanka, niejakiego Browna, to jeszcze nic. Czy ty wiesz, człowieku, że sześć lat temu, kiedy ją aresztowano we Frisco, nasi z obyczajówki postrzelali się na posterunku?!... Dwóch chłopaków zginęło! –

Zatuszowano tę sprawę w obawie przed prasą.

– Coś o tym słyszałem, nie wiedziałem tylko, że to właśnie o nią chodzi.

– O nią, Gary, o nią! Kiedy zacząłem czytać o tej kurwie, wciągnęło mnie i zatelefonowałem do Frisco, mam tam kumpla. I wiesz, co mi powiedział w końcu? Powiedział: takiej pięknej dziewczyny nie widziałem nigdy przedtem ani potem! Żebyś ty słyszał, jak on to powiedział! Oni wszyscy powariowali, bracie, zbiorowa aberacja... Ja tego nie pojmuję, tak się podniecać dziewczyną?

Gary Taylor uśmiechnął się w duchu. Przypomniawszy sobie, co słyszał kiedyś o Kahnie, że woli chłopców od dziewczyn. Coś musiało być w tej plotce.

– Ale to nie wszystko. Wsadzono ją na dwa lata i w ciągu tych dwóch lat wyrzucono z pudła dwie strażniczki, bo owineła je dookoła palca, a raczej dookoła dupy! Możesz to zrozumieć, stary?

Gary mruknął na odczepnego:

– Mogę.

– Naprawdę?

– Naprawdę... Przejdź do rzeczy.

– Tak?... No więc masz. Córka austriackich emigrantów sprzed drugiej wojny. Pierwszy raz notowana w sześćdziesiątym dziewiątym. Miała wtedy siedemnaście lat, związała z domu i ukradła jakieś kosmetyki. W trzy lata później rąbnęła grubszą forszę klientowi, adwokatowi. Puszczala się tylko z panami z towarzystwa. W pierdlu nazywano ją „kloaczna Venus”. Bawiła się też w

szantażowanie. Weszła w spółkę z jednym alfonsem z Atlanty. Wynajęła luksusowy apartament i zapraszała tam swoich klientów, a ten alfons robił im zdjęcia przez otwór w ścianie i nagrywał rozmowy. Potem ściągali od frajerów haracze. Aż nadziali się na jakiegoś senatora, który miał wpływy i wsadził ich... Zaraz, co jeszcze? W siedemdziesiątym ta heca we Frisco, to już mówiłem... Potem siedziała przez dwa lata, potem wyszła, potem... Tak, w siedemdziesiątym czwartym znowu siedziała przez tego senatora. Wyciągnął ją z pierdła Goldstein. Od tej pory pracowała dla niego. Ostatni raz notowana w siedemdziesiątym piątym, podejrzana o współudział w zabójstwie Browna. Zwolniona z braku dowodów.

– To wszystko? – spytał Gary.

– To wszystko, co jest w papierach. A teraz posłuchaj, co ja myślę, będziesz wiedział, co jest grane. Ta dziewczyna potrafi owinąć dookoła palca prawie każdego faceta. Nie wiem, jak to robi. To jest chyba tak, jak ze zdolnością do posługiwania się energią biologiczną do sztuk parapsychologicznych. Podobno każdy z nas ma to w sobie, tylko nie każdy potrafi wyzwolić. Myślę, że to, co ona ma w sobie, ma każda kobieta, tylko nie każda umie się tym posługiwać. A ona jest w tym czymś profesorem! Jeśli chce, to doprowadza facetów do amoku. I czai się obok niej śmierć, trzeba uważać. Encyklopedyczny przykład „femme fatale”. W sam raz trafiła właśnie w wasze łapy, bo widzisz, ona jest jak narkotyk, jak heroina albo jeszcze gorzej. Jeśli już cię kupiła, to pisz testament!

– Skończyłeś?

– Tak i teraz będę się narkotyzował... tą szpadą! Widzisz, każdy ma jakiegoś zajoba, którym się szprycuje.

– No to się szprycuj. Cześć.

W dwa dni później Gary Taylor nagrał kolejną taśmę w archiwum. Kiedy ją przesłuchał, podjął decyzję. Potem minął jeszcze jeden dzień i Lingle zwołał naradę, w czasie której podsumował wyniki

dotychczasowego śledztwa. Między innymi oznajmił podwładnym, że Diana Lucas nie zostanie chwilowo przekazana do dyspozycji prokuratury, gdyż z jej pomocą poprowadzą kolejną grę uderzając w gangsterski syndykat. Pierwszą fazę tej nowej, gry zrealizuje on sam. Zakończył przekazując Gary'emu kierowanie oddziałem na dwa dni z powodu swego nagłego wyjazdu służbowego do Waszyngtonu.

Gary wiedział już co to za wyjazd i przygotowywał się do niego również. Wiedział, że Lingle pojedzie do Bostonu, a nie do Waszyngtonu, i wiedział jeszcze kilka innych rzeczy, które pozwalały mu wierzyć w swój sukces.

W tajemnicy przed szefem udał się, do magazynu aresztanckiego i zażądał pokazania mu rzeczy osobistych panny Lucas, po czym wpiął w pasek jej torebki igłowy mikrofon, nie większy od szpilki z kolorowym łebkiem.

Rankiem tego dnia, kiedy inspektor Lingle wsiadł do swego samochodu wraz z Dianą Lucas, porucznik Gary Taylor zadzwonił do biura i poinformował, że ma silną anginę. Następnie wskoczył do wozu i pomknął w kierunku Bostonu. Tuż za White Plains dostrzegł zielonego forda szefa. Lingle jechał z przepisową szybkością, dokładnie pięćdziesiąt pięć mil na godzinę, tollwayem nr 95 przez Stamford, Norwalk, Bridgeport i New Haven. Gary trzymał się w bezpiecznej odległości za nim i zwalniał za każdym razem, kiedy dostrzegał przejazdy płatnicze tollwayu, przy których Lingle hamował dla wrzucenia dwudziestopięciocentówki do białego koszyka. Dopiero przed New London zjechali z tollwayu na bezpłatny zielony highway Interstate, na którym mógł zmniejszyć czujność i uważniej przysłuchiwać się temu, o czym inspektor Lingle gawędził z panną Lucas.

O czternastej, po czterech godzinach jazdy, samochód Lingle'a dosięgnął skraju Bostonu i skręcił w prawo, na szosę nr 93. Kiedy w

kilkanaście minut później wjechał między willowe domy przedmieścia Braintree, Gary usłyszał pisk opon i sam również zahamował. Potem doszedł go ze słuchawki zgrzyt butów na zwirowej alejce, chwila ciszy i głos Diany Lucas:

– Dzień dobry, czy kuzynka Billa wróciła z wakacji?

Znowu chwila ciszy i męski, lekko ochryply głos:

– Zdała wczoraj ostatni egzamin i wyjeżdża na praktykę.

– Mam nadzieję, że nie dalej jak do Sioux Falls. Tam często pada – podała dalszą część hasła panna Lucas.

– Do San Diego – padło w odpowiedzi – tam świeci słońce... W porządku, już otwieram.

Potem zgrzyt zamka u furtki, kroki, trzask zamykanych drzwi i znowu ten sam męski głos, z wnętrza domu:

– Pokażcie znak od bossa.

– Chwileczkę (to mówił Lingle), kim jest ten facet?

– To mój chłopiec, taki zdolniak w szybkim wyciąganiu spluwy. No więc, gdzie znak?

– Proszę (Lingle).

I zaraz potem dwa strzały, czyjś jęk i cisza. I znowu Lingle:

– Nie rób głupstw, Buchanan, rączki w górę! Twój gorylek był za słabo zdolny, jak widzisz. Diano, odbierz mu spluwę... Dobrze. Teraz...

Buchanan przerwał mu:

– Człowieku, czyś ty zwariował?! Wiesz kogo napadłeś?!... Gdzie się schowasz, na biegunie północnym?

Lingle:

– Za dużo mówisz, Buchanan. Nie mów nic więcej, tylko posłuchaj. Otóż ja jestem z tych facetów, co to z braku poczucia humoru mają cholernie nerwowy palec na spuście i nigdy niczego nie powtarzają dwa razy. Jeśli nie chcesz iść za tym twoim zdolniakiem, pokaż gdzie jest sejf! Ruszaj!

Kroki na schodach.

– Otwórz! (Lingle).

Cichy pisk przesuwanych zamków.

– Wystarczy. Sam wyjmę kasetkę, daj klucz... Dziękuję... No, to do widzenia, Buchanan.

Dwa strzały i po nich jeszcze jeden. Gary poderwał samochód i ruszył na pełnym gazie.

Drzwi w ogrodzeniu willi były zamknięte tylko na klamkę. Pobiegł asfaltową alejką do schodków z białą balustradą i ostrożnie nacisnął klamkę u drzwi wejściowych. Pchnął je... Miał przed sobą pusty korytarzyk. Wyjął rewolwer, odbezpieczył i zaczął się skradać. Puszysty dywan tłumił odgłosy kroków. Na końcu korytarza, obok wejścia do hallu, zobaczył otwarte drzwi do piwnicy. Na pierwszym stopniu leżał młody mężczyzna z przestrzelonym czołem. Na twarzy zakrzepła mu cienka strużka krwi, sięgająca szyi i niknąca pod kołnierzem koszuli. W prawej dłoni trzymał pistolet. Gary zdjął buty, przekroczył ciało zabitego i zaczął schodzić w dół po kamiennych schodach.

Kiedy stanął na ostatnim, ujrzał na posadzce smużkę światła ze szpary w ostatnich drzwiach i usłyszał ich przytłumione głosy.

Lingle pakował banknoty do skórzanej walizki i nie zdążył sięgnąć po broń. Gary, zanim strzelił, przez kilka sekund smakował swój triumf patrząc na zmartwiałą z przerażenia twarz inspektora.

W momencie, gdy Lingle padał, kobieta osunęła się na kolana.

– Proszę cię... proszę! – krzyknęła histerycznie. – Nie, ja nie chcę umierać, proszę, nie zabijaj mnie!... Proszę...

Po twarzy ciekły jej łzy zmieszane z zielonym tuszem. Ręce złożyła jak do modlitwy.

– Nie rób tego, nie strzelaj!... Ja przecież chciałam tylko odrobinę szczęścia w życiu... być daleko od tych strzałów, morderstw, od tej całej ohydy... O Boże, czy to tak wiele? Całe życie marzyłam o

mężczyźnie, który by mnie kochał! Gdybyś chciał... gdybyś... Czy budzę w tobie wstręt?

Powiedz...

Podniosła się i zaczęła iść w jego kierunku. Idąc rozpięła bluzkę.

– Powiedz, czy mógłbyś tak łatwo zabić kobietę? Nie odtrącaj mnie, proszę...

Wcale nie miał zamiaru jej odtrącać. Gdy wyciągnęła rękę i dotknęła dłonią jego policzka, poczuł jak przenika go nieznaną dreszcz. Zabezpieczył broń, wsunął ją do kieszeni i jeszcze przez chwilę stał bez ruchu, poddając się fali gorąca, a potem przyciągnął kobietę do siebie i zamknął ją w swoich ramionach.

Tak właśnie miało być. Ona i te pięć milionów, które wystarczą mu do końca życia. Marzył o jednym i o drugim i zdobył wszystko! Wszystko!

Kiedy oderwał usta od jej ust, spojrzał na zegarek i spytał szeptem:

– O której odlot?

– Niedługo, Taylor, a ja będę pilotem! Tylko nie do Rio, ale do paki. Zdejmij płaszcz, zanim staniesz pod ścianą, i nie sięgaj ręką do kieszeni, bo możesz jej już nie wyjąć! O tak, w porządku.

Ten głos zza pleców, głos Avery'ego Kahna, dotarł do Gary'ego przez falę erotycznego uniesienia z małym opóźnieniem. Lecz gdy już dotarł – ogłuszył.

Gary oczekiwał na strzał, lecz zamiast tego usłyszał, jak Kahn podnosi słuchawkę telefonu i wykręca numer.

– Halo, proszę mnie połączyć z nadinspektorem Clarkiem... Co? Radzę pani, żeby był! To niezmiernie ważne!... Dobrze, czekam.

W tym momencie Gary przestał cokolwiek rozumieć. Czuł się pusty, jakby uszło zeń całe życie. Usłyszał głos Diany:

– Proszę pana... panie...

– Kahn, Avery Kahn.

– Panie Kahn, pięć milionów dolarów można podzielić...

– Przez trzy?

– Nie, przez dwa.

– Słyszysz, Taylor? – zaśmiał się Kahn. – Ach, ty frajerze, widzisz, jak cię lubi ta mała!

Gary oparł czoło o ścianę i zamknął oczy. Chłód tynku przynosił mu ulgę.

Kahn wciąż czekał. Panna Lucas próbowała jeszcze raz dogadać się z nim, lecz Avery z miejsca jej przerwał:

– Zamknij się, laleczko! Nie próbuj mnie oczarować, w moim przypadku twoje sztuczki trafiają w próżnię. To wina natury, po prostu ja nie przepadam za dziewczynkami, rozumiesz, co mam na myśli? Więc nie wysilaj się.

– Tym bardziej potrzebna panu forsa...

– Sam wiem, co mi najbardziej potrzebne!... Hallo!... Hallo, tu Kahn z centralnej kartoteki. Panie nadinspektorze, inspektor Lingle nie żyje! Dzwonię z Bostonu, z Braintree, ulica...

Gdy Gary usłyszał syreny wozów policyjnych, był już spokojny i mógł spytać:

– Avery, powiedz mi dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego mnie śledziłeś i co z tego masz? Głupią pochwałę, premię, może awans... Najpierw myślałem, że chodzi ci o tę forszę, potem że o dziewczynę, a teraz już nic nie wiem. Nienawidzisz mnie?

– Brawo, zgadłeś – odpowiedział Kahn.

– Dlaczego?... Dlaczego mnie nienawidzisz? Myślałem, że mnie lubisz, dałem ci przecież tę szpadę, na której tak ci zależało.

Kahn podszedł do niego, szarpnął go za ramię i odwrócił plecami do ściany, a potem, patrząc mu w twarz, wycedził:

– To jest falsyfikat z drugiej połowy dziewiętnastego wieku, przyjacielu, wart sto dolarów! Nigdy w życiu nie nabrano mnie tak

perfidnie i nigdy nie śmiano się ze mnie tak głośno, jak na posiedzeniu Towarzystwa Zbieraczy Militariów, kiedy pochwaliłem się tym szmelcem!

Część II

BYŁ SOBIE CZAS

*Czas jest wężem, który kąsa tych, co
nie umieją go użyć, i który pięści
tych, co wiedzą, jak nim manipulować.*

(Aleksander Dumas – ojciec:
Urban Grenadier, akt I.)

PROFESORA MEADOWSA TEORIA KOŁA

– Dobrze już, dobrze, niech będzie. Co prawda to jest mój czas karmienia Dicka, ale skoro pofatygował się pan i... Kto to jest Dick? Delfin.

Słucham?... Tak, prawdziwy delfin. Właściwie już oswojony, z czego jestem bardzo dumny. Mam wśród morskich stworów kilku kumpli i z każdym spotykam się gdzie indziej, w różne dni, a Dick to mój faworyt numer dwa.

Mam z nim *rendez-vous* co poniedziałek, środę i piątek o pół mili od brzegu, w miejscu, które tylko my znamy. Bawimy się razem w morzu, ale nie za darmo. Ten łobuz to nienasycony żebrak, bez jakiegoś dobrego kąska nie mam po co wchodzić do wody... Najchętniej zje czekoladę, jak bym o tym powiedział zoologom, osiwieliby ze zdziwienia. O, niech pan spojrzy, tam, nad tą półką, wisi jego zdjęcie... Sympatyczna mordka, co?... A ten facet w czepku i okularach to ja. Widzi pan, jak patrzy na mnie?... Przy nim nie muszę się obawiać rekinów, pilnuje mnie jak niańka i ostrzega w porę. Nie wyobraża pan sobie, jaka to inteligentna bestia, znam wielu ludzi głupszych od niego o co najmniej czterdzieści punktów! Nigdy się nie pomyli, przypląwa tylko w poniedziałki, środy i piątki. Czasami wydaje mi się, że rozumie, co do niego mówię. Kiedyś krzyknąłem do mojego sternika, żeby mi podał... Słucham?...

No tak, proszę mi darować, rozgadałem się... Tak jest, rozumiem, że pan nie po to... Tak, oczywiście, proszę pana, już przechodzę do rzeczy. Trudno, dzisiaj Dick będzie musiał pohulać beze mnie. Może mu to zresztą wyjdzie na dobre, uważam, że skurczybyk już dawno zamiast uganiać się za moim jachtem i opychać czekoladą, powinien

był poszukać sobie jakiejś zgrabnej i w miarę potulnej delfinicy. Chociaż może to i lepiej, że jest kawalerem, bo czuję, że jak się drań ożeni, to będzie ją zapraszał do wyżerki, a ja będę musiał zabierać podwójne porcje. Cadbury i inne firmy podwoją sobie kapitał przez moją sympatię dla tego żarłoka... Och, *sorry*, ma pan rację, znowu zawracam panu głowę, przyrzekam, że więcej nie będę! Tak więc, chce pan wiedzieć... Zaraz, ustalmy najpierw, od czego mam zacząć?... Wiedziałem, że pan tak właśnie odpowie. Na pytanie: „od czego zacząć?” faceci pańskiego pokroju odpowiadają: „od początku”, zwłaszcza gdy znają ów początek. Ale czy pan go rzeczywiście zna? Jeśli tak, to czemu pan nalega, bym opowiedział całą tę historię? Blefuje pan, czy tylko chce sprawdzić detale?... Początek to teoria koła czasu. Czy zgłębił pan teorię koła czasu?... No już dobrze, dobrze, proszę nie podnosić głosu. Jak pan sobie życzy, nie będę zadawał pytań, tylko odpowiadał. Proszę mi przerywać, kiedy coś nie będzie jasne. A więc, tak jak mówiłem, jeśli mamy wystartować rzeczywiście od początku, to musimy zacząć od koła czasu. Wątpię, czy zna pan *Obrót czasu*, ale zapewne słyszał pan o teorii mojego ojca w radiu, w telewizji lub może czytał pan coś w prasie.

Pisali o tym sporo, rozpętała się taka karuzela polemik, że sam przestałem się w tym orientować. Głównie w czasopiśmie fachowych, lecz w „Washington Post” i w „New York Herald Tribune” też zrobili z tego wstępniaki. Co prawda dziennikarzom chodziło przede wszystkim o sensację, wie pan: jajogłowi obrzucają się zgniłymi jajami, dla pismaków taki numer to gratka, żerują na takich hecach, ale też trudno sobie wymarzyć lepszą reklamę. NBC nagrało z ojcem dwa programy i jeszcze dyskusję dotyczącą tej książki... To była jego czwarta książka. Mój stary był fizykiem, wykładał w kilku uczelniach i prowadził różne badania, które mocno krytykowano. Właściwie od pierwszej jego publikacji – był nią

studencki artykuł – rzucono się na niego. Trwało to całe lata, zdążył nauczyć się tańczenia w ogniu zarzutów i niełatwo było przyprzeć go do muru... Nazywano go alchemikiem, czym się nie przejmował, mimo że przez to musiał ciągle zmieniać pracę. Pamiętam, włóczyliśmy się z matką po całych Stanach, jak pierwsi osadnicy na Zachodzie. A za nami włóczyli się dziennikarze i zbijali forszę na szaleństwach ojca. Woziliśmy ze sobą pudło po telewizorze, pełne wycinków prasowych: Pomagałem staremu segregować je i naklejać, zanim jeszcze poszedłem do szkoły. Nie rozumiałem słów, ale fascynowały mnie wielkie tytuły z nazwiskiem ojca i moim. Litery z tego nazwiska były pierwszymi, jakie poznałem i zapamiętałem. Wszystkie te artykułiki, pamflety i „rewolwerowe” notki, cała ta aura sensacji wokół wędrującego alchemika, były niczym, stanowiły tylko preludium kolosalnego rozgłosu, jaki ojciec uzyskał w wiele lat później, po opublikowaniu *Obrotu czasu...* Po raz pierwszy napomknął o tym, to jest o kole czasu, w swojej drugiej książce. Powiadam: napomknął, gdyż znalazły się tam jedynie elementy ostatecznej wersji teorii, która narodziła się później. W tej książce ojciec zajął się analizą napięć elektromagnetycznych w kole Vernhorsta i wynikającymi z nich możliwościami badania zależności czasoprzestrzennych. Już wówczas miał naszkicowany zarys swej teorii, wołał jej jednak nie przedstawiać przed usamodzielnieniem się i uzyskaniem dorobku naukowego, który zapewniłby mu nietykalność ze strony akademickich prominentów, pamiętających dobrze jego wcześniejsze „nieodpowiedzialne wybryki”. Musiał przycichnąć, przybrać na wadze i godności, odczekać, aż kilku sędziwych dinozaurów, jego zagorzałych wrogów, opuści ten padół i przeniesie się na łono Wielkiej Niewiadomej.

Dlatego przez kilkanaście następnych lat formalnie zajmował się wyłącznie fizyką tradycyjną, dokonał kilku ciekawych odkryć i nawet

otarł się o nagrodę Nobla. W rzeczywistości poświęcił się doskonaleniu teorii koła i budowie wzmacniacza psychofizycznego w oparciu o koncepcję Vernhorsta... Trwało to długo, matka zdążyła w tym czasie umrzeć, a ja dorosłem, skończyłem studia i zacząłem pomagać staremu... Właśnie wtedy, gdy zacząłem pracować w jego Instytucie, ojciec ogłosił swoją teorię w książce pod tytułem *Obrót czasu*. Nie wiem, jak długo ją pisał, chyba przez te wszystkie minione lata. Żył tym, żył tym tak bardzo, tak morderczo intensywnie, że mnie, matkę i wszystko inne dookoła z ledwością dostrzegał. Tolerował nas. Bez przerwy korygował zawartość tej książki, zmieniał, do ostatniej chwili uzupełniał tabele i wykresy.

Nawet dwukrotnie cofał z drukarni i jeszcze w korekcie przewrócił do góry nogami jeden z rozdziałów, za co wydawca potrącił mu jakąś część honorarium. Zabronił reklamowania książki przed jej ukazaniem się na półkach księgarskich, było to zagwarantowane w umowie. Trząśł się ze strachu, że mu ktoś wykradnie pomysły z maszyn drukarskich, toteż zmajstrował sobie wtyczkę, „trzecie oko” – opłacił jednego z drukarzy, by ten mu pilnował składania i donosił o wszystkim. Dopiął swego... zresztą zawsze dopinał swego, był jak czołg skrzyżowany z najbardziej upartym mułem świata.

Książka, zgodnie z jego oczekiwaniami, okazała się bombą, wybuch dobrze wstrząsnął całym światem naukowym. Dzisiaj jest to już biały kruk, myślę oczywiście o pierwszym wydaniu, było bowiem wiele wznowień, nawet w kieszonkowcach. A także konferencje, spotkania, polemiki w gronie akademickich gwiazd w togach, no i telewizja, mówiłem już o tym. Słowem, po eksplozji wewnętrzśrodowiskowej eksplozja reklamy w środkach masowego przekazu i – co za tym szło – popularności na miarę Myszki Miki, tylko że o wiele krótszej, krótkiej jak sława sportowca. Pamięta pan, kto zdobył w Meksyku złoty medal w skoku wzwyż?... Jasne, że nie, nikt nie pamięta, chociaż od nazwiska Fosbury'ego wzięła się

nazwa stylu Fosbury Flop, używana do dzisiaj. Nawiasem mówiąc Fosbury był moim idolem, bo też trenowałem skok wzwyż. Jako szczeniak wielbiłem go, a jego autograf powiesiłem w swojej sypialni, nad łóżkiem, ale potem mi zaginął podczas którejś z przeprowadzek. Fosbury miał na imię Dick, dlatego nazwałem tym imieniem mojego delfina. Dick skacze prawie cztery metry w górę, potrafi wyjąć mi z ręki czekoladę, którą trzymam siedząc na szczycie maszty... Co?...

Tak, już wracam do sedna. No więc, jak powiedziałem, mój ojciec był jak sportowiec. Właściwie to on był sportowcem, był wielkim „fighterem”. Dobił się sławy, ale potem zaczęła ona blaknąć i gdyby nie ta masakra, zapewne jego nazwisko nigdy już nie powróciłoby na pierwsze strony dzienników... Dzisiaj wspominają go tylko fizycy. Ale wówczas, po opublikowaniu *Obrotu czasu*, był gwiazdorem i forsował reklamę swojej osoby i swojej teorii bez skrupułów.

Wtedy już mógł sobie pozwolić: przestał być Meadowsem czy alchemikiem Meadowsem, stał się profesorem Meadowsem, sławą o międzynarodowym autorytecie. Mógł i zarazem musiał. Musiał z dwóch powodów. Po pierwsze – kilkunastoletnie badania wyczerpały go zupełnie finansowo, zjadły cały posag matki i nagrody, które otrzymywał za tradycyjne odkrycia. Książka, a jeszcze bardziej szum podniesiony wokół niej, przyniosły mu fortunę. Ważniejszy był jednak drugi powód – ojciec musiał nadać sprawie rozgłos, by znieść ku sobie media... Z mediami jest zawsze najwięcej kłopotu. Nie, nie chodzi o szarlatanów, tych rozszyfrowuje się w kilka godzin, czasami po kilku minutach. Problem polega na znalezieniu mediów autentycznych, których jest niezbyt wiele. W wypadku ojca w grę mogły wchodzić tylko media o specyficznych predyspozycjach, bardzo rzadkich. Chodziło o osobników jasnowidzących lub wykazujących przynajmniej predyspozycje tego typu oraz o ludzi, u których zaobserwowano funkcjonowanie

czegoś, co można nazwać pamięcią genetyczną. Klasycznym przykładem jest tu wydarzenie, które miało miejsce w naszym kraju i którym ojciec bardzo się interesował. Nie tylko zresztą on, przez całe lata przypadek ten zaprzętał umysły naukowców u nas i w Europie, zwłaszcza w Niemczech. Otóż pięćdziesięcioczeroletnia żona pewnego pastora z New Mexico, nie pamiętam nazwiska... zaraz, to chyba..., no, nie pamiętam! W każdym razie miała na imię Mary, nazwisko nie jest tu zresztą istotne... A więc ta stara kobieta cierpiała na uporczywe silne bóle głowy. Leczono ją na wszelkie sposoby, ale bez skutku, co nie jest niczym dziwnym, zna pan lekarzy. Po pewnym czasie zacny pastor stracił wiarę w naszych konowalów i postanowił sam zabrać się do roboty. Był hipnotyzerem-amatorem, bawił się tym, ktoś mu podszeptał, że hipnozą można też leczyć.

No i zahipnotyzował małżonkę. Wówczas zaczęły się dzieła cuda. Podczas kolejnych seansów hipnotycznych Mary zaczęła mówić po niemiecku, chociaż nie znała tego języka i nigdy dotąd się nim nie posługiwała! Jej monologi zostały nagrane na taśmę magnetofonową i poddane analizie filologicznej.

Okazało się, że jej niemieczyzna jest niemieczyzną z epoki Bismarcka. Nie to wszakże zaszokowało naukowców, lecz wynik analizy treściowej gaworzenia Mary. Podczas jednego z seansów pani pastorowa oświadczyła, że gdy miała szesnaście lat i nazywała się Gretchen Gottlieb, została zamordowana w lesie, kiedy czekała w karcie na swego ojca, burmistrza. Sprawdzono tę historię.

Okazało się, że Mary istotnie pochodziła z rodziny emigrantów niemieckich i że w tej rodzinie zdarzył się około roku 1870 opisany wypadek – zamordowana została szesnastoletnia Gretchen Gottlieb. Wy tłumaczono to, lub raczej próbowano wytłumaczyć, właśnie istnieniem pamięci genetycznej bądź, jak powiadali inni jajogłowi, pamięci gatunku, pozwalającej na odtwarzanie wydarzeń z czasów

niemal zamierzchłych drogą przekazywania ich przez geny z pokolenia na pokolenie. Zastanawiano się, jak tę pamięć wyzwolić. Hipnozą?

Przeprowadzono liczne eksperymenty, z miernym skutkiem. Farmakologicznie? Przez ćwiczenie psychiczne, kontemplację, jogę? Oto jest pytanie! Fascynujące, prawda?... Że co?... Że to nie ma nic do rzeczy? Pan raczy żartować sobie! To ma wiele do rzeczy, bo w końcu to mój ojciec skonstruował wzmacniacz psychofizyczny, który... Słucham?... Drogi panie, trochę cierpliwości, sam pan życzył sobie pełnego opisu wydarzeń, a teraz pogania mnie pan jak konia!... Przez cały czas trzymam się ściśle sedna sprawy, proszę się nie niecierpliwić. Opowiedziałem o przypadku pani Gottlieb dokładniej, gdyż ma to istotne znaczenie dla zrozumienia teorii ojca. Staram się to panu wyjaśnić jak najprościej, ale jeśli to zbyt skomplikowane, zacznę z jeszcze innej beczki. Może coś uproszczę, mój stary wściekłby się na mnie za takie wulgaryzowanie, ale to łatwo trafia do wyobraźni... Hmm, jakby to... Miałem nie zadawać pytań, lecz wybaczy pan jedno odstępstwo od reguły. Chcę spytać, czy zdarzyło się panu znać doskonale miejsca, układy ulic i placów, szyldy i krajobrazy, w których zjawił się pan po raz pierwszy?... Idzie pan ulicą miasteczka, w którym – jest to absolutnie pewne – nigdy pan nie był, nie mógł być, a wie pan, co znajduje się za rogiem! Albo śni się panu owo miasto, zanim po raz pierwszy w życiu pan je odwiedzi. To samo z ludzkimi twarzami.

Co prawda istnieją sobowtóry, a kobiety w nocy tak się do siebie upodabiają jak sąsiednie klatki na taśmie filmowej, ha, ha, ha, ha, ha, ha!... Przepraszam, ma pan rację, wiem, że nie przyszedł pan tu żartować i wiem, że to poważna sprawa, zapomniałem się. Ale, przyzna pan, zdarza się ludziom widzieć twarze, które ich bulwersują, zaczyna się mocowanie z pamięcią, gorączkowa łamigłówka, często beznadziejna. Wówczas, jeśli nie udaje się

otworzyć właściwej furtki w zachwaszczonym ogrodzie pamięci, składamy nie rozszyfrowane skojarzenia na karb jakiegoś starego filmu lub przypadkowego spotkania przed laty. A to nie zawsze jest odpowiedź prawidłowa. Problem sobowtórów... Nie chcę się nad tym rozwodzić, zwłaszcza że badania ojca nad sobowtórami okazały się niewypałem, zaprowadziły w ślepą uliczkę, ale to z powodu braku odpowiedniej liczby idealnych osobników, tak zwanych fenomenów, z powodu błędów popełnionych w trakcie prac, lecz, proszę mi wierzyć – ten problem jest pasjonujący! Ojciec w pewnym momencie przerwał badania, o władnęła nim bowiem pasja przeanalizowania więzi między bliźniakami jednojajowymi. Kolejny problem, fascynujący! Wie pan, że jeśli jeden z takich bliźniaków złamie rękę, drugi czuje straszliwy ból w tym samym miejscu, nawet jeśli znajduje się w tym samym czasie na innym kontynencie. Jeśli jeden choruje, drugi zapada na tę samą chorobę, jeśli jeden umiera na zawał serca, drugi dostaje ataku symultanicznie i zdarza się, że też umiera... Takich osobnych zagadnień było kilkanaście, a wszystkie składały się na mozaikę cokołu pod teorią ojca. Wśród tych problemów zagadnienie sekretów pamięci ludzkiej grało główną rolę. Właśnie te ulice, szyldy, krajobrazy, które już się kiedyś widziało... Nie odpowiedział mi pan na pytanie, czy zetknął się pan z czymś takim w swoim życiu, zdarzyło się to panu?... No właśnie! Tak jest nie tylko z panem, identycznych wrażeń doznaje wielu ludzi, można bez większego ryzyka powiedzieć, że prawie każdy. Mój ojciec w młodości sam dwukrotnie zetknął się z czymś takim i zaczął nad tym przemyśliwać, szukał przyczyn. Szukając poszedł inną drogą niż te, które wybrali przed nim zafascynowani tą sprawą entuzjaści i doszedł do swej teorii koła... Proszę teraz zamienić się w słuch, bo i my dotarliśmy do najważniejszego. Gdybym chciał wyjaśnić to panu szczegółowo, musiałbym nie tylko powtórzyć cały *Obrót czasu*, ale i wyniki późniejszych badań.

Darujmy to sobie, postaram się streszczać, podam panu uproszczony opis i motywację tak lapidarną, jak tylko można... Zresztą już jest... czwarta! Widzi pan, czas oszalał... Nie jest pan głodny?... To może napijemy się. Whisky czy dzin? Albo może... Jak pan chce. Wobec tego powracam do rzeczy.

Podstawowe pytanie: dlaczego koło czasu? Niech pan zauważy, że wszystko co istotne we wszechświecie ma formy koliste lub wręcz jest kołem. Ziemia, ruchy planet, człowieka również można wpisać w okrąg, czynili to już starożytni, a z jeszcze większym upodobaniem wielcy mistrzowie renesansu, poszukujący idealnych proporcji i modułów ciała ludzkiego, zwłaszcza malarze i architekci. W naszych czasach bawił się w to Le Corbusier, to znana sprawa... Linia prosta? Nawet dzieci wiedzą, że zakrzywia się ona w przestrzeni, jeśli więc nieustannie się zakrzywia – tworzy układ zamknięty, koło... Mój ojciec, proszę pana, odrzucił linearną koncepcję czasu i przyjął za epicentrum swych rozważań koło czasu. Samo to nie jest jeszcze rewelacją, gdyż taka hipoteza też wlecze się za ludzkością, chyba od czasów antycznych, lecz teoria profesora Meadowsa zakłada ściśle określony i zdeterminowany ruch jednostek czasu po obwodzie koła. Mówiąc najprościej: ojciec twierdził, że każdy moment lub raczej zdarzenie zaistniałe w czasie powtarza się wielokrotnie. Wszystko nie tylko już było, lecz i będzie ponownie, powtórzy się. Dziecku można to najprościej wytłumaczyć posługując się jakimkolwiek faktem historycznym. Na przykład, że bitwa pod Gettysburgiem, jeśli nawet wydarzyła się dopiero raz, to wydarzy się jeszcze w przyszłości i to wielokrotnie, choćbyśmy dokonali wcześniej wielkiego bang!... Owszem, istnieją na to dowody, przynajmniej mój ojciec tak twierdził. Niewątpliwie słyszał pan o Erichu von Dänikenie, tym Szwajcarze, który tropi ślady kosmitów na Ziemi. Odnalazł on i rozreklamował liczne ikonograficzne przekazy z przeszłości pokazujące skafandry do

lotów kosmicznych, pojazdy kosmiczne i temu podobne rzeczy. Postawił także wiele pytań w rodzaju: jakim cudem starożytni mogli przynosić na dalekie odległości bloki kamienne, których technika współczesna nie jest w stanie nawet ruszyć z miejsca?

Däniken twierdzi, że wszystko to, te starojapońskie figurki w skafandrach kosmicznych i te bloki kamienne liczące sobie po dwadzieścia ton, są relikdami supertechniki, jaką przed wiekami przynieśli na Ziemię mieszkańcy innej planety, czyli kosmici. Podstawowy zarzut wysunięty przeciw Dänikenowi przez świat naukowy brzmiał: jeśli te skafandry na ikonografii sprzed wieków i tysiącleci są takie podobne do używanych przez współczesnych kosmonautów, to znaczy, że owi kosmici musieli być fizycznie bardzo podobni do ludzi, co jest jawnym nonsensem. Zarzut ten jednak tracił na wadze, jeśli przyjęło się teorię koła czasu. Bo mój ojciec inaczej zinterpretował znaleziska, na które powoływał się Däniken. Ojciec twierdził, że ludzie już kiedyś dokonywali lotów kosmicznych i mieli bardzo wysoko rozwiniętą technikę. I że to się teraz zaczyna powtarzać na kole czasu... Rozumie pan?... Ja wiem, że to niełatwo zrozumieć, może nawet trudniej niż „metateorię” Hugh’a Everetta z roku 1957... Everett to fizyk z Princeton, twierdzący, że nie istnieje pojedyncza sekwencja wydarzeń w czasie, lecz że od momentu narodzin wszechświata rzeczywistość rozgałęziła się na różne stany względne, których liczba może być nieskończona, to jest, że istnieją równoległe do siebie światy, z których każdy jest tak samo prawdziwy... Co?... Dobrze, wracam do tematu... Mój ojciec wyśmiewał „metateorię” Everetta, nazwał ją „pieprzeniem jednej kobiety przez stu facetów w tym samym momencie” i dalej reklamował swoje koło czasu... Wspomniałem już, że pojęcie koła czasu nie jest czymś nowym w historii. Z tym, że w przeciwieństwie do starych teorii tego typu, mgławicowo nieokreślonych i mistycyzujących, bazujących wyłącznie na

spekulacjach filozoficznych, w teorii mojego ojca był dobrze rozbudowany aparat naukowo-badawczy i zawierała ona ściśle determinanty matematyczne. Według niej – znowu najkrócej i najprościej to ujmując – częstotliwość powtarzania się zdarzeń jest wprost proporcjonalna do wielkości średnicy koła pomnożonej przez współczynnik stężenia tak zwanej masy podstawowej, czyli pierwotnej.

Czy mam to wyjaśnić bardziej precyzyjnie?... Dobrze, idźmy więc dalej. W *Obrocie czasu* ojciec wyłożył swą teorię tak fachowo i szczegółowo, że pewne fragmenty tego wykładu mogły być zrozumiałe tylko dla specjalistów. I specjaliści – to oczywiście – najżywiej na nią zareagowali. Jednakże wystarczyły podobne do tego, jakim ja uraczyłem pana, wulgaryzujące streszczenia w gazetach, by zainteresowali się tym też ludzie, całe rzesze ludzi, ojciec otrzymywał mnóstwo listów. Jedni nazywali go szarlatanem, inni geniuszem, jak to zwykle w takich wypadkach. Dla wielu była to sezonowa sensacja typu potwór z Loch Ness, ale byli i tacy, którzy przejęli się na dobre, podsuwali ojcu pomysły, podawali wypadki z własnego życia lub zasłyszane historie, które miały związek z pracami ojca... Wie pan, w Azji na przykład największe zainteresowanie wzbudził rozdział, w którym ojciec tłumaczy za pomocą swej teorii reinkarnację. Tu zresztą nawet terminologia się zgadza, gdyż jedno z największych świąt lamaickich, w którym mistrzem rytuału jest

Dalaj Lama, zwie się *Kalachakra*, co znaczy właśnie Koło Czasu. Nawet dla azjatyckich teologów dowodzenia ojca w tej materii były rewelacją, co oczywiście nie znaczy, że przyjęli wszystko brawami. W każdym razie musieli przyznać, że jego, jak to nazwali, „zachodnie spojrzenie na reinkarnację” jest oryginalne i warte dyskusji. Najbardziej nie podobało się im – znowu cytuję, chociaż może niezbyt dokładnie – „natrętne sprowadzanie przez profesora

Meadowsa świętej przemiany duchowej do formułek matematycznych, wzorów fizycznych i figur geometrycznych”. Ma to związek z tą częścią teorii ojca, która mówi, iż obwód wielkiego koła czasu składa się z małych kół, których obwody utworzone są przez jeszcze mniejsze koła i tak dalej.

Najmniejsze koła to egzystencje ludzkie... Ale nie o to przede wszystkim chodzi... Ojca najbardziej interesowała podstawa, wielkie koło czasu, koło wszechświata. By obliczyć precyzyjnie średnicę tego koła i stwierdzić, czy żyjemy w drugim obrocie czasu czy też w... Słucham?... Ależ nie! Myślałem, że pan mnie zrozumiał, kiedy mówiłem o Dänikenie! Te właśnie historyczne i prehistoryczne relikty, które Szwajcar interpretuje jako dowód, że niegdyś odwiedzali Ziemię kosmici, mój ojciec zinterpretował jako świadectwo tej wielkiej cywilizacji technicznej człowieka, która miała miejsce w poprzednim obrocie. Nie może więc być mowy o obrocie premierowym, w każdym razie... ojciec zawsze przy tym obstawał... Ja tu właściwie nie mam wyrobionego zdania, powtarzam panu tylko twierdzenia ojca. Ojciec nie wiedział, ile obrotów już się dokonało, był jednak pewien, że przynajmniej jeden mamy za sobą... Właśnie po to, żeby zdobyć dokładniejszą wiedzę na ten temat i żeby obliczyć średnicę koła, ojciec potrzebował mediów. Potrzebował ich przedtem i potem, to jest w trakcie pisania *Obrotu czasu* i później, kiedy rozwijał i uzupełniał swoje dowodzenie... Przedtem było mu bardzo trudno znaleźć dobre media, dlatego spieszył się z opublikowaniem książki, chociaż teoria miała jeszcze spore luki; Zdawał sobie sprawę z ryzyka publikowania tak niekompletnej hipotezy, ale wiedział, że tylko to może mu przynieść rozgłos potrzebny do ściągnięcia większej liczby mediów. Chyba już o tym wspominałem?... Naraził się więc środowisku naukowemu, ale dzięki krzykliwej reklamie osiągnął swój podstawowy cel... Co? O tym też mówiłem?... No proszę, widać już jestem zmęczony. Jeśli

pan nie chce, to pozwoli pan, że przynajmniej ja się napiję, zaschło mi w gardle... Już lepiej. No więc... zaraz, na czym to stanąłem?... Na mediach, dziękuję. Otóż stary szukał ludzi mogących udowodnić jakiś fakt objawienia się pamięci genetycznej oraz mediów jasnowidzących, czytających w przeszłości lub w przyszłości. Medium takie, znajdując się w kabinie skonstruowanego przez mego ojca wzmacniacza psychofizycznego, otrzymywało rysunek pełen różnej wielkości kół kreślonych przez jakąś osobę i czytało jej życie, przeszłe lub przyszłe. Przewody łączące czaszkę medium z aparatem pomiarowo-kontrolnym, również wynalazkiem ojca, przesyłały na ekran wymierne natężenie reakcji mózgu. Sumy odcyfrowań ujmowaliśmy w specjalnej tabeli, która miała być podstawą do wyciągania wniosków... Nie wyobraża pan sobie, jak potwornie żmudna była ta praca. Ojciec założył, że na pierwszym etapie... oczywiście na pierwszym etapie tych dalszych, uzupełniających teorię kół poszukiwań, tych realizowanych już po wydaniu *Obrotu czasu*, pan mnie rozumie?... No więc ojciec założył, że na tym pierwszym etapie bazę do wnioskowania może stanowić przebadanie minimum trzydziestu właściwych mediów. Lecz skąd brać takie fenomeny parapsychologiczne?... W ciągu pierwszych dwóch lat przebadaliśmy dwunastu ludzi, a wywaliliśmy za drzwi ponad setkę oszustów.

Wśród tej dwunastki było aż dziewięć kobiet, ale to medium, o którym chce pan usłyszeć, było mężczyzną. Był to numer trzynasty... Zawiadomiono nas o nim telefonicznie, jakiś anonimowy rozmówca, jakiś facet, który nie chciał się przedstawić. Poinformował ojca o hippim noszącym nazwisko Anderson.

Powiedział, że chłopak wysiaduje w spelunie „Blue Moon” w Detroit i czyta ludziom w życiorysach, po czym odłożył słuchawkę. Takich telefonów mieliśmy wiele. Na ogół dzwoniли dowcipnisie albo naciągacze, najczęściej ci pierwsi. Byliśmy na takie informacje

uczuleni i traktowaliśmy je nieufnie, ale – uwierzy pan – zawsze je sprawdzaliśmy! Kosztowało to cholernie dużo pieniędzy i czasu, lecz ojciec nie chciał stracić żadnej okazji. Mówiłem panu – potrzebowaliśmy najmniej trzydziestu. Tym razem byliśmy podwójnie nieufni. Hippi! I do tego okazało się, że narkoman! Oni wszyscy czytają w przeszłości i w przyszłości wędrując w upojeniu po swych błękitnych łąkach.

Wystarczy jedna dawka LSD albo kilka sztachnięć „trawą”... Co?... Tak, tak, cały czas o nim mówię. Ściągnęliśmy go do Instytutu obiecując dużą forszę, jeśli się sprawdzi. I co pan powie – sprawdził się fantastycznie! Ojciec był zachwycony, żadne z dotychczasowych mediów nie wykazało się takimi zdolnościami, jak ten szczeniak... Miał dwadzieścia trzy lata. Blondas, z włosami na łopatkach, oczy zawsze szeroko otwarte, taki – wie pan – wiecznie nieobecny. Wyraźnie było widać, że ma nas gdzieś, ale potrzebuje pieniędzy na „trawkę” czy jakieś inne świństwo, więc godził się posłusznie na wszystko. Mówił cichym, zachrypniętym głosem, południowym slangiem, tak jakoś lekceważąco, jakby od niechcienia, dziwnie miękko i rytmicznie, przypominał mówiącego robota. Ale to, co mówił, było fenomenalne! Stary zaczął, jak zwykle, od nas samych. To już był rytuał. Na początek podał mu kartkę z kołami nagryzmołonymi przez swoją sekretarkę, Kate Anderson siedział w kabinie i trzymał kartkę w dłoniach złożonych jak do modlitwy. Nie patrzył na nią, zaczął mówić po jakiejś minucie... To było dla ojca wniebowstąpienie! Anderson opowiedział kilka zdarzeń z życia Kate, powtórzył kilka jej rozmów z ojcem, opisał nawet jej bliznę na lewej nodze. Nigdy jej nie widział, nie stykał się z nią i raczej nie mógł dowiedzieć się czegokolwiek o niej w normalny sposób. Mówił także o jej ojcu i dziadku, i prapradziadkach, coraz głębiej w czasie, tak jak życzył sobie mój stary.

Spytaliśmy Kate, czy to wszystko się zgadza. Ona sama wiedziała o

swych przodkach o wiele mniej niż Anderson, ale to, co wiedziała, zgadzało się idealnie!... Potem daliśmy Andersonowi wypocząć. Poprosiłem ojca, by spróbował ze mną. Zgodził się. Narysowałem kilkadziesiąt kół. Anderson był genialny, czytał w moim życiu jak w otwartej księdze. Kiedy doszedł do mego nocnego spotkania z Betty, moją koleżanką ze studiów, krzyknąłem: dość! i wyłączyłem wzmacniacz. Ojciec nie tylko się nie zdenerwował, lecz śmiał się. Pogroził mi palcem i powiedział: bezwstydniku! Był szczęśliwy... Na tym skończyliśmy pierwszego dnia. Anderson był wypompowany, a okazał się zbyt cenny, byśmy mogli narażać jego zdrowie przeciągając strunę. Dalsze eksperymenty odłożyliśmy do następnego dnia. Ustaliliśmy z ojcem listę kilku osób, naszych bliskich i przyjaciół, którzy mieli posłużyć do dalszych badań.

Rozumie pan, w pierwszym etapie pracy z Andersonem była to nie tyle działalność naukowa, ile sprawdzanie go, a do tego potrzebowaliśmy znajomych, bo inaczej nie dałoby się sprawdzić wiarygodności jego słów... Tak więc kilka znajomych osób dało nam kartki z kołami. Była wśród nich i karta z kołami narysowanymi przez Gladys... Pan zapewne wie, że Gladys była moją macochą? Młodsza ode mnie! Ojciec ożenił się z nią w kilka lat po śmierci matki. Poznał ją na jakimś party... Niewiarygodne – była „króliczkiem” w klubie „Playboya”, uwierzy pan! A mój stary nigdy nie był w takim klubie, nigdy nie miał w ręku „Hustlera” ani nawet „Playboya”, nie mówiąc już o innych porno-szmatławcach, w których są zdjęcia takich dziewczyn, wydawałoby się, że gardzi takimi dziewczynkami. W ogóle wydawało się, że kobiety go nie interesują i tak chyba było przez te lata, kiedy pracował nad *Obrotem czasu*. Spalał się na tym, matki prawie nie dostrzegał, służyła mu do gotowania, wychowywania mnie, załatwiania drobnych spraw i może czasami do łóżka, kiedy mu się zachciało, tak jak zachciewa się łać albo zjeść kolację...

Ale potem, po jej śmierci i po sukcesie z *Obrotem czasu*, kiedy już sprofesorzał na dobre i stał się VIP-em, i kiedy opadło zeń napięcie tych wszystkich minionych lat, zaczęło mu brakować gołego damskiego tyłka. Jakby ocknął się i szerzej otworzył oczy. Zaczął się rozglądać, szukać, ruszać nozdrzami jak podniecony ogier. Przypomniawszy sobie lub po prostu przypomniał mu rozluźniony organizm, że jest mężczyzną. Było jasne, że pierwsza, która mu się nawinie i podsunie cycki pod nos, ma kolosalną szansę. Przypadek sprawił, że nawinęła się Gladys, mała, tania kurewka do rąbania w biegu, której zamarzyło się przespać ze sławnym profesorem Meadowsem! Z początku pojęcia nie miała, że on pragnie czegoś więcej, bo skąd?... O ślubie z nim nawet nie mogła marzyć, przez głowę jej nie przeszło... Chwali się jej, że była taka inteligentna, a raczej cwana, iż szybko spostrzegła, że cud jest możliwy.

On nie miał czasu ani ochoty na playboyowanie w klubach, potrzebował atrakcyjnej dupy w domu, żeby była pod ręką na noc i przy okazji w dzień czyniła honory pani domu profesora Meadowsa. Dostrzegłszy to, zagrała bezbłędnie i osiągnęła maksimum tego, co możliwe – doprowadziła go do amoku, rozkochała w sobie starego durnia!... Nie musiała się zresztą zbytnio wysilać. Miała nogi długie jak Empire State, a biust jak Raquel Welch – wystarczy? Jemu wystarczyło, żeby zwariować... Ale wróćmy do tamtego eksperymentu. Tego dnia, to był dziesiąty lipca, będę zawsze pamiętał, daliśmy Andersonowi najpierw kartkę zarysowaną przez przyjaciela ojca, doktora Davisa, a dopiero potem kółka Gladys. Wszystko, co o niej mówił, zgadzało się bezbłędnie. W pewnym momencie przeskoczył na jej przodków, kilkaset lat wstecz, a potem wrócił do współczesności i wówczas zaczęło się!... Opisał pokój z różowymi tapetami i lustrzanym sufitem – to była sypialnia starego i Gladys. Opisał dokładnie. Gdy wspomniawszy o kalendarzu na nocnej szafce, spytałem, jaka jest na nim data. Powiedział, że czwarty lipca

tego roku, a więc sprzed tygodnia... Mówił tak sugestywnie, że widzieliśmy tę scenę. Gladys wchodzi do pokoju, a z nią jakiś mężczyzna, młody, wysoki, smagły brunet w sportowej koszulce, dżinsach i sandałach. Typ południowy, kelnersko-włoski, klasyczny Jebus-żigolo z tych, co to wiecznie balują między plażą a sportowym wozem i zarabiają rżnąc bogate dziewczyny w dowolnym wieku...

Ona częstuje go rumem, potem gasi światło i wyświetlają sobie na ścianie jakieś perwersyjne chwytty, potem ona ściąga go na dywan, rozpina mu koszulę, zamek błyskawiczny i... domyśla się pan. Opisywał to ze szczegółami.

Mówił beznamiętnie, jak zawsze, wypluwał te szczegóły z siebie wolno i miarowo, jak komputer. Ciężko było słuchać tej historyjki opowiadanej głosem z waty. A ona... żeby jeszcze tak normalnie, ale... trudno mi o tym mówić, wie pan, nie wszystkie kobiety dogadzają w ten sposób swym chłopakom... Ale ona to lubiła!... Patrzyłem na ojca. Zbladł, stał się biały jak papier, ręce mu drżały.

Myślałem, że przerwie, że wyłączy wzmacniacz, ale nie. Chciał wysłuchać do końca, męczył się, lecz trwał. To był masochizm. Bolało go straszliwie, ale chłonał, wsysał to w siebie, jakby się tym upajał, twarz nawet mu nie drgnęła, tylko zwężyły się oczy i oddychał coraz prędzej... Kiedy Anderson skończył, ojciec wybiegł z laboratorium. Bez słowa. Resztę pan zna, tak jak wszyscy...

Gazety oszalały z radości, znowu przez kilka tygodni nazwisko profesora Meadowsa pulsowało wielkimi czcionkami na pierwszych stronach... Wówczas stary bezpośrednio z Instytutu pojechał do domu. Nie... niezupełnie bezpośrednio. Po drodze kupił rewolwer i sześć naboí. Zastał ją opalającą się w hamaku i wpakował jej te kule w usta, właśnie w usta... Może gdyby nie była aż tak perwersyjna, może... Chociaż wątpię, zabiłby ją i tak. Kiedy usłyszał tę scenę z żigolakiem, a właściwie zobaczył, bo miał cudowną wyobraźnię, jego mózg przetwarzał litery i dźwięki na kolorowe obrazy szybciej i

sprawniej niż mózg przeciętnego człowieka – poczuł się zeszmiacony i całe jego koło czasu spadło z osi, wykoleiło się, rozumie pan? Trafił go szlag zabijający myśli o czymś innym. Miał w głowie tylko jej pysk złożony w zgrabne kółeczko i całą tę ohydłą scenę, rozszarpywało go to. Strzelał jak wariat, nawet gdy już nie żyła. Potem chciał strzelić do siebie, ale zabrakło naboju. Usiadł w fotelu i siedział pusty, jak magazynek tej spluwy, patrząc w ścianę. Kiedy zjawily się gliny, poszedł z nimi jak nakręcana lalka. Nic nie mówił, nie odpowiadał na pytania, uśmiechał się do każdego, kto się do niego odezwał i milczał... W szpitalu więziennym dostał zawału. Nie miał szans na przeżycie, był już po dwóch zawałach... Tak, nigdy nie wiemy, kiedy przyjdzie koniec. Człowiek jest pełen nadziei i wiary w swoje możliwości, nie spodziewa się niczego złego, tryska radością życia, puszy się i wierzy w dobrą passę, która będzie trwała wiecznie. To inni umierają, dla nas zaś śmierć jest obca, nierealna, jest odległym mitem, nie myślimy o niej, wyrzucamy poza nawias świadomości, jakby nie była nam przypisana w kole czasu. Dotyczy ona bliźnich, nas nie...

Ale ona przychodzi, mój panie, wcześniej czy później, spada nagle, jak jastrząb, ogłusza i zabiera myśl, zostawiając pusty zewłok jak opróżniony worek na śmiecie. Banał, prawda?... Najbardziej ponury banał świata. Chcemy żyć, wędrować w nieskończoność po obwodzie naszego kółka czasu, gdy naraz... A właśnie, jak to jest z czasem?... No proszę, to już zmierzch, godziny pędzą jak oszalały chart! Ale tak miło się gawędzi, prawda, mój panie?... Niecierpliwie pana?... Mam kończyć?... Proszę nie krzyczeć, drogi panie, już kończę i do tego będę mówił prawie wyłącznie o pańskich sprawach, co powinno pana zainteresować! Przedtem muszę się jednak napić... O, tak...

Dziwne, minęło już pół dnia, odkąd wdarł się pan tu, bo jak inaczej nazwać pańskie natrętne żądanie rozmowy ze mną w cztery oczy, a

ja nie jestem zmęczony!... No dobrze, o czym to mówiliśmy? O tym, że śmierć przychodzi niespodziewanie, często wówczas, gdy jesteśmy pewni kolejnego sukcesu, kiedy wydaje się nam, że podskoczyliśmy bardzo wysoko i weźmiemy poprzeczkę na rekordowej wysokości. Ale nie wszystko można przeskoczyć, trzeba posiadać chłodną umiejętność oceniania własnych możliwości. Inaczej się przegrywa, mój panie... Dick, na przykład, nigdy nie wyskoczy po czekoladę, jeśli widzi, że znajduje się ona na nieosiągalnej dla niego wysokości. Należy postępować tak jak on, kto tego nie robi, naraża się na przykrości. Weźmy teraz jako przykład ciebie, przyjacielu... Przyszedłeś tu, jak to mówią, mając mnie w ręku. Wykonałeś wielki skok i zawisłeś nad poprzeczką, którą była ta rozmowa. Ale po drugiej stronie, na zeskoku, nie zawsze leży gąbka... Żeby już nie przedłużać tej tragikomedii, przejdę do autentycznego sedna sprawy. Otóż zdziwisz się, przyjacielu... Słucham?... O nie, z tym się nie mogę zgodzić. To jest tragikomedia i zaraz to udowodnię.

Komedia już była i właśnie się kończy, jako że wszelka zabawa musi mieć kres, inaczej gubi cały smak, tragedia zaś zbliża się wraz ze zbliżaniem się gwiazd, co ma swój głęboki sens, albowiem tragedia odziewa się w szaty ciemności... Ale może dość już będzie tych pseudopoetyckich metafor, przejdźmy do konkretów... Zdziwi cię, przyjacielu, to co teraz powiem: znam cię od roku!... Tak, dokładnie od jedenastu miesięcy. Inaczej mówiąc poznaliśmy się w miesiąc po tym, jak rodzina Kate zleciła ci poszukiwanie dziewczyny. Było to obustronne poznawanie. Ty grzebałeś się we wszystkim, co dotyczyło mojego ojca i mnie, a moi chłopcy obserwowali twoją robotę i ciebie i podsuwali ci bajeczki oraz dokumenty, które ja spreparowałem.

Szybko wykryli, że zanim zostałeś prywatnym detektywem, byłeś szantażystą. Potem zmieniłeś sobie papiery i nazwisko. Od chwili,

kiedy się tego dowiedziałem, byłem już spokojny, mogłem grać z tobą bez obaw, wiedziałem bowiem, że przyjdiesz tu, zanim ujawnisz swoje zdobycze zleceniodawcom... Notabene zdobyłeś bzdury, dowiedziałeś się tego, czego ja chciałem, byś się dowiedział. Teraz dopiero poznasz prawdę. Kate pomagała mi wykończyć Gladys aranżując mistyfikację z Andersonem. To ona go znalazła. Ale po śmierci Gladys i starego stała się bezczelna, za dużo chciała... Za dużo pieniędzy i ślubu! Przyznasz, że nie mogłem się żenić ze współniczką zbrodni, czy mógłbym spokojnie spać?... Żeby więc spokojnie spać, musiałem ją usunąć... Wcześniej jeszcze spotkało to Andersona. To był początkujący aktorzyzna, którego kupiliśmy za tysiąc dolarów. Odegrał swoją rolę cudownego medium genialnie!... Nie odnalazłeś śladu po nich, przyjacielu, i nie miej o to do siebie pretensji, nie mogłeś. Nie może tego uczynić najbieglejsza policja świata. Nawet te trupy, które mafia zabetonowuje w fundamentach wieżowców, teoretycznie można odnaleźć, ale nie Kate Brown i Phila Andersona... Pamiętasz, na początku wspomniałem, że delfin Dick jest moim ulubieńcem numer dwa. Nie spytałeś wówczas, kto jest tym pierwszym. Gdybyś to uczynił, być może instynkt ostrzegłby cię i próbowałbyś zwiać z tego domu bez rozmowy, a już na pewno nie byłbyś taki władczy i bezczelny wobec mnie. To zresztą niewiele by zmieniło... No więc ten mój faworyt numer jeden to Mat. Mat jest rekinem, a może rekiną, cholera wie. Mniejszy niż ten, którego oglądałeś w *Szczękach*, ale o nie mniejszym apetycie.

Spotykamy się przy skałach, na południowym cyplu zatoki. Chyba mnie lubi, myślę, że zjadłby mnie z rozkoszą... Uwielbia ludzi. Ma tam gdzieś swoją jaskinię i przy pływa zawsze, kiedy poczuje krew... Teraz rozumiesz, przyjacielu?... Pełniesz za mną od roku jak wąż, nie dostrzegając, że to ja rzucam ci przynęty. Wreszcie, tak jak oczekiwałem, dopełniłeś do mego domu i zacząłeś mnie straszyć. Sądziłeś, że szantażem wydusisz ze mnie więcej, niż zapłaci rodzina

Kate... To dlatego nie informowałeś ich na bieżąco... To był błąd! Nie dzieląc się z nimi podejrzeniami wobec mnie, nie zabezpieczyłeś się i... Co takiego?... Znowu się mylisz, przyjacielu, nie strasz, nie masz czym. Nie byłem na tyle niedomyślny, by sądzić, że przed wejściem w paszczę lwa nie zostawisz małej relacji z moim nazwiskiem i adresem u zaufanego człowieka.

Zostawiłeś nawet dwie. Jedną u notariusza, drugą u przyjaciela. Notariusz miał ostatnio kłopoty finansowe, ale już je zlikwidował, wydając mi twoją kopertę za jeden czek i dwie obietnice: że ty nigdy się już u niego nie pojawisz i że on sam nie ulegnie nieszczęśliwemu wypadkowi w ciągu dwudziestu czterech godzin. Natomiast twój przyjaciel miał pecha. Nie tylko nie chciał nam wydać koperty, ale jeszcze próbował zawiadomić cię o naszych staraniach. Nieszczęśliwy człowiek... potknął się dzisiaj rano, wpadł do morza i natrafił na Mata... Spociałeś się, przyjacielu?... Te noce są ostatnio niemożliwie gorące.

Wracając do rzeczy – jesteś goły, mój ty Pinkertonie, zdarto ci pancerz. Ja zaś jestem ci wdzięczny, że przyszedłeś tu ze swoją zabawną bezczelnością. Wcale nie musiałem opowiadać ci *story* mojego ojca i mojej, ale bawiło mnie to.

Bawiło mnie udawać przyłapanego i patrzeć, jak ty, który nie przyszedłeś tu żartować, dajesz robić z siebie arlekina... Gdy już ma się tyle forsy, że nie trzeba pracować, życie staje się nudne i trzeba je sobie urozmaicać. Być może byłem trochę męczący, zbyt rozciągałem opowieść, ale miało to swój cel.

Oto nadszedł już mrok. Jeśli nawet ktoś widział cię zajeżdżającego pod mój dom, to zobaczy cię teraz wyjeżdżającego, całego i zdrowego za kierownicą. Jak wiesz, w nocy wszystkie koty są czarne... Będziesz tylko musiał pożyczyć ubranie jednemu z moich chłopców... Nazywasz się Morris, prawda? Otóż posłuchaj, Morris, dam ci radę. Ludzie dzielą się na cwaniaków mądrych i głupich,

ostrożnych i nieostrożnych, szczęśliwych i pechowych. Ty jesteś z drugiej kategorii, a ja z pierwszej. Szczęście i pech, co prawda, należą do czynników irracjonalnych... Moje szczęście polegało na tym, że ojciec zareagował tak, jak zareagował, czyli tak, jak przewidywałem znając go, a przecież mógł zareagować inaczej albo coś mogło mu przeszkodzić w dokonaniu zbrodni...

Ale i szczęściem można sterować... Jesteś, co prawda, pracowity i wytrwały, słowem jesteś dobrym detektywem, lecz na tym okrutnym świecie być dobrym to mało – wygrywają tylko bardzo dobrzy. Ja do nich należę... Pracowitość i wytrwałość, którymi się odznaczasz, Morris, nie prowadzą do sukcesu.

Prowadzi tam brak skrupułów i przebiegłość pierwszej kategorii. Weź to sobie do serca i zastosuj w swym następnym życiu, gdy dopełni się twoja reinkarnacja. Jeśli się dopełni, nie mam co do tego pewności... Nie próbowałem jej zresztą osiągnąć, wymagałoby to bowiem dużego wysiłku, galerniczego kontynuowania badań ojca. A mnie nie chodziło o pracę, człowieku, rzygam, jak myślę o pracy! Chodziło mi o forszę po starym i przetańczenie życia w słońcu. Wiedziałem, że ojciec długo ze swym sercem nie pociągnie. I co, miałem pozwolić, by ta dziwka zagarnęła cały majątek po nim? Byłbym skończonym durniem i płaciłbym za swą głupotę nędzą przez całe życie. Życie ma się tylko jedno i nie warto czekać, aż się ono powtórzy na kole czasu. A jeśli nawet ma się powtórzyć, to chodzi o to, by powtórzyło się słodkie i złote, bez potu!... Powiem ci coś w zaufaniu, Morris. Ja naprawdę wierzę w koło czasu i w jego mniejsze kółka na obwodzie. Wszystko się powtarza. Życie kopiuje się bez przerwy, pomaga mu ludzka głupota i nikczemność. Ja wybrałem tę drugą, jest dochodowa... Mój ojciec odwrotnie...

Koło czasu! Tacy starzy, sześćdziesięcioletni durnie jak mój ojciec zawsze wpadają i będą wpadać w łapki takich „króliczków” jak Gladys. Tak się dzieje od stworzenia świata... I to jest, Morris,

najlepszy przykład na potwierdzenie teorii świętej pamięci profesora Meadowsa... Zmęczyłeś się, Morris? Nie wyglądasz najlepiej... Na koniec zabawię się w jasnowidza. Opowiem ci historyjkę, jedną z wielu, która będzie się powtarzać na kole czasu. Co ileś milionów, a może bilionów lat pewien facet, który uważa się za bardzo sprytnego, będzie chciał szantażować innego faceta, który naprawdę jest sprytny. Będzie przyjeżdżał do jego willi w Miami, zostawiając przedtem dossier sprawy w zaufanych rękach, by czuć się bezpiecznym. Wówczas ten drugi, udając zastraszonego, będzie się bawił, opowiadając tamtemu o teorii profesora Meadowsa, a gdy skończy, będzie naciskał butem guzik pod stołem.

Wtedy do pokoju będzie wchodził goryl tego drugiego i będzie trzymał lufę rewolweru w odległości dwudziestu centymetrów od głowy szantażysty, tak jak Jerry trzyma teraz lufę za twoją potylicą. I wiesz, co będzie dalej?... Po strzale chłopcy Meadowsa-juniora zapakują ciało głupca do plastikowego worka i wywiozą jachtem daleko w morze, ku skałom, przy których mieszka stary rekin Mat... Ciekawe, Morris, ile razy powtórzy się to na kole czasu?

OPERACJA „WATERLOO”

24 maja 2131 roku, godzina 10.00.

Gabinet generalnego komandora

Brytyjskiego Instytutu Czasonautyki,

Hamiltona Smitha.

Smith wyłączył tunofon i zamyślił się. Ton głosu człowieka, z którym rozmawiał przed chwilą, był groźniejszy niż wypowiedane słowa. Czego może chcieć?... Właściwie powinien był zbyć go lub też skłąć i kazać odczepić się, ale w porę dotarło do niego, że jeśli ten człowiek zna zastrzeżony kod połączeniowy Instytutu, to widocznie nie jest byle kim. Maniak? Nie, na pewno nie. Szantażysta? Być może, ale czym mógłby go szantażować?...

Zamachowiec?... Nacisnął guzik łączący jego gabinet z sekretariatem i ujrzał na ekranie twarz panny Bishop.

– Panno Bishop!

– Słucham, panie komandorze.

– Za kilkanaście minut na dole pojawi się człowiek o nazwisku Hellman. Jest ze mną umówiony. Proszę polecić straży, by kazali mu przejść przez drzwi bezpieczeństwa i sprawdzili go w komorze sygnalizacyjnej.

– Co mają zarekwirować, panie komandorze, broń?

Zastanawiał się przez chwilę.

– Wszystko. Niech wyjmą mu z kieszeni i przekażą do depozytu każdy metalowy śmieć. Pióro, papierośnicę, zapalniczkę, dosłownie wszystko! Do mnie może wejść tylko w miękkim ubraniu, a z metalowych rzeczy mieć tylko obrączkę! Jeśli ją posiada...

Zrozumiała mnie pani?

– Tak jest, panie komandorze.

– Proszę wykonać.

Potem czekał przez kwadrans i odczuwał niepokój. O 10.20 brzęczyk wyrwał go z zamyślenia. Panna Bishop powiedziała z ekranu:

– On już tu jest, panie komandorze.

– Sprawdzony?

– Idealnie, panie komandorze.

– Niech wejdzie.

Drzwi do gabinetu rozsunęły się bezszelestnie i Smith ujrzał w nich człowieka średniego wzrostu i wieku, ze starannie ułożonymi włosami, ubranego z ekskluzywną elegancją, tak rzadką w Londynie. Już na pierwszy rzut oka człowiek ten sprawiał wrażenie cudzoziemca. Miał lekko różową twarz i wielkie czarne oczy, które wbijały się w Smitha spojrzeniem na pozór obojętnym, lecz kryjącym jakąś zagadkę, którą komandor czuł i której irracjonalnie się bał, chociaż nie wiedział jeszcze, o co tamtemu chodzi.

– Kim pan jest i czego pan chce?! – spytał szorstko.

– Nazywam się Hellman i mam do pana interes, komandorze.

Nieznajomy postąpił dwa kroki do przodu i drzwi zamknęły się za nim. Jego akcent – Smith od razu to zauważył – potwierdzał cudzoziemskie pochodzenie. Palec komandora dotknął guzika mezofonu i od tej chwili ich rozmowa utrzymywała się na płycie mezofonicznej.

– Już raz przedstawił mi się pan, podając to samo nazwisko, przypuszczam, że fałszywe.

– Zgadł pan, komandorze, nie widzę potrzeby ujawniania prawdziwego.

– Dlatego ja dostrzegłem potrzebę zrewidowania pana – wycedził Smith.

Tamten uśmiechnął się.

– To mi nie przeszkadza, komandorze. Nie jestem skrytobójcą, przyszedłem tu w innych zamiarach.

– Więc proszę je jak najszybciej wyjawić, mój czas jest ograniczony!

Przez tunofon mówił pan...

– To co istotne, powiem teraz. Ale może najpierw pozwoli mi pan usiąść, komandorze?

– Niech pan siada!

– Nie jest pan zbyt uprzejmy, komandorze – rzekł mężczyzna siadając.

– Ja byłem grzeczniejszy dla pańskich dzieci.

– Dla moich dzieci? Moje dzieci spędzają teraz wakacje na...

– Chciał pan powiedzieć, komandorze, na Costa Brava, czyż nie tak?... Ale ta informacja jest już trochę zdezaktualizowana. O całą dobę. Chwilowo pańskie dzieci spędzają wakacje gdzie indziej, w zamkniętym pomieszczeniu.

Teraz Smifh tuż wiedział. Poczul, że ogarnia go paraliżujący strach. Chcąc go przełamać, ryknął:

– Cooo!!! Co to ma znaczyć?!.. Pan oszalał, wezwę policję! Elegancki mężczyzna, siedzący po drugiej stronie biurka, uśmiechnął się ponownie i zadrwił:

– Idealny sposób, by pozbyć się dzieci... Ładna parka, chłopak już pełnoletni, trzeba przyznać, że walczył jak lew, kiedy moi ludzie porywali oboje. Są przyzwyczajone do luksusu, muszą sporo kosztować. Pan chce sobie zaoszczędzić tych wydatków, komandorze?...

Zapanowała śmiertelna cisza. Mężczyzna odczekał chwilę i powiedział:

– Widzę, że bardzo pan się przejął, komandorze. Niepotrzebnie. Może pan odzyskać te szczenięta.

– Ile? – wyszeptał ochryple Smith.

– Nie ile, lecz co. Nie jestem zbrodniarzem porywającym dla okupu.

– A kim?

– Idealistą, komandorze. Marzą mi się rozwiązania idealne, zwłaszcza jedno, historyczne. Pan mi w tym pomoże, a ja zwrócę panu potomstwo.

– Czego pan chce?

– Chcę, żeby mnie pan przeniósł w przeszłość.

– Takie wyprawy, panie Hellman, są zastrzeżone tylko dla badań naukowych prowadzonych przez czasonautów. Zresztą w tej chwili wszystkie wehikuly czasu są w drodze. Powinien pan wiedzieć o tym...

– Hola, komandorze! – tamten po raz pierwszy podniósł głos. – Proszę nie robić ze mnie durnia, bo to się źle skończy dla pana, a jeszcze gorzej dla pańskich pociech! Wiem o wiele więcej, niż się panu wydaje!... Pan chciał mnie oszukać, komandorze, a to brzydko, bardzo brzydko!

– A co pan robi? Porwał pan moje dzieci. To zbrodnia!

– To gwarancja, komandorze, moja klapa bezpieczeństwa i furтка do sukcesu. A także prawo, którego pan nie ma wobec mnie, do obrażania się o cokolwiek. Niech więc pan nie próbuje po raz drugi mnie wykiwać, bo mogę się pogniewać i już nie ujrzy pan swoich aniołków! Wehikuly czasu, dobre sobie!... Wiem, że prowadziliście badania nad bezwehikułowym, pozamaterialnym przenoszeniem w przeszłość za pomocą czasograwitacji spiralnej, psychoineksji oraz innych rzeczy, na których się nie znam, ale o których opowiedziano mi wystarczająco dokładnie, bym mógł uświadomić sobie, co można osiągnąć dzięki ich zastosowaniu... Nie tylko wy nad tym pracowaliście, lecz wy pierwsi osiągnęliście cel. Moje gratulacje, panie komandorze... Jak pan widzi bardzo dużo mogę. Te badania i

eksperymenty były ściśle tajne, a jednak dowiedziałem się o wszystkim. Wiem nawet, jaki przebieg ma proces psychoineksyjny i jak wygląda kabina czasograwitacyjna. Zamknij mnie pan w niej, komandorze, a ja sam nastawię miejsce i datę wysłania, bo nie chcę, byście je znali.

Smith zerwał się z fotela.

– Jeśli tyle pan wie, to powinien pan też wiedzieć, iż rząd zakazał wykorzystywania tego wynalazku! Przygotowuje się międzynarodową konwencję zakazującą, tak jak niegdyś praktycznie zakazano eksperymentowania z cząsteczkami DNA i z...

– Wiem! – przerwał mu mężczyzna ze złym błyskiem w oczach. – Wiem o tym wszystkim, ale wiem też, że pan złamie ten zakaz!

– Ależ!...

– Zrobi to pan! Po raz pierwszy i ostatni w swym życiu!

– Nie mogę tego zrobić! – jęknął Smith.

– A ktoś inny może! Dysponuje pan aparaturą i jest pan tu szefem! Owszem, łamiąc prawo narazi się pan na przykrości, ale czyż cel nie uświęca środków? Pańskie władze nadrzędne, czyli władze państwowe, bo podlega im pan bezpośrednio, wybaczą panu rozumiejąc krytyczną sytuację, w jakiej pana postawiłem. Jako komandor Instytutu ma pan wybór decyzji, jako ojciec nie ma pan żadnego wyboru. Zrobi pan to, czego żądam!

– A jeśli tego nie zrobię? – spytał Smith.

– To pańskie dzieci zostaną uduszone. Uduszone. Zrozumiał pan, komandorze... Za ile dni możemy przystąpić do realizacji mojego planu? Spiesz mi się, a panu powinno się jeszcze bardziej spieszyć, bo dzieciom wystarczy żywności zaledwie na dziesięć dni.

Nad biurkiem zapanowała cisza nagłośniona ciężkim oddechem komandora, rozsadzająca mu bębienki uszu, wprawiająca wszystkie nerwy w rozpaczliwe drżenie. Tamten zniecierpliwiał się.

– No więc?!

– Nie wiem... ja... nie wiem... Mężczyzna poderwał się z fotela.

– Mam wyjść?

– Nie! – krzyknął Smith. – Nie, proszę wrócić!

Po czym spuścił głowę i dodał szeptem:

– Pojutrze... Przygotuję wszystko na piątą rano.

– W porządku. Jeśli zmieni pan zdanie do tej pory i zawiadomi policję, pańskie dzieci będą miały ciężką śmierć... A teraz proszę rozkazać swoim cerberom, by oddali mi moje rzeczy, przeprosili grzecznie i pożegnali. Do zobaczenia!

Smith siedział nieruchomo w fotelu i wpatrywał się w plecy tamtego, potem w drzwi, które już się za tamtym zamknęły i w końcu w twarze swoich dzieci.

26 maja 2131 roku, godzina 6.20.

Sala startowa Brytyjskiego Instytutu
Czasonautyki.

O 5.00 tego dnia Smith wpuścił szantażystę do Instytutu. Poza nimi i strażnikami nie było w całym gmachu żywej duszy. Dokładnie o 6.20 Hellman zajął miejsce w kabinie startowej. Smith założył mu hełm i zapiął mu klamry, po czym rzekł:

– Teraz straci pan świadomość na około pięć minut.

– Dlaczego?

– Powinien pan wiedzieć dlaczego...

– Panie komandorze, pan mi chwilami przypomina masochistę! Pozwala pan sobie na złośliwe odezwania wobec człowieka, który może panu wyrządzić straszną krzywdę, zamiast starać się go ułagodzić. Doprawdy, nie pojmuję tego... Przecież pan nie ma nawet gwarancji, czy ja dotrzymam słowa, jest pan całkowicie na mojej łasce i niełasce i przy tym wszystkim raz po raz rozdrażnia mnie

pan! Czy pan zwariował?

– Przepraszam – bąknął Smith – to się nie powtórzy.

– Mam nadzieję. No więc dlaczego chce mi pan odebrać świadomość na całe pięć minut?

– Przejdzie pan psychoineksję.

– Ach tak, racja... No cóż, oddaję się w pańskie ręce, komandorze, z przekonaniem, że pan dobrze pamięta, co jest moją klapą bezpieczeństwa i że nie będzie pan próbował... powiedzmy popełnić błędu w sztuce.

– Proszę być spokojnym. Teraz niech pan zamknie oczy.

Przez następne pięć minut wpatrywał się w twarz uśpionego człowieka, którego nienawidził. Mógł zrobić z nim wszystko – jak z niemowlęciem. Ale nie mógł zrobić niczego... Poza zdjęciem steroskopowym. Aparatura wyłączyła się automatycznie i Hellman otworzył oczy. Przez chwilę wpatrywał się w blat sterowniczy, jakby nie pojmując, skąd się wziął w tym dziwnym miejscu. Potem uśmiechnął się i spytał:

– Już?

– Tak. Teraz proszę uważać. Za chwilę zamknę włącz kabiny. Kiedy to uczynię, proszę patrzeć na mnie. Sprawdzę tylko, czy ciśnienie i temperatura są prawidłowe, po czym dam panu ręką znak. Wówczas nastawi pan na tablicy rozdzielczej datę i godzinę, w którą chce się pan przenieść oraz...

– A wy odnotujecie to wszystko!

– Nie, bo wystarczy, że zrobi to pan raz i może pan wyłączyć tablicę. Tam stoi urządzenie rejestrujące, które wyłączę na pańskich oczach.

Podszedł do aparatury rejestrującej i wyłączył ją.

– Jest jeszcze problem punktu geograficznego, w który chce się pan przenieść. Czy jest panu wszystko jedno, czy też chce się pan znaleźć na określonym kontynencie?

– Gdyby mi było wszystko jedno, to by świadczyło, że jestem maniakiem. Mam ważną misję do spełnienia w starej Europie.

– Dobrze, proszę więc włączyć mapę Europy przyciskiem numer jeden... tak, w porządku. Skieruje pan promień ceonu na wybrany punkt i naciśnie guzik...

– Czy i to nie zostanie zarejestrowane?

– Nie, bo zaraz może pan przesunąć lufę ceonoskopu, z tym, że – proszę uważać – poza mapę, a nie na inny jej punkt. Urządzenie rejestrujące wyłączyłem, sam pan widział. Innych nie mamy, przecież to prototyp... Najlepiej będzie, jeśli ustawi pan lufę ceonoskopu z powrotem w pozycji poziomej.

– Dobrze, co dalej?

– Kiedy zobaczy pan czerwone światło na pulpicie górnym, o tu, proszę pomyśleć o osobie, w której ciało chce się pan przenieść. Proszę myśleć o niej bardzo intensywnie, przez cały czas od chwili, kiedy ujrzy pan światło.

– Gwarantuje pan, komandorze, że znajdę się w jej ciele?

– Tak... chyba tak...

– Dlaczego chyba?

– Bo to jest prototyp i urządzenie może zawieść, tak jak wszystko na tym świecie!

– Rozumiem. Niech pan się modli, panie komandorze, by nie zawiodło... Na jaki czas znajdę się w ciele tej osoby?

– Na około trzydzieści, najwyżej czterdzieści godzin.

– Wystarczy. A potem?

– Potem powróci pan w swoje ciało na skutek działania czasograwitacji spiralnej. Chyba że...

– Proszę mówić! Chyba że co?

– Chyba że osoba, w którą pan się wcieli, zginie.

– Co wtedy?

– Wówczas, po odczekaniu stu godzin, pańskie ciało zostanie

wyjęte z kabiny i pochowane.

– W porządku, komandorze. Mam nadzieję, że wrócę... Teraz niech pan posłucha, w jaki sposób odzyska pan dzieci. Nie jestem idiotą i bez sprawdzenia, czy mnie pan nie wykiwał, Smith, nie oddałbym ich. Wiadomość, gdzie się znajdują, przekażę panu telepatycznie dopiero wówczas, gdy moja świadomość znajdzie się w ciele wybranego przeze mnie człowieka. Proszę nastawić czasolokator telepatyczny na północną Europę, między Bretanią a Renem, i zaprogramować go hasłem „Kondor”. Wywołam to hasło i podam miejsce, w którym znajdują się pańskie pociechy.

W tym momencie Smith zaryzykował jeszcze raz:

– Podał pan lokalizację zbyt mało precyzyjną, czasolokator telepatyczny musi być dokładniej zaprogramowany. Proszę uściślić miejsce...

Tamten spojrział na niego spod przymrużonych powiek. Smith poczuł, jak ciało pokrywa mu gęsia skórka. Starał się całą siłą woli zachować minę nie budzącą podejrzeń.

– Dobrze – powiedział po chwili Hellman. – Nastawcie czasolokator telepatyczny na teren zamknięty kwadratem Antwerpia–Lille–Hirson–Liège.

– A jeśli coś się nie uda? – spytał Smith blady z niewyspania i strachu.

– O tym już mówiliśmy. Jeśli aparatura zawiedzie...

– Myślę o połączeniu telepatycznym!

– Ach tak?... No cóż, to by znaczyło, że ma pan, komandorze, cholernego pecha. Ale nie sądzę. Czasolokator telepatyczny nie powinien zawieść, przecież to wielokrotnie sprawdzona zabawka. Miejmy nadzieję, że i czasograwitator spisze się dobrze... I jeszcze jedno. Niech pan zrezygnuje z jakichkolwiek sztuczek, Smith! Dla dobra swoich aniołków, przewidziałem tę możliwość, że odzyskawszy dzieci zechce się pan zemścić i zniszczy moje ciało

przed powrotem. Otóż mam w pańskim instytucie zaufanego człowieka. Jeśli pan to zrobi, ten człowiek da znać moim ludziom, a ci odbiorą życie chłopcu i dziewczynce. Nie warto trzymać dzieci miesiącami w pancерnej szafie, co zresztą też może się okazać nie całkiem skutecznym zabezpieczeniem... Lepiej więc nie ryzykować, komandorze... A teraz niech pan zamknie kabinę, zaczynamy!

26 maja 2131 roku, godzina 9.48.
Gabinet szefa Scotland Yardu,
Artura Lyttletona.

Przy niskim stole w charakterystycznym dla drugiej połowy XXI wieku stylu metabolik siedziało czterech mężczyzn. Lyttleton, jego podwładny, porucznik Eigworth, kapitan Wright z kontrwywiadu oraz szef kontrwywiadu, generał McCormick. Lyttleton zwrócił się do tego ostatniego, mówiąc:

– Panie generale. Otrzymałem właśnie rozkaz premiera, by przekazać sprawę w wasze ręce. Wiemy, że ten facet ma swoją wtyczkę w Instytucie Smitha, a badania tam prowadzone są ściśle tajne. Dlatego jest to sprawa kontrwywiadu, my ograniczymy się do współpracy.

McCormick wyjął fajkę z ust i powiedział:

– W porządku. Chociaż, szczerze mówiąc, wydaje mi się, że jest to raczej gra policyjna i nie sądzę, bym był tu potrzebny. Dziwię się, że premier kazał nam się tym zająć. To, że facet jest cudzoziemcem, nie oznaczają automatycznie, że chodzi o szpiegostwo.

– Pozwolę sobie nie zgodzić się z panem, generale – odparł Lyttleton.

– Powtarzam, ten facet ustawił sobie wtyczkę w Instytucie, który...

– To już słyszałem, inspektorze! Moi ludzie zajęli się tym i od godziny sprawdzają wszystkich pracowników Instytutu. Ale nie

jestem przekonany, że chodzi o dywersję lub też szpiegostwo natury politycznej. Ten wielbiciel podróży do historii mógł po prostu przekupić kogoś, by zorientować się w możliwościach Smitha, a jeszcze bardziej prawdopodobne jest to, że blefował, by zastraszyć komandora i powstrzymać go od odwetu.

– Pan bagatelizuje sprawę, generale! Ten człowiek wyraźnie mówił o misji, jaką ma do spełnienia! Nie jest to żaden maniak ani hobbysta...

– Niczego nie bagatelizuję, inspektorze Lyttleton! Ale też staram się zachować spokój i nie popadać w panikę!... Nie mamy żadnych dowodów, które świadczyłyby o politycznym charakterze zamierzeń tego typu. Uważam właśnie za możliwe, że jest to maniak, który chce się zabawić w przeszłości, lub też człowiek psychicznie chory!... Co z tego, że mówił o misji? Mówił wiele rzeczy, co tylko chciał!... Ale przejdźmy do sprawy. Co wy osiągnęliście do tej pory?

– Sporo, panie generale. Terrorysta spełnił obietnicę i przekazał telepatycznie wiadomość o miejscu pobytu dzieci. Odnaleźliśmy je i wzięliśmy pod ochronę. Mamy też jego personalia...

– To nie nasza zasługa, lecz komandora Smitha – wtrącił Eigworth.

– Nie pytałem pana o zdanie, Eigworth! – warknął Lyttleton. – Hmm... to prawda, że dzięki Smithowi wiemy już dużo. Zrobił facetowi w sekrecie zdjęcie steoskopowe. Przesłaliśmy odbitki do wszystkich stolic. Przed chwilą przyszła z Paryża wiadomość, że ten amator wędrówek w czasie nazywa się Jean Percier. Urodzony 2 lutego 2080 roku w Vannes, obecnie mieszka w Brienne-le-Château, w swojej posiadłości, zamożny producent specyfiku na zwiększanie wzrostu. Koledzy z paryskiej Sûreté obiecali jak najszybciej zdobyć inne dane, są już chyba w jego posiadłości... Smith zarejestrował także, iż Percier przeniósł się w jeden ze środkowych miesięcy 1815 roku, w ciało niejakiego Armanda Rebonnet. Francuzi na razie nie wiedzą, kto to może być, nasi

historycy również...

– Słowem – McCormick pyknął kilka razy dymkiem z fajki – słowem wiemy sporo i nie wiemy nic. Nie wiemy bowiem najważniejszego: po co? Dlaczego ten facet wybrał się w przeszłość? Być może dla zabawy, w co wierzę, ale jeśli nie dla zabawy, a tej hipotezy odrzucić mi nie wolno, to znaczy, że stoimy w martwym punkcie i nie ruszymy z miejsca dopóty, dopóki nie rozszyfrujemy jego celu... Interesuje mnie, dlaczego Smith, którego tak panowie chwalicie, a który dysponuje najlepszą na świecie aparaturą, nie przeświecił tego Perciera tak, by wydobyć coś więcej, coś o celu jego wyprawy? Aż tak dał się zastraszyć?

– Dobre sobie! A pan nie dałby się zastraszyć, generale, wiedząc, iż pańskim dzieciom grozi uduszenie?! – spytał Eigworth.

– Nie mam dzieci! – burknął McCormick.

– No właśnie... Moim zdaniem – kontynuował Eigworth – Smith i tak zrobił dużo wykonując zdjęcie, rejestrując rok docelowy oraz nazwisko człowieka, w którego Percier się wcielił. W ciągu dwudziestu czterech godzin Smith skonstruował ze swoim asystentem urządzenie dublujące aparaturę rejestrującą. W ten sposób wprowadził Perciera w pole. To jest wyczyn...

Przerwał mu ostry dźwięk dzwonka. Lyttleton wcisnął guzik i na ekranie tunofonu ukazała się twarz zażywej blondynki.

– Mówi inspektor Chevelot. Sûreté. Dzwonię w sprawie Perciera. Sprawdziliśmy wszystkich jego znajomych, kochankę, dzieci i tak dalej. Niczego nie wiedzą. Przeryliśmy jego dom – nic, co wzbudzałoby podejrzenia... *Sacrebleu!* Ale nadaliście robotę! Cały dzień nam teraz zejdzie na porządkowaniu tego cholernego pałacu, na wieszaniu od nowa wszystkich tych portretów cesarza, orłów, sztandarów, uuuff. Niech was diabli!.. No, żegnam panów Holmesów, przykro mi, że nie możemy więcej pomóc...

– Rozumiem – mruknął Lyttleton – trudno, dziękuję wam...

– Chwileczkę! – krzyknął McCormick pochylając się w kierunku mikrofonu. – Halo! Proszę się nie wyłączać! O jakich portretach pani mówi?

– O portretach Napoleona. Jest tam ich ze czterdzieści i kupa innych pamiątek po cesarzu. Cały dom jak muzeum albo jak świątynia. Pan Percier to bonapartystowski maniak, znają go z tego historycy... To właśnie dlatego zamieszkał w Brienne-le-Château, bo w tej miejscinie Napoleon chodził do pierwszej szkoły.

– Dziękuję, pani inspektor! – McCormick aż zatarł ręce z radości. – Pani nam bardzo pomogła, nawet nie wie pani jak bardzo! Do zobaczenia!

Wyłączył tunofon i odwrócił się w kierunku kapitana Wrighta.

– Wright! Natychmiast dowie się pan, kto jest najlepszym na świecie znawcą epoki napoleońskiej i ściągnie go pan tutaj bez zwłoki, choćby żył na biegunie! Wykonać!

Wright trzasnął obcasami i wybiegł, a generał zwrócił się do Lyttletona:

– Powiedział pan: rok 1815, jeden ze środkowych miesięcy? W czerwcu tego roku wygraliśmy bitwę pod Waterloo!... Psiakrew., wszyscy jesteśmy durniami! Znając tę datę i kwadrat podany przez Perciera dla kontaktu telepatycznego, można było wcześniej bez trudu wydedukować o co chodzi!

Zerwał się od stołu i podszedł do wiszącej na ścianie mapy Europy po czym zaczął prowadzić palec wskazujący po terenie znajdującym się wysoko na północy kontynentu.

– Spójrzcie! Kwadrat Antwerpia–Lille–Hirson–Liège. Blisko jego centrum znajduje się Bruksela, lecz jego pępkiem jest niemal dokładnie Waterloo!

– To potwierdza pańskie przypuszczenia, generale – rzekł Lyttleton. – Mamy do czynienia z bonapartystą, czyli z maniakiem, którego chce powalczyć w napoleońskim mundurze i nic więcej.

– Ależ nie! – krzyknął McCormick w odpowiedzi. – Chciałbym żeby tak było i przedtem wierzyłem w to, ale teraz zmieniłem zdanie i zgadzam się z pańską poprzednią opinią! Sam pan przedtem przypomniał, że Percier realizuje jakąś misję. Teraz wierzę, że jego działania ma charakter ściśle określony, i to charakter polityczny!

– Co pan przypuszcza? – spytał Lyttleton.

– Myślę, że Percier chce zmienić bieg historii, pragnie sprawić, by Napoleon wygrał pod Waterloo!

Zapanowała cisza, którą przerwał po dłuższej chwili inspektor Eigworth:

– To chyba niemożliwe, generale! Przecież historii nie można zmienić. Czegokolwiek by ten szalenięc dokonał, to i tak w świadomości wszystkich jest zakodowane, że bitwę my wygraliśmy.

McCormick pokręcił głową ze złością.

– Człowieku, nic o tym nie wiesz! Wynalazek Smitha sprawił, że można historię żonglować. I świadomością też! Dlatego właśnie chcieliśmy zakazać stosowania tego wynalazku, gdyż jest on potworny!... Rzecz polega na sile bioenergii czasograwitacyjnej. Szczegóły lepiej panu wyjaśni Smith, ja tylko powiem, że jeśli ten facet dokona czegoś, co pozwoli Francuzom wygrać pod Waterloo, automatycznie cała ludzka świadomość ulegnie zmianie, zmieni się bieg historii, wszystkie następstwa, zapisy historyczne, wszystko! W momencie, gdy tego dokona, przestaniemy być razem w tym pokoju, może nawet nie będziemy żyli, pan na przykład ocknie się jako barman w Afryce, bo pańska nowa sytuacja będzie relatywna do nowego biegu historii, a ja...

Gwałtownie otwarły się drzwi i stanął w nich Wright.

– Wykonane, generale! Profesor Selinger z Oxfordu poinformował mnie, że bezsprzecznie najlepszym znawcą epoki napoleońskiej jest niejaki Jerzy Botsch... Bouch... Boutschinsky... To Polak, starszy gość. Uzgodniłem sprawę z Warszawą i za kilka minut przywiozą go

w raketowej Sky-taxi!

– Doskonale! – McCormick zaczerpnął głęboko powietrza. – Panowie, rozpoczynamy operację „Waterloo”. Jest godzina 11.05. Percier będzie w roku 1815 jeszcze przez około dobę, najwyżej trzydzieści godzin. My mamy o wiele mniej czasu!

26 maja 2131 roku, godzina 11.42.

Gabinet szefa kontrwywiadu brytyjskiego,
generała McCormicka.

Opowiedzenie Polakowi całej historii zabrało generałowi pięć minut.

Potem spytał:

– Profesorze Boutschinsky, czego pan potrzebuje, by rozszyfrować tego Rebonneta, w którego wcielił się Percier?

– Spisu oficerów i podoficerów francuskich z kampanii 1815 roku – odparł staruszek bez wahania. – Zwróćcie się do Francuzów, w paryskim Archiwum Narodowym muszą to mieć.

– Wright!

Kapitan szczechnął: „Tak jest” i wybiegł, a McCormick zadał kolejne pytanie:

– W jaki sposób pańskim zdaniem, profesorze, można byłoby odwrócić losy bitwy pod Waterloo?

– Eliminując francuskiego pecha, panie generale.

– Pan raczy żartować, doprawdy, profesorze!... Przecież to generał Wellington rozstrzygnął...

Polak roześmiał się głośno.

– Bzdura! Tylko Anglik może coś takiego powiedzieć. Wy, Anglicy, nie wygraliście bitwy, to los ją dla was rozstrzygnął. Deszcz, który spadł w nocy, zamienił drogi w grzęzawiska i działa Napoleona utknęły. Potem była sprawa wąwozu śmierci i belgijskiego

przewodnika–zdrajcy. Napoleon chciał rzucić do decydującej szarży swą ciężką kawalerię, kirasjerów Kellermanna, lecz zdziwiło go, że na polu, którym miała pójść kawaleria, stoi mała kapliczka.

Spojrzał na mapę – nie było tam żadnej drogi, ani nawet ścieżki. Rzecz dziwna, bo nie zdarzyło się, by kapliczka stała w szczerym polu, na łące lub ugorze. Spytał więc Belga, przewodnika, czy nie ma tam jakiejś drogi, parowu lub czegoś w tym rodzaju, a zdrajca odpowiedział, że nie. Wówczas Bonaparte dał rozkaz do ataku i rozpedzone masy kawalerii francuskiej wpadły jak w wilczy dół do wąwozu i wypełniły go po brzegi trupami. To był wąwóz śmierci, panie generale, bo ta kapliczka stała nad przepaścią... Mimo to cesarz wygrywał. Pod wieczór wasz genialny Wellington siedział w swym namiocie zrozpaczony, przekonany, że wszystko stracone, z twarzą w dłoniach i płakał!

Kolejni wysłannicy przybiegali z wieściami, iż utrzymanie pozycji jest niemożliwe i błagali go o posiłki, a on krzychał: „Nie mam już żadnych rezerw! Niech zginą wszyscy, co do jednego, ale niech walczą! Może zdąży nadciągnąć Blücher!...” No i zdążył. Na horyzoncie ukazały się masy świeżych wojsk. Napoleon sądził, że to francuski korpus Grouchy’ego. Ale to byli Prusacy Blüchera. Ot i wszystko.

– No cóż... tak... no, tak... dziękujemy panu, profesorze Boutschinsky, za ten interesujący wykład. Mam nadzieję, że z pańską pomocą wygramy operację „Waterloo” po raz drugi i...

W gabinecie ponownie zjawił się Wright i zameldował:

– Panie generale, jest wiadomość z Paryża! Ten Rebonnet był adiutantem generała Drouet d’Erlona!

Usłyszawszy to Polak zerwał się z krzesła i złapał za głowę.

– O Boże, ależ ze mnie oferma!

– Co się stało, profesorze?! – podbiegł do niego McCormick.I

– Nic. Proszę mi natychmiast dostarczyć stereowid książki

Charrasa *Historia kampanii 1815 roku!* , wydanie brukselskie, 1857 rok!

– Wright!

Kapitan w mgnieniu oka zniknął za drzwiami, a profesor wyjaśnił:

– Popełniłem błąd w rozumowaniu, generale. Sądziłem, że ten Percier przeniósł się w dzień osiemnasty czerwca, w dzień bitwy pod Waterloo...

– A tak nie jest?

– Nie, sądzę, że nie... Pod Waterloo jedyną szansą Napoleona było ściągnięcie w porę korpusu marszałka Grouchy’ego, który mógłby zneutralizować Prusaków. Grouchy nie przybył, gdyż nie miał ścisłych informacji, a ja myślałem, że Percier chce mu ich dostarczyć i ściągnąć go na pole bitwy. Trochę mnie to dziwiło, gdyż korpus Grouchy’ego znajdował się daleko, w Wavre, i szansa była mizerna. Teraz rozumiem, że Percier wybrał coś o wiele lepszego... Co za przebiegły człowiek. I jaki wspaniały znawca epoki, przyznaję, że zaskoczył mnie tym i wprowadził w podziw!

– Niech pan się przestanie zachwycać tym terrorystą i niech pan wreszcie powie, o co tu chodzi, profesorze!

– O „spacer d’Erlona”. Pańska operacja, generale, winna nosić kryptonim „Spacer d’Erlona”. Ten spacer miał miejsce dwa dni wcześniej, szesnastego czerwca.

– „Spacer d’Erlona”? Co to takiego?

– Dzisiaj, generale, już nawet historycy o tym nie wiedzą, ale przed wiekami było to znane pojęcie związane z kampanią 1815 roku. Otóż musi pan wiedzieć, generale, że na dwa dni przed Waterloo, szesnastego czerwca, rozegrane zostały symultanicznie dwie inne bitwy. Pod Ligny Napoleon walczył z Prusakami Blüchera, a nie opodal, pod Quatre–Bras, marszałek Ney z Anglikami. Między nimi znajdował się francuski korpus generała Drouet d’Erlona. Najpierw wezwał go do siebie Ney, ale w trakcie marszu d’Erlon otrzymał

rozkaz cesarza nakazujący mu skierować się do Ligny, zawrócił więc. Kiedy był blisko Ligny, dopadł go drugi wysłannik Ney'a i nakazał wracać bezzwłocznie do Quatre-Bras! D'Erlon ponownie zawrócił i w rezultacie nie zdążył już wziąć udziału w żadnej z tych dwóch bitew. Przez cały czas, na skutek sprzecznych rozkazów, pętał się między Napoleonem a Neyem! To był właśnie „spacer d'Erlona”, który skazał Francuzów na porażkę pod Waterloo.

– Przecież Waterloo było w dwa dni później. Nie rozumiem...

– Zaraz to panu wyjaśnię, generale. Widzi pan, szesnastego czerwca Prusacy zostali przez Napoleona pobici pod Ligny, ale nie rozbici. To spora różnica. Gdyby d'Erlon nie został odwołany przez Ney'a i połączył się z cesarzem, zostaliby unicestwieni i nie mogliby rozstrzygnąć Waterloo na waszą korzyść. Czy teraz pan rozumie, generale?

– Tak. A więc Percier...

– Percier bez najmniejszej wątpliwości wcielił się w skórę adiutanta d'Erlona, Rebonneta, po to, by zatrzymać wysłannika Ney'a z kolejnym rozkazem zawrócenia. Jeśli mu się to uda, d'Erlon połączy się z Napoleonem. Wówczas armia pruska przestanie istnieć i nikt już nie pomoże Wellingtonowi pod Waterloo.

– Kto był tym wysłannikiem?! – krzyknął McCormick patrząc na zegarek.

– Na to pytanie odpowie nam książka owego Belga. „Spacer d'Erlona” jest tam opisany ze szczegółami, w osobnym rozdziale.

W kilka minut później powrócił Wright i wyświetlili taśmę stereowidową z książką Charrasa. Czekala ich przykra niespodzianka – Charras nie rozstrzygnął, kto był wysłannikiem Ney'a i podał dwie wersje. Według wspomnień Napoleona był nim szef sztabu Ney'a, pułkownik Heymes, natomiast według d'Erlona generał Delcambre. McCormick zaklął i zwrócił się do Polaka:

– Profesorze, niech pan wskaże jedno z tych nazwisk!

Staruszek rozłożył ręce.

– Jakim cudem? Jestem historykiem, a nie jasnowidzem. Jeśli Charras, który badał sprawę, kiedy żyli uczestnicy bitwy, nie rozstrzygnął jej, to jak ja mogę teraz...

– Na miłość boską, musi pan!

– Ale jak? Równie dobrze może pan rzucić monetę, generale. Jeśli wyjdzie...

– Nie wiem jak! Na wycucie, niech pan zgadnie, na miłość boską, ale niech pan poda jednego... Ile mamy czasu?

Profesor przesunął taśmę stereowidru i rzekł:

– Ten rozkaz został wysłany około drugiej po południu.

– Więc zaledwie półtorej godziny! Musi się pan natychmiast zdecydować, profesorze... Błagam pana!

– Dlaczego to takie ważne? – spytał Polak. – Co chcecie zrobić?

– Chcemy wysłać naszego człowieka w ciało wysłannika!

– To wyślijcie dwóch ludzi, jednego w ciało Heymesa, a drugiego w ciało Delcambre'a, w ten sposób będziecie mieli pewność, że któryś i z nich trafił w ciało wysłannika.

– Nie możemy, mamy tylko jedną kabinę czasograwitacyjną, którą trzeba regenerować przez około trzy godziny! Profesorze!!!

Polak pokiwał głową, niezdecydowany, co ma odpowiedzieć. Ale musiał coś odpowiedzieć. Odpowiedział:

– Delcambre.

– Dlaczego on?

– Bo Napoleon mógł zostać źle poinformowany, a d'Erlon chyba wiedział, kto mu przyniósł ten fatalny dla Francuzów rozkaz.

– Dziękuję, profesorze! Wright! Jedziemy do Instytutu Smitha! Do zobaczenia, profesorze! Jeszcze raz dziękuję!

W drzwiach zatrzymała McCormicka jakaś myśl. Odwrócił się i zadał jeszcze jedno pytanie:

– A jeśli się pan pomylił, profesorze Boutschinsky?

Polak zrobił nieokreślony gest ręką.

– To możliwe, generale. Wówczas przegracie i tę operację, i bitwę pod Waterloo.

16 czerwca 1815 roku, godzina

15.03. Polna droga między Ligny
a Quatre-Bras

Człowiek w generalskim mundurze, galopujący w kierunku, z którego dochodziły głuchoe odgłosy dział, usłyszał zza pleców krzyk i tętent kopyt.

Zatrzymał się. Oficer, który go gonił, podjechał bliżej i spytał:

– Czy mam honor z generałem Delcambre?

Generał zamiast odpowiedzi wymierzył w tamtego pistolet. Zaskoczony oficer krzyknął:

– Co to ma znaczyć? Dlaczego?!

– Dlatego, przyjacielu, by udaremnić twój plan. To nie ty mnie zabijesz, ale ja ciebie. Tylko chwilowo posiadam ciało generała Delcambre'a, tak jak ty Rebonneta, Percier... Jestem kapitan Wright, z londyńskiej Secret Service!... Tak, Percier, zdążyliśmy, a ty przegrałeś tę grę! Rączki, rączki, Percier, bez kawałów, bo nawet nie zdążysz się dowiedzieć, jak przegrałeś! Rozgryzł cię szef kontrwywiadu, McCormick, a Smith usunął twoje ciało z kabiny i wyekspediował mnie tutaj w cielesną powłokę generała Delcambre'a. Ten rozkaz dotrze do d'Erlona i d'Erlon nie połączy się z Bonapartem... Nie zmienisz dziejów świata, Percier, najwyżej los rodziny nieszczęsnego Rebonneta. Przykro mi, że zabijając ciebie, zabiję i jego. On jest niewinny. Zawsze niewinni płacą za łajdaków!

Po czym nacisnął spust.

ELIKSIR MŁODOŚCI

Podszedł do niej w momencie, gdy robiła makijaż i obserwował, jak kąpie w lustrze (tak zawsze mówił) swą piękną twarz. Odbicie w małym, owalnym, jej ulubionym lusterku ze złożonymi ramkami sprzed kilkuset lat, rzeźbionymi misternie w sploty winorośli, przypominało mu osiemnastowieczną miniaturę, jedną z tych, które podziwiał, będąc dzieckiem, w zabytkowym albumie swej matki. Czasami podnosiła wzrok i wówczas oczy damy z lusterka wpatrywały się weń przez chwilę, a on nie umiał odczytać, co kryją, jakie myśli, jakie uczucia. Uczucia... Czy darzyła go jeszcze miłością? Po tylu latach małżeństwa... W ciągu dwóch czy trzech ostatnich nie spisywał się zbyt dzielnie w łóżku i tłumaczył te sobie pracowaniem, bo o zniechęceniu nie było mowy. Bał się, że z upływem dalszych lat będzie coraz gorzej i marzyło mu się nie starzeć, zatrzymać bieg czasu.

Już kilka razy chciał jej to powiedzieć i także teraz, kiedy wszedł do jej pokoju, niósł to w sobie, ale gdy stanął obok niej – znowu się zawahał. Milczał i patrzył, jak starannie ciągnie czarną kreskę po powiece.

Przerwała po chwili, odwróciła twarz do niego i spojrzała pytająco.

– Słucham, kochanie, szukasz czegoś? Pewnie spinek, jak zawsze...

– Nie, zastanawiam się – odpowiedział, gdyż rzeczywiście zastanawiał się.

Żachnęła się i wykręciła do niego plecami.

– Dobrą porę wybrałaś na medytacje! Za pół godziny musimy wyjść, nie przeszkadzaj mi!

– Nie przeszkadzam, stoję i milczę, co ci to szkodzi, kochanie?

– Szkodzi!... Nie potrafię się malować, gdy ktoś się gapi!
– Długo będziesz się jeszcze malować, kochanie?
– Nie gap się, nie pytaj i idź do licha!
– Mogłabyś być uprzejmieszka! – warknął. – Nie gapię się, po prostu patrzę!

– Więc już nie patrz i nie dąsaj się, i idź do siebie, i pozwól mi umalować się!

Miał ochotę rzucić czymś kruchym o ścianę i może właśnie ten ładunek złości na siebie, na własne tchórzostwo, przełamał w nim coś. Zawrócił z hallu, wszedł ponownie do jej pokoju i spytał:

– Chcę jednak wiedzieć, czy długo zamierzasz się malować?

Drgnęła i gwałtownym ruchem położyła lusterko na toalecie.

– Oooh! To znowu ty? Przestraszyłeś mnie, myślałam, że już poszedłeś do siebie... Co jeszcze?

– Spytałem tylko, czy długo jeszcze będziesz się malować.

– Za kwadrans skończę, jeśli wyjdiesz i przestaniesz mi przeszkadzać.

– A za ile lat skończysz?

Spojrzała na niego uważnie.

– Czy ty się dobrze czujesz, Adrianie?

– Owszem, czuję się znakomicie. Inaczej mówiąc, nie zwariowałem ani nie jestem złośliwy. I wcale nie chciałem sprawić ci przykrości, kochanie. Nie bez powodu spytałem, za ile lat skończysz z malowaniem.

– To bądź tak uprzejmy i możliwie szybko wyjaw mi ten ważny powód, dla którego opóźniasz nasze wyjście, bawiąc się w sfinksa, bo ja twojego pytania nie rozumiem, nie chcę rozumieć!

– Zastanawiam się po prostu, przez ile lat będziesz się jeszcze malowała, skarbie. Z każdym rokiem coraz grubiej i coraz mniej skutecznie.

– Przestań! O co ci chodzi?! Jesteś okrutny!

– To nie ja, kochanie, to czas.

– Mam jeszcze dużo czasu. A potem poszukasz sobie młodszej, jeśli będziesz do tego zdolny, bo nie będę cię oszczędzała przez te lata, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha...

Śmiała się nieszczercze i oboje to czuli.

– Mylisz się, Luizo, to czas ma ciebie i to on nie będzie cię oszczędzał.

– Znalazł się... filozof! Czas nie oszczędza nikogo, ale ja mam jeszcze czas, żeby się tym martwić.

– Ładnie powiedziane, kochanie. Tylko widzisz – mnie właśnie o to chodzi... Ile masz jeszcze czasu do momentu, kiedy nie pomoże już żadne malowanie?

– Adrianie!... Słuchaj, a może ty dzisiaj piłeś?

– Nie, nie piłem.

– To dlaczego się wygłupiasz? I to właśnie teraz! Już jesteśmy przez ciebie spóźnieni. Czy ty nie wiesz o tym, że malują się również kobiety dwudziestoletnie, które tak jak i ja wcale nie muszą czymkolwiek sobie pomagać? To kwestia mody, stylu, dopasowania makijażu do koloru sukni, wreszcie tysiąca innych rzeczy i to trwa od czasu Adama i Ewy. Pojmujesz wreszcie, mój ty głuptasie?

Potargła mu włosy czułym gestem, który miał znaczyć „odczep się wreszcie”, a on zrozumiał, że to wszystko, co chciał, zaczynając od okazji z malowaniem, powiedzieć dowcipnie, lekko, tak by oscylowało między żartem a poważną sprawą i pozwalało zręcznie wycofać się w razie potrzeby, stało się niespodziewanie idiotyczną szermierką, jakimś naprawdę żenującym pseudofilozofowaniem i wmanewrowało go w makijaż!

– Posłuchaj, kochanie, to wszystko idzie nie tak, jak chciałem, ale jeśli już zacząłem, to skończę. Chcę ci powiedzieć...

Zerwała się z taboretu i stanęła przed nim z oczami palającymi gniewem.

– Przestań mnie drażnić, czemu to robisz?! Stało się coś?... No dobrze, mój ty filozofie, zestarzeję się kiedyś i stanę megierą, ale na razie jestem w formie i możesz się wypchać swoimi strachami. Będę jeszcze młoda aż przez dwadzieścia lat, tobie na złość!

– Tylko przez dwadzieścia lat, Luizo – wpadł w ten sam ton co uprzednio.

Opadła na taborecik, jakby ją uderzono.

– Na miłość boską, co cię dzisiaj opętało, Adrianie?... W porządku, tylko przez dwadzieścia lat, a teraz wynoś się i daj mi skończyć. Jesteś „wirtuozem chirurgii mózgu”, jeśli wierzyć gazetom, które jakoś dziwnie zapominają, że pracujemy razem i że korzystasz z moich odkryć, ale na razie w żadnej z nich nie napisano, że jesteś genialnym wskrzesicielem młodości, więc nie możesz mi pomóc. Na razie tylko przeszkadzasz... Adrianie, proszę cię, idź już.

– Widzisz, kochanie, a ja myślę, że mógłbym ci pomóc.

– Co ty powiesz?! Na przykład przeszczepisz mój mózg w młodziutkie ciało, gwizdząc na Konwencję Brukselską, która tego zabrania, co?

– Nie o tym myślałem. Wydaje mi się, że znam inny sposób, by ci pomóc, kochanie, tobie i sobie. Myślę o tym od pewnego czasu, a dzisiaj, kiedy ujrzałem twoją twarz w lustrze... O tutaj, widzisz, tu po lewej, zrobiła ci się zmarszczka, chyba pierwsza...

– Bzdura! Jestem po prostu zmęczona, od rana przeprowadziłam trzy operacje, to chyba wystarczy! Koń by nie wytrzymał tego tempa! Mam już dość twojej kliniki, i ciebie, i tej pracy, i wszystkiego!!! Dość!!!

Cisnęła z furią słoik z kremem i stojąc przed Forrotem niczym uosobienie Bogini Szału, wrzeszczała:

– Kiedy przyszłam tu po studiach jako młoda, wyjątkowa uzdolniona asystentka, ganiałeś za mną jak sztubak, śliniłeś się i skamlaleś, zebrałeś o jeden uśmiech i klękałeś z kwiatami! Wielki

profesor Forrot, „genialny zegarmistrz mózgów” i skromna panienka! Zastanawiałam się wówczas, o co ci bardziej chodziło, o moje odkrycia czy o moje ciało... Już nie pamiętasz, jaki byłeś miły? A teraz wyszukujesz mi zmarszczki, których nie ma! W jakim celu! Znalazłeś sobie inną? Proszę bardzo, uszczęśliw ją, obiecaj złote góry, tak jak mnie, tylko nie obiecuj, że będziesz Casanową, bo się dziewczyna oszuka, tak jak ja!

I zaraz, przestraszona, uświadomiwszy sobie jak boleśnie mógł odczuć ostatnie słowa, dodała ciszej ich fałszywe usprawiedliwienie:

– To nie przeze mnie nie mamy dziecka...

Rozpląkała się. Podszedł i wziął ją w ramiona.

– Nie płacz, przepraszam cię, nie miałem niczego złego na myśli. Ja cię kocham, tak bardzo cię kocham, Luizo... no, proszę, przestań już.

– Przecież nie mam zmarszczek, dlaczego mi robisz przykrość?

– Oczywiście, że nie masz, kochanie.

– A jak się pojawiają, to je usunę operacyjnie, cóż prostszego?

– Wewnętrznych procesów starzenia się organizmu nie usuniesz, kochanie.

– Znowu zaczynasz? Mam się teraz martwić, że nie można powstrzymać starzenia? Nie chcę się zamartwiać, nie jestem mniszką! Co cię dzisiaj napadło, czemu mnie torturujesz?... Można opóźnić starzenie o kilkanaście lat, przecież ci Rumuni, a potem Japończycy, wypracowali metody...

– Daj spokój, Luizo, cała ta geriatria to dobre dla staruszków, którym przywraca się na chwilę część pamięci i sprawności. Ja... widzisz, ja myślę o czymś innym, o zatrzymaniu młodości na jej najpiękniejszym, dojrzałym etapie. Wydaje mi się, że wiem, jak to zrobić... to znaczy... mógłbym przynajmniej spróbować... Wpadłem na pomysł, kiedy zapoznałem się z pracami Maurycego. To dlatego zacząłem z to rozmawiać...

– Maurycy?... To ten młodzik, który robi u ciebie doktorat?

– Właśnie. Maurycy Lebon.

Nie poszli do teatru. Siedzieli do późnej nocy w jej sypialni i on tłumaczył w czym rzecz. Właśnie do tego zmierzał. Od kilku tygodni każdego dnia chciał to uczynić i każdego dnia przekładał to na dzień następny. Aż przyszła ta chwila, kiedy dokonało się jakoś samo, w czasie tej rozmowy. Czekał na taką właśnie chwilę.

– Widzisz – mówił – jego ojciec, stary Lebon, bawił się w alchemię, czytał księgi Albertusa Magnusa, Bacona, Lullusa, Basiliusa Valentinusa, Paracelsusa, Le Coera, znał dokonania Trismegistosa, Trevisanusa, Dżafara-al-Sofi, Sendivogiusa, Saint-Germaina, Cagliostro i wszystkich starożytnych, Egipcjan i Asyryjczyków...

– O kim ty mówisz, Adrianie? Co to za nazwiska?

– O alchemikach, kochanie. Od pewnego czasu staram się zostać ekspertem w tej dziedzinie, chociaż daleko mi do starego Lebona, który od wiedzy teoretycznej przeszedł do praktycznej, zabrał się do warzenia mikstur...

– Adrianie, ty wierzysz w te brednie?

– Moja droga, przed stu laty ludzie nie wierzyli w odwiedziny przybyszów z kosmosu i naśmiewali się ze zwolenników takiej hipotezy

– To co innego. Ten stary Lebon miał szczęście, że nie urodził się w średniowieczu, bo spalono by go na stosie.

– Nie jestem taki pewien. Wówczas palono uczonych i poetów-heretyków oraz czarownice. Magów podejmowano na dworach.

– I co z tego? Ty, wybitny naukowiec, uważasz to za dowód? Cyrkowców, komediantów, minstrela, wszelkiego rodzaju sztukmistrzów zapraszano na dwory równie ochoczo. To dobre dla publiki łaknącej taniej sensacji. Alchemicy, retorty, tajemne pracownie z krętymi lochami i zapadniami, dymy, kadzidła, kłątwy i zaklęcia, kabalistyczne receptury... Adrianie! Doprawdy,

zaskakujesz mnie.

– Wiem i zaskoczę cię jeszcze bardziej. Poświęciłem trochę czasu na studiowanie tych spraw. Szukałem w bibliotekach i archiwach, sprowadziłem mikrofilmy z zagranicy, przeczytałem wiele z tego, co czytał stary Lebon i wreszcie skontaktowałem się z doktorem Herrendorfem z Wiednia, najlepszym specjalistą od spraw alchemii. Złośliwi mówią, że to „ostatni z alchemików”, ale w rzeczy samej to człowiek mądry, poczułem do niego sympatię. Odbyliśmy kilka konferencji i on...

– Więc to dlatego tak zaniedbałeś w ciągu ostatniego roku klinikę, zwalając wszystko na moją głowę! Teraz rozumiem... To stąd te wyjazdy i późne powroty do domu...

– A ty pewnie myślałaś, że mam kochankę, co?

Z trudem powstrzymała śmiech. Odparła poważnie:

– Nie, Adrianie, nie podejrzewałam cię o to.

Gdyby był mniej zaaferowany sprawą, powaga tej odpowiedzi smagnęłaby go, lecz nie zwrócił uwagi na ton.

– Słuchaj dalej. Właściwie to nie chodzi mi o alchemię klasyczną, o wszystkie te sztuczki z zamienianiem metali nieszlachetnych w złoto, powiększaniem drogich kamieni i tym podobną szarlatanerią, lecz o jatrochemię, czyli medycynę alchemiczną. Zajmował się nią już „ojciec alchemii”, Hermes Trismegistos, a członkowie tajnej sekty, którą założył, żyli pono bardzo długo. Inny gigant alchemii, Arab Dżafar–al–Sofi, znany we wczesnośredniowiecznej Europie jako Geber, poszukiwał substancji leczącej wszystkie choroby i zwanej *panaceum* lub *aurum potabile*, czyli złoto do picia...

– Dość kosztowne panaceum, Adrianie.

– Bądź tak dobra i nie przerywaj mi drwinkami! Rozumiem, że to cię śmieszy, ale...

– To mnie nudzi, Adrianie, czuję się jak w szkole.

– Zapewniam cię, kochanie, że wkrótce przestanie cię to nudzić,

tylko pozwól mi kontynuować. No więc... zaraz, mówiłem o jatrochemii. Otóż ci, którzy się nią zajmowali, myślę oczywiście o gigantach alchemii, dokonali bardzo ciekawych wynalazków. Przykładowo: Szwajcar von Hohenheim alias Filip Paracelsus, znakomity szesnastowieczny lekarz, przyrodnik i filozof, odkrył tlen, zaś Libavius pierwszy otrzymał kwas węglowy, sole bizmutu i chlorek cyny.

– A Glauber sól Glauberską. Pamiętam to ze szkoły.

– Dobrze pamiętasz, ale strzeliłaś swoją złośliwością w płot, bo – o czym zapewne nie jest ci wiadomo – Glauber był również alchemikiem, uprawiał jatrochemię i swoją sól odkrył w trakcie doświadczeń hermetycznych, czyli alchemicznych. Tak on, jak i inni jatrochemicy ogłaszali te swoje poboczne odkrycia, natomiast zachowywali dla siebie] lub dla bardzo wąskiego kręgu wtajemniczonych sekrety badań głównych – nad Wielkim Eliksirem zwanym również Wielkim Magisterium. Eliksir, po arabsku eliksir, znaczy: kwintesencja lub kamień mądrości. Początkowo otrzymywano takie preparaty, jak na przykład *amarum*, czyli Eliksir Gorzki, z mieszaniny wyciągów winnych, olejków eterycznych, soli i różnych innych ekstraktów, lecz były one mało skuteczne. Potem udoskonalano recepturę... Trudno powiedzieć kiedy, ale pewne szyfrowane przekazy średniowieczne, na które natrafił Lebon i które są znane Herrendorfowi, wskazują, że już w starożytności znano Eliksir Długowieczności – eliksir *ad longam vitam*. Nie była to znajomość powszechna i być może ten eliksir nie był jeszcze doskonały, bo kilku alchemików średniowiecznych ostro pracowało nad jego optymalizacją i stworzeniem Eliksiru Młodości. Trudno powiedzieć, czy udoskonalili oni receptę starożytnych, czy też ją popsuli, w każdym razie ta walka z czasem pustoszącym organizm człowieka została zaszyfrowana w ich notatkach, co pozwala dzisiaj, przy obecnym stanie medycyny i nauki, wykorzystać te

doświadczenia.

– I kto je wykorzystuje, Adrianie?

– Na przykład doktor Herrendorf.

– Nie rozśmieszaj mnie! Ta cała jego geriatrycja...

– Ależ to nie jest geriatrycja...

– Jest to przedłużanie jakiejś takiej aktywności starców do stu dwudziestu lat, przedłużanie spróchniałej wegetacji! Z Rumunów i Japończyków dopiero co sam się śmiałeś...

– Przecież to zupełnie co innego. Widzę, że nie rozumiesz istoty badań Herrendorfa, nie znasz ich...

– Owszem, znam. Teraz przypominam sobie, że niedawno czytałam jego sprawozdanie z konferencji w San Antonio. Wyraźnie była tam mowa...

– Luizoo! To była konferencja geriatryczna, więc Herrendorf wypowiadał się na temat geriatry, natomiast jego badania alchemiczne to prawdziwa walka z czasem. Zresztą nie o nim chciałem mówić, lecz o starym Lebonie, który posunął się o wiele dalej.

– Na polu walki z czasem. Paradne!

– Proszę cię, nie kpij! Daj mi skończyć. Lebon wpadł na ten sam trop co alchemicy starożytni i średniowieczni, i osiągnął zadziwiające rezultaty.

– A najbardziej zadziwiającym z nich jest to, że już umarł!

– Popełnił błąd, to się zdarza, ale...

– Adrianie, czy któryś z tych, którzy parali się w minionych wiekach wynajdowaniem Elixiru Młodości i całą tą jatrochemią, czy któryś nich nie popełnił błędu i przeżył więcej niż sto... no, powiedzmy: sto pięćdziesiąt lat?

– Mam podstawy przypuszczać, że tak. Wskazują na to źródła historyczne.

– Ty to mówisz poważnie?

– Najzupełniej. Zbyt wiele czasu poświęciłem na badanie tej sprawy, żebym miał teraz żartować. Nie jestem mistykiem ani fantastą, jestem naukowcem. Umiem oddzielać ziarna od plew... Na przykład Saint–Germaina od Cagliostro.

– Czy to właśnie oni?

– Jeden z nich. Saint–Germain. Cagliostro, który był genialnym telepatą i magiem, popisywał się swoją długowiecznością, twierdził na przykład, że znał osobiście Jezusa Chrystusa i był przy nim na uczcie w Kanie Galilejskiej, lecz najprawdopodobniej łgał. Nie upieram się przy tym, że był szarlatanem, czytałem wydaną w początkach ubiegłego stulecia, chyba tuż przed pierwszą wojną światową, pracę o Cagliostrze autorstwa doktora Marca Havena, który podaje wiele zadziwiających informacji, lecz nie mam do Cagliostro zaufania. Zupełnie inna sprawa z hrabią Saint–Germainem, współczesnym Cagliostro, który nie tylko nie robił z siebie nieśmiertelnego, ale – wiedząc, że go o to posądzają – unikał rozmów na ten temat... Zbyt wiele osób widywało go na przestrzeni kilkuset lat, by można było, kochanie, to lekceważyć. Przeczytam ci fragment książki pewnego Polaka, który spotkał się z Saint–Germainem w latach siedemdziesiątych minionego wieku.

Mówiąc to wstał, wyszedł i po chwili wrócił z niewielkim tomikiem w ręku.

– To właśnie to. *La sente française*. Autor w swoim opisie podróży po Francji rekapitułuje pokrótce stan wiedzy o Saint–Germainie.

Kartkował przez chwilę, aż znalazł. Wówczas spojrzął na nią niespokojnie i spytał:

– Czy chcesz?... Bo jeśli cię to wszystko znudziło...

– Nie, teraz mnie to już nie nudzi, Adrianie, wprost przeciwnie, zaczyna mnie bawić.

Rozpromienił się.

– To cudownie. Więc słuchaj: „Identycznie jak w przypadku

Cagliostro – nie wiadomo, kiedy się urodził (przypuszczalnie w pierwszej dekadzie XVIII wieku) i czyim był dzieckiem. Istnieje kilka wersji odpowiedzi, przy czym za najbardziej prawdopodobną uważa się, że był naturalnym synem królowej Hiszpanii, małżonki Karola II. Mówiono też w swoim czasie, iż był synem króla Portugalii, a Horacy Walpole twierdził, że hrabia Saint–Germain to człowiek, który ożenił się bogato w Meksyku, po czym umknął z fortuną żony via Konstantynopol do Europy. Co zaś do daty urodzenia, to zainteresowała mnie niezwykle rozmowa, która odbyła się w paryskim salonie Anno Domini 1758. Wcześniej Saint–Germain przebywał w swej niemieckiej posiadłości, oddając się badaniom alchemicznym i parapsychologicznym. Do Paryża przybył w glorii mistrza nauk tajemnych i wielkiego odkrywcy, z miejsca uzyskując zaufanie dworu. I oto mamy obiad, na którym hrabia jest honorowym gościem. Obecna przy stole Mme de Gergy, kobieta starsza już, lecz słynąca z doskonałej pamięci, przygląda mu się przez dłuższą chwilę po czym mówi: – Pięćdziesiąt lat temu byłam ambasadorką w Wenecji i dobrze pana pamiętam. Nazywał się pan wówczas markiz Balletti i miał parę kilka drobnych zmarszczek, których dzisiaj nie widzę. Pańska twarz prawie się nie zmieniła. Jak pan to robi, że się pan odmładza?

– Dbam o damy, pani – odpowiada Saint–Germain, próbując śmiechem osłonić zmieszanie.

Więść o tej rozmowie zbulwersowała Paryż i Wersal. Zaczęto szeptać, że hrabia ma ponad sto lat i jest nieśmiertelny. Reakcja Saint–Germaina zaskakuje. Cóż uczyniłby na jego miejscu typowy szarlatan? Oczywiście starałby się utwierdzać ludzi w przekonaniu o swej długowieczności i czerpać z tego zyski, tak jak Cagliostro, który podawał się za przyjaciela Chrystusa, oraz głośny sobowtór Saint–Germaina, lord Hower, który twierdził bezczelnie, że był obecny na soborze w Nicei (IV wiek). Saint–Germain nic podobnego nie czynił,

unikął rozmów na temat dotyczących go pogłosek, a zmuszony – krył się za zasłoną dowcipu lub wymanewrowywał rozmowę na inne tory.

Dwukrotnie nagabywała go jego protektorka, faworyta królewska, pani de Pompadour:

– Czemu pan nie ujawnia swego wieku? Hrabina de Gergy twierdzi, że widziała pana przed pięćdziesięciu laty w Wenecji takiego samego jak dzisiaj.

– Prawdą jest, pani, że znam hrabinę od dawna.

– Ależ, zgodnie z tym, co ona mówi, musi pan mieć ponad sto lat!

– To niewykluczone, pani – odpowiedział ze śmiechem Saint-Germain.

Z relacji pani du Hausset znamy drugą rozmowę, podczas której Saint-Germain zaczął opowiadać ze szczegółami o dworze Franciszka I. Mme de Pompadour krzyknęła zdziwiona:

– Wygląda na to, że pan to wszystko widział!

Hrabia zbył ją słowami, na które nigdy nie zdobyłby się hochsztapler:

– Wiele czytałem o historii Francji, pani, a mam dobrą pamięć. To wszystko.

Widząc zaś niedowierzanie, dodał śmiejąc się:

– Pani, nie bawi mnie sprawianie, by wiercono, że żyłem przed wiekami. Bawi mnie obserwowanie tej wiary. Staralem się znaleźć chociaż jedno świadectwo o przyłapaniu Saint-Germaina na sztuczki alchemicznych lub innych i nie znalazłem żadnego, nawet w pracach autorów wyraźnie wrogich temu człowiekowi. Znalazłem natomiast kilka zaskakujących opinii. Księżę heski, Karol, na którego garnuszku Saint-Germain przeżył swe ostatnie lata (według oficjalnej wersji zmarł na atak paralizu w Eckenförde 27 lutego 1784 roku), zaświadczył, iż hrabia wynalazł na bazie herbaty lekarstwo, które rozdawał bezpłatnie chorym w Schlezwigu

– wynikiem były setki uzdrowień, w tym część uznana przez lekarzy za cudowne. «Nigdy nie widziałem człowieka większego ducha niż on», powiedział książę. Oczywiście, świadectwo niemieckiego książątka, któremu obecność maga dodawała chwały, trudno uznać za miarodajne. O wiele trudniej kwestionować opinie o Saint-Germainie wydane przez dwóch znakomitych dyplomatów austriackich, Kaunitza i Cobenzla, szczywanich lisów, których niełatwo było omamić, a którzy – zetknąwszy się z hrabią – stali się jego zagorzałymi wielbicielami. Cobenzl powiedział o nim:

– Najdziwniejszy człowiek, jakiego poznałem w swym życiu. Posiadał bogactwa, a żył skromnie. Jego szlachetność, dobroć i uczciwość były najwyższej próby i napęłniały wzruszeniem. Posiadał przewyborną znajomość kilku języków i wszystkich sztuk. Był poetą, muzykiem, pisarzem, lekarzem, fizykiem, chemikiem, malarzem, krótko mówiąc: posiadał kulturę i wykształcenie, jakich nie posiadał żaden inny człowiek epoki. I jeszcze świadectwo Voltaire’a, człowieka o laserowym umyśle, któremu zarzucić naiwność byłoby szczytem naiwności. Voltair o Saint-Germainie do Fryderyka II:

„– Ten człowiek jest nieśmiertelny i wie wszystko!”

Przerwał, zmęczony głośnym czytaniem, i popatrzył na nią.

– Czy to wszystko, mój drogi? – spytała.

– Nie, kochanie, najważniejsze dopiero będzie. Pozwól tylko, że przepłuczę gardło.

Zanim odstawił szklanekę, ona wzięła książkę do ręki, przez chwilę szukała miejsca, w którym przerwał, i sama zaczęła czytać:

– „Już w roku 1785 sygnalizowano obecność Saint-Germaina na zjeździe masońskim w Paryżu; w roku 1788 hrabia de Chalons spotkał go na placu Świętego Marka w Wenecji, rozmawiali przez godzin, w roku 1789 księżna Adhemar spotkała go w jednym z paryskich kościołów; w roku 1821 doszło do podobnego spotkania w Wiedniu (z Mme de Genlis), a w roku 1835 w Paryżu (z niemieckim

historykiem Ottingerem); w roku 1846 Anglik Vandam spotkał Saint-Germaina podającego się za majora Frazera na dworze Ludwika Filipa; pani Blavatsky odnalazła go w Tybecie w końcu ubiegłego stulecia; również w Tybecie (w roku 1905), a potem w Rzymie (1926) spotkał go i rozmawiał z nią Anglik Leadbeater; w roku 1934 rozmawiał z Saint-Germainem włoski pisarz Contardi-Rhodio; w roku 1945 widział go Roger Lannes; w roku 1951 w jednej z tybetańskich świątyń gościł człowiek, o którym mówionej że to Saint-Germain”...

– Adrianie, jaką mamy gwarancję, że te przekazy są uczciwe?

– Rachunek prawdopodobieństwa, kochanie. Autor tej książki wymienił tylko kilka z wielu spotkań z Saint-Germainem, nie ma tu na przykład świadectwa Franciszka Greffera, którego wspomnienia wydał w roku 1945 w Wiedniu. Pokazywał mi je Herrendorf. Takich świadectw jest o wiele więcej. Ów Polak rozmawiał z Saint-Germainem w roku 1971 lub 1972 w Chambord – jest to ostatni znany wypadek. Widzisz, chodzi mi o to, że jeśli istnieje aż tyle niezależnych od siebie przekazów, to zgodnie z rachunkiem prawdopodobieństwa – przynajmniej część z nich jest autentyczna. Notabene historycy czynili spore wysiłki by zdezakwować te świadectwa i przez prawie trzysta lat do dzisiaj udało się im obalić tylko jedno, księżnej Adhemar, której rzekome wspomnienia sfabrykował Lamothe-Langon.

– Czy przypuszczasz, Adrianie, że ten Saint-Germain żyje do dzisiaj?

– Nic podobnego, kochanie. Może tak, a może nie, tego nie można wiedzieć. Nie wierzę w to, by był nieśmiertelny, jest to bowiem niemożliwe z czysto biologicznego punktu widzenia, nawet biorąc pod wagę supertransplantacje, protezy i inne sztuczki. Komórki mózgu zużywają się tak jak każde inne, prawdopodobnie jednak można osłabić tempo ich zużywania i wzmocnić procesy

regeneracyjne, przedłużając młodość człowieka w znacznym stopniu. A więc pokonując czas, kochanie, przynajmniej na jakiś czas. To jest właśnie sekret Elixiru Młodości i sądzę, że Lebon go odkrył.

– Aby zaraz potem wyzionąć ducha.

– Mówię o Lebonie–juniorze. Stary Lebon wykonał lwią część pracy, ale popełnił jakiś błąd i zapłacił za to śmiercią.

– O ile dobrze pamiętam, to zmarł przed pięciu laty w bardzo niejasnych okolicznościach.

– Przed sześciu laty. Policja prowadziła żmudne śledztwo, w końcu stwierdzono otrucie, nie znaleziono jednak mordercy. Mam powody przypuszczać, że on po prostu wypił swoją miksturę...

– I w ten sposób odmłodził się na wieczność.

– Popełnił błąd...

– To już mówiłeś. Dalej mi powiesz, że Maurycy Lebon skorygował ten błąd.

– Właśnie tak. Maurycy przejął spuściznę po ojcu i najpierw chciał tylko znaleźć przyczynę śmierci starego. Potem zapalił się i zaczął się w tym babrać. Do doświadczeń używał już jednak nie samego siebie, ale zwierząt...

– Wspomniałeś kiedyś, że pracuje nad szczepionką antynowotworową...

– Bo tak mi powiedział. Ale kiedy chorował, poszedłem do jego laboratorium po próbki odczynników zetonowych, a gdy pogrzebałem tam, stwierdziłem zadziwiającą rzecz. Jego zwierzęta nie starzeją się!

– Niemożliwe!... Zdawało ci się!

– Nie, kochanie. Zrobiłem analizę dwóch próbek tkanek. Zachodzą tam jakieś dziwne reakcje stabilno–regeneracyjne, których istoty nie sposób zbadać inaczej jak podczas długotrwałych badań. Chcąc je przeprowadzić, musiałbym dysponować jego menażerią. Ale nie

wydaje mi się to konieczne, bo zadałem sobie trud przeczytania notatek Lebona i wiesz... on... no, wydaje mi się, że on odczytał jeden z najbardziej tajemniczych manuskryptów w dziejach, o którym już przed wiekami mówiono, że zawiera „formułę eliksiru życia” !... Zresztą, może nie on to odczytał, lecz stary Lebon, w każdym razie w jego biurku leży fotokopia, pełne dwieście cztery strony i kartki z odcyfrowaniami szyfru. A z tym szyfrem nie zdołano się uporać przez setki lat! Nie znano jego autora, chociaż przypisywano książkę Baconowi, nie wiadomo było nawet, z którego wieku pochodzi rękopis. Dość długo przypuszczano, że z trzynastego, potem w roku 1974 czy 1975 profesor Uniwersytetu w Yale, Robert Brumbaugh, wysunął hipotezę, że z wieku szesnastego. Brumbaugh poświęcił wiele czasu na próby rozwikłania zagadki, ale niewiele zwojował. I oto nagle w szufladce Lebona leżą sobie jak gdyby nigdy nic odczytane fragmenty tekstu... Być może Lebonowie odnaleźli jakieś zapiski Saint-Germaina, może to właśnie on znalazł klucz do szyfru? Nic wiem. Ale jest faktem, że Maurycy zna treść manuskryptu. Jestem przekonany że dzięki temu pokonał ostatnie przeszkody i dysponuje Elixirem Młodości!

– Ha, ha, ha, ha!... Adrianie, to cudowne! Słuchałam tego wszystkiego jak bajki...

– Z bajek się nie drwi, a ty przez cały czas...

– A co miałam robić widząc, że ty w to wszystko wierzysz? Maurycy Lebon, geniusz, który pobił czas! Ty sobie to wyobrażasz dokładnie tak, jak mówiłam! Już czuję dym kadzideł, słyszę szepty zaklęć i widzę bezzębne staruchy przemieniające się w rozkoszne niemowlaki! Cudowne!

– Nie, moja droga, to nie na tym polega. To nie odmładza, to zatrzymuje proces starzenia się – wyjaśnił chłodno. – Mówiłem ci już, że moim zdaniem niemożliwe jest wstrzymanie starzenia się na stałe, ale mnie wystarczyłoby mieć moje czterdzieści osiem lat...

– Czterdzieści dziewięć, kochanie.

– Dobrze, no więc mięć tę czterdziestkę dziewiątkę przez następne! czterdzieści dziewięć!

– A ja miałabym przez cały ten czas trzydzieści sześć! Bajecznie! – klasnęła w dłonie jak dziewczynka, której podarowano nową lalkę. – Szkoda, że to tylko „ecie-pecie”, bo ja nie wierzę, mój drogi, nie wierzę!

– Niestusznie, kochanie. Powtarzam: takie mikstury musiały już istnieć w historii...

– Tak, tak, już słyszałam, Cagliostro, Saint-Germain...

– Nie tylko, również wiecznie młode kobiety.

– Co?

– O, właśnie. To cię zainteresowało, prawda? Spodziewałem się tego i dlatego zachowałem ten rarytasik na koniec. Słyszałaś o Ninon de Lanclos i o Julietcie Récamier? Znalazłem te nazwiska w notatkach starego Lebona i zapoznałem się z odpowiednimi pracami historyków. Pierwsza tych dam żyła w siedemnastym wieku i miała o wiele więcej kochanków, niż przeżyła lat, a przeżyła ich dokładnie osiemdziesiąt pięć.

– To ma być dużo?

– Poczekaj, nie o to chodzi. Otóż ta Ninon była najślawniejszą i najpiękniejszą kurtyzaną epoki...

– Co to znaczy?

– Ten wyraz? Ja też go nie znałem, ale zajrzałem do starej encyklopedii. Tak nazywano wówczas kurwę wyższej kategorii... Wróćmy jednak do meritum. Ta Ninon Lanclos pod koniec życia brała sobie dwudziestoletnich amantów i wyglądała przy nich jak rówieśnica!

– To nonsens!

– Taaak?... To jeszcze mało. Dowiedz się, że jeden z jej synów, wicehrabia de Villiers, zakochał się w niej szaleńczo, a gdy

dowiedział się, że jest jego matką, popełnił samobójstwo! Teraz ta druga, pani Récamier. Była najpiękniejszą kobietą przełomu osiemnastego i dziewiętnastego stulecia, a gdy miała prawie siedemdziesiąt lat, zakochał się w niej jej kronikarz, młodzieńki Ludwik de Lomenie, gdyż wyglądała młodziej od jego rówieśnic. Odnotowano też, że na łożu śmierci wyglądała jak panienka przed ślubem. Jak widzisz, obie te kobiety żyły dość długo, a umierając nie wyglądały jak szekspirowskie czarownice, lecz jak podlotki. To są fakty, kochanie.

– To zapewne sprawa nietypowej reakcji organizmu na... na nadużywanie rozkoszy łoża.

– Nic podobnego, kochanie. Takich przykładów można by było znaleźć więcej, ale stary Lebon nie bez przyczyny wynotował sobie właśnie te dwa, obie te kobiety bowiem żyły w sposób zupełnie różny. Pierwsza nadużywała, jak to nazwałaś, rozkoszy łoża w sposób wprost szokujący. Co zaś do drugiej, to historycy przez półtora wieku po jej śmierci sprzeczali się jeszcze, czy umarła w stanie dziewictwa, czy też nie. Przypuszczano, że jedynym jej kochankiem był Chateaubriand, ale nie jest to pewne. Żyła w takim celibacie, że aż szokowała otoczenie. Większość badaczy przypuszcza, że do końca życia zachowała niewinność.

– No dobrze, niech ci będzie! Ale dalej twierdzę, że to były wyjątki, Adrianie, osobliwości, żarty natury! – zareplikowała szybko, za szybko, tak szybko, że wychwycił nutkę nadziei na obalenie i tego sprzeciwu. I uczynił to:

– Takie osobliwości natura produkuje tylko wówczas, gdy się jej w tym pomaga, kochanie. Jestem tego pewien.

Tym razem nic nie odpowiedziała. Milczeli, a on czuł na sobie ja wzrok. Potem przedstawił swój plan. Zaprosił Lebona do ich willi w Alpach, uśpi go, wypreparuje jego mózg i podłączy do biointegratora, a następnie zmusi albo do wyjawienia tajemnicy,

jeśli Lebon już uzyskał efekt końcowy i dysponuje recepturą, albo do kontynuowania badań.

– Czy nie lepiej zostawić mu ciało i tylko uwięzić? – spytała. – Potem będziemy mogli go zlikwidować.

– Nie, kochanie, bo musielibyśmy albo nająć strażników, co byłoby z naszej strony idiotyzmem, albo pilnować go na zmianę sami. Człowiek dysponujący mięśniami może zawsze w jakiś sposób wydostać się z klatki, mózg zaś będzie intelektualnie równie wartościowy w biointegratorze jak w ciele, jednakże ruchowo bezsilny.

– Ale jeśli pozbawimy go ciała, zrozumie, że jest skończony i może się nie zgodzić na nasze żądania! ,^ ,

– Żartujesz sobie, kochanie, doprawdy! Kiedy będzie krnąbrny będziemy podrażniać jego ośrodki bólowe. Wierz mi, już po pierwszym razie stanie się barankiem. W nagrodę zaś od czasu do czasu podrażnimy jego ośrodek podniecenia seksualnego. To sprawi mu rozkosz, a jak wiem, on jest zboczony i uwielbia te rzeczy. Połowa asystentek w klinice mogła się już o tym przekonać albo i więcej niż połowa, lecą do niego jak ćmy do światła! – mówił to z nienawistnym błyskiem w oczach i z półuśmieszkiem, który zwyrodniał jeszcze bardziej przy ostatnim zdaniu: – Jeśli chcesz, to drugie pozostawię tobie, kochanie...

– Pozostaw mi samą operację, mam pewniejsze ręce od ciebie, Adrianie.

W przeciągu tygodnia Forrot załatwił Maurycemu Lebonowi wyjazd służbowy do Meksyku po kłącza rzadkiej odmiany kaktusa, o które tamten starał się od dawna. Zaprosił go do siebie na dobę przed odlotem i od tej pory nikt już nie widział syna alchemika. Wiedziano, że doktor Lebon bawi za oceanem i nie zaprzętało sobie głów jego osobą.

Wspomnianą roślinę Forrot przywiózł sam. W czasie jego

nieobecności Luiza dokonała operacji z pomocą zaprogramowanego przezeń komputera „Medicus-FR” (głośny wynalazek Forrota) i podłączyła mózg Lebona do biointegratora. Wydusili z tego mózgu wszystko bez większego trudu. Ostatnim i najważniejszym składnikiem mikstury były jaja bliźniacze z płodu młodej kobiety. Po dwóch miesiącach znaleźli taką i dokonali mordu, a ciało rozpuścili bez śladu, podobnie jak ciało Lebona. Potem zostało im, już tylko regularne zażywanie eliksiru. I stało się to, o czym marzyli – ich tkanki przestały się starzeć. Kilkakrotnie powtórzyli tę samą serię badań swoich organizmów, by uzyskać całkowitą pewność. Po siedmiu miesiącach byli pewni: czas stanął dla ich ciał.

Upewniwszy się, wpadli w euforię, która zaprowadziła ich do sypialni. Zaczęli się kochać w dzikim upojeniu, lecz Forrot szybko się zmęczył i zasnął. Rano, otwarłszy oczy, poczuł drętwienie karku. Spróbował się przeciągnąć i mimo straszliwych wysiłków nie mógł poruszyć ani jednym palcem. Mózg przeszła mu paniczna myśl: wykiwał nas, wypiliśmy truciznę!... Ale przecież zwierzęta piły to samo, a żyją i są w dobrym zdrowiu! Zresztą po tylu tygodniach od chwili wzięcia ostatniej dawki?... Nie, to nie trucizna, niemożliwe... Z najwyższym trudem przekręcił głowę o cal i poszukał wzrokiem Luizy. Jej miejsce było puste. Może wróciła do siebie?... I zaraz potem dostrzegł na nocnej szafce strzykawkę, a z drugiej strony, zza pleców, dobiegł go jej głos:

– To już niedługo, Adrianie, wkrótce zaśniesz. Wstrzyknęłam ci denoxin... Nie cierpisz, prawda? Zbyt cię kochałam, bym mogła sprawić ci fizyczny ból... Postanowiłam, kochanie, oddać twoje ciało Maurycemu. Wymienię wam mózgi. Jego mózg powędruje w twoją głowę, a twój, wybac Adrianie, do rozpuszczalnika... Pomyśl, czy to nie cudowne? Prawie będziesz żył, profesor Forrot będzie nadal profesorem Forrotem. Tylko o ile pięknie będzie mnie kochał! I jak!...

ODWET WIELKIEGO MUGA

Nie wiem, kiedy umrę. Może jutro, a może za dwieście cykli. Ale właśnie dlatego, że nie wiem, muszę zarejestrować całą tę historię już teraz, by później można było ją odtwarzać, by ją znano i pamiętano o niej. Gdybym pozostał jedynym nosicielem tej tajemnicy i gdybym zabrał ją ze sobą w niebyt, nie miałbym pełnej satysfakcji z tego, co uczyniłem. A chcę ją mieć, chcę ją wysmakować do dna, chcę, by nawet wówczas, kiedy mnie już nie będzie, wiadano, że byłem zwycięzcą, gdyż zmusiłem dwóch kolejnych Największych Mugów do zapłacenia wystawionego przeze mnie rachunku.

Wszystko to zaczęło się przed kilkuset cyklami, gdy ściągnęliśmy na naszą planetę człowieka w czerni i Matkę Wielkich Mugów. Chociaż nie... zaczęło się jeszcze wcześniej. Chcę, żeby cała ta sprawa była znana również na planecie Stu Barw i na innych planetach i dlatego opowiem wszystko od początku.

Jestem mieszkańcem planety Meldmug w Galaktyce Meldmoon. Przed kilkoma tysiącami cykli Mugowie wypracowali dobrze funkcjonujący system komunikacji międzygalaktycznej i rozpoczęli poszukiwania innych śladów życia we wszechświecie. Napotykali podczas tych wypraw istoty żywe, wszelako były to osobniki pokraczne, w niczym nie przypominające Mugów, jakies przezroczyście stwory lub plazmowate żyjątka, z którymi nie sposób było nawiązać kontaktu. Dopiero po około tysiącu cykli, gdy zbudowano pojazd kosmiczny Meld-Oga-Mug, wyprawa pod dowództwem Mii natrafiła na istoty mugokształtne na planecie leżącej na skraju podrzędnej galaktyki.

Mija nazwał tę planetę Stubarwną, gdyż w przeciwieństwie do naszej, czterobarwnej, mieni się ona wieloma kolorami – samych odcieni zielonego jest na Stu Barwach killkanaście! Przez pewien czas używana była również nazwa: Jednosłoneczna, gdyż planeta owa posiada tylko jedno słońce, wokół którego krąży, później jednak za nazwę oficjalną przyjęto: planeta Stu Barw.

Istoty mieszkające na Stu Barwach i zwące się *homines*, są podobne do Mugów, mają ten sam wzrost i zbliżony do naszego układ anatomiczny. Zasadnicza różnica polega na tym, że są wyposażone w jedną parę oczu o bliskim zasięgu i bardzo słabej elastyczności manewrowej, i do tego z jednej tylko strony głowy. Aby zobaczyć, co dzieje się za plecami, muszą się odwrócić, lecz wówczas tracą kontakt z terenem, do którego stanęli tyłem.

Pomagają sobie w tym wzglądzie błyszczącymi powierzchniami odbijającymi przestrzeń. Przyrząd ten, zwany tam lustrem, jest świadectwem, jednym z wielu, ich prymitywności. Od czasu wyprawy Mii udoskonalili swój system życia, lecz ewolucja ta jest niezmiernie powolna i prymitywizm ich wegetacji pozostaje wciąż zatrważający. Mieszkają w ciężkich, wielkich i nieelastycznych budowlach ograniczających przestrzeń, żyją średnio trzy razy krócej niż Mugowie, nie są w stanie opanować wybryków atmosfery i nawet wyżywić się – setkami tysięcy mrą z głodu! Te i inne fakty są doskonale znane Mugom, nie będę się więc nad nimi rozwodził; zasygnalizowałem je jedynie, by *homines* z planety Stu Barw, do których – mam nadzieję – trafi w przyszłości ta relacja, pojęli, jaka przepaść dzieli ich od naszego systemu.

Mugowie z wyprawy Mii i z kilku kolejnych wypraw stykali się z mieszkańcami Stu Barw. W czterech punktach tej planety urządzili nawet przy pomocy tubylców lądowiska ze znakami orientacyjnymi; jedno z nich przetrwało we fragmentach do dzisiaj na płaskowyżu Nazca w części Stu Barw, którą oni zwą Ameryką Południową.

Dzisiaj już wiemy, że po tych mimicznych, ze względu na barierę językową, spotkaniach pozostały na kolorowej planecie, w grotach i budowlach, ilustracje naszych pojazdów i kosmomugów w starych i dość prymitywnych skafandrach, podobnych do tych, jakich *homines* używają obecnie podczas swoich mikroskopijnych spacerków w Kosmosie.

Jedna z naszych wypraw zabrała ze sobą ze Stu Barw parę osobników, lecz zmarli oni, zanim pojazd osiągnął Meldmug. Ich organizmy nie były przystosowane do takiej podróży, a Mugowie nie potrafili jeszcze wówczas zapewnić im warunków przetrwania w pojeździe.

Nasza technika osiągnęła odpowiedni poziom dopiero w czasie, który oni zwą wiekiem XV. Wysłaliśmy wówczas, po dwóch tysiącach cykli przerwy, wyprawę, która wylądowała na dużym półwyspie, w kraju o nazwie Hiszpania.

Działy się tam rzeczy potworne, na widok których kosmomugów ogarnęło przerażenie. Jedni *homines* palili drugich na stosach. Żywcem! Ci, którzy palili, odziani byli w długie czarne szaty z kapturami i ciągnąc w podwójnych szeregach śpiewali jakieś ponure pieśni. Skazani wlekli za sobą ciężkie brzęczące więzy (nazywa się to: kajdany) mieli umęczone twarze, przekrwione oczy i zawodzili żałością.

Dowódca wyprawy, Tinoon Tin, na widok wleczonej na stos młodej i pięknej dziewczyny, zdecydował się uwolnić ją. W wywołanym za pomocą gazu cerenowego zamieszaniu kosmomugowie porwali dziewczynę i jednego z czarno odzianych *homines*, wsadzili ich do pojazdu i w ten sposób zostali przywiezieni na Meldmug pierwsi żywi mieszkańcy Stu Barw. I nikt nie przewidział, jak zaskakujące będą tego skutki.

Kobieta, niezwykle urodziwa, o długich czarnych włosach, nazywała się Dolores. Mężczyzna – Carlos Morena. Ona była cicha i

zalekniiona, często płakała. On przeciwnie – miotał się wściekle, potrząsał w powietrzu zaciśniętymi pięściami i często klękał przed przedmiotem, który wisiał mu u pasa, a który powiesił w oddanym mu do dyspozycji pomieszczeniu. Był to symbol władzy, którą uznawał – krzyż. W przeciwieństwie do kobiety miał od początku znakomity apetyt, chociaż niektóre nasze potrawy odsuwał ze wstrętem.

Dopiero po około dwóch cyklach Morena nauczył się naszego języka. Po trzech mówił już doskonale. Zmienił się. Wydawał się być zadowolony. Chociaż bezpośrednio po wylądowaniu na Meldmug wygrażał dziewczynie, potem, gdy już zamienił swoje szaty na nasze odzienie, zbliżył się do niej i w końcu zaczął z nią płodzić potomstwo. Urodziła mu jedenaścioro dzieci, siedmiu chłopców i cztery córki. Potem zmarła. Do końca nie nauczyła się mówić w języku Mugów i nigdy się nie uśmiechała. Dzisiaj czcimy ją jako Matkę Wielkich Mugów.

Wybiegłem za daleko do przodu, cofnę się więc.

Morena opowiadał Mugom niestworzone rzeczy, niektóre wielce zajmujące. O swym kraju i o Europie, w której jest wiele krajów i wiele języków oraz jeden wspólny – łacina. Właśnie po łacinie mieszkańcy Stu Barw nazywają się *homines*, a ich planeta Terra. Mówił też o instytucji zwanej Inkwizycją, do której sam należał, a która paliła żywcem *homines* nie wierzących w istotę nadprzyrodzoną, zwaną Bogiem. Mugowie zdumieli się, gdy po dłuższej opowieści o miłości *homines* do Boga oświadczył, że kiedy syn tego Boga wylądował na Stu Barwach, *homines* zamordowali go, przybijając do wielkiego krzyża. Rozśmieszył natomiast Mugów twierdząc, że planeta Stu Barw jest płaska i nieruchoma i że słońce wędruje nad nią ze wschodu na zachód. Plótl jeszcze wiele innych podobnych głupstw.

Nauczył Morena Mugów ciekawych kompozycji potraw i ich

smaków. Te kulinarne reformy przypadły Mugom do gustu. Inne nie przypadły, lecz nie potrafili ich odrzucić – Morena narzucił je siłą.

Słabością Mugów było to, że nie umieli się mścić. Gdy Morena zabił pierwszego Muga, doznali szoku i nie wiedzieli, jak zareagować. Mogli go zniszczyć, był jeden, sam, samiuteńki, a ich miliony! Lecz oni nie umieli odpowiadać siłą na siłę, nie umieli, bo do tej pory nie potrzebowali karać, a tym bardziej zabijać. Jak mogli umieć, jeśli nikt nigdy nikogo nie zabił na Meldmug, a zgony nienaturalne zdarzały się w wypadkach? Nie wiedzieli, co to kradzież, kłamstwo, przekupstwo, podział na lepszych i gorszych, rządzących i rządzonych, sytych i głodnych, nie potrafili płacić krwią za krew.

Morena nauczył ich tego wszystkiego.

Wystarczyło mu czterdzieści cykli. W tym czasie dorosły jego dzieci i narodziły się dzieci mieszane, ze związków między potomstwem Moreny i Mugami. W ten sposób powstała kasta Wielkich Mugów, która narzuciła całej społeczności Meldmug swoje prawa. Prawa brutalne. Morena umarł, lecz oni zostali, mnożyli się i utrwalali narzucone przezeń reguły – pieniądze, bezwzględną konkurencję, walkę o byt, hierarchiczny system rządów i nawet dziesiętny podział liczbowy ze Stu Barw. Przed Moreną wszystko na Meldmug było wspólne, za jego czasów zostało podzielone. Podział polegał na tym, że najpierw Wielcy Mugowie przydzielili sobie to, co chcieli, a potem resztę oddali Mugom.

W ciągu dwustu cykli ten nowy układ utrwalił się. Mugowie przeszli metamorfozę i nikt już na Meldmug nie dziwił się, że każdy ma swoje i walczy o to swoje z innymi, że kobiety nie należą już do wszystkich, lecz każdy ma własną (z tym że każda kobieta mogła stać się własnością Wielkiego Muga – ci mieli całe stada nałożnic), że trzeba kłamać, oszukiwać, kraść, donosić i zabijać. By przeżyć. Trwałości układu strzegli uzbrojeni siepacze władców, zwani

„ramionami Największego Muga”, i szpicle, zwani „oczami Największego Muga”. Za najdrobniejszy sprzeciw groziła śmierć. Sprzeciwy szybko ustały.

Pierwszym największym Mugiem był Morena. Po nim jego najstarszy syn, Mugmor, potem drugi syn Moreny, Megamoren, a następnie syn Megamorena, okrutny Hengamug. On to właśnie wydał zarządzenie, że Wielkim Mugom nie wolno płodzić potomstwa ze zwykłymi Mużkami. Od tej pory Wielcy Mugowie rozmnażali się wyłącznie w obrębie własnej kasty i nie powiększali elity w nadmierny sposób. Zbyt wielka – przestałaby być elitą.

Za czasów Hengamuga dokonano drugiej jeszcze innowacji. Już za panowania Megamorena Mugowie opanowali metodę wcielania się się w *homines*. Metoda ta ma kilka etapów. W pierwszym wyodrębnia się z ciała Muga wszystkie jego pierwiastki zmysłowe i zamyka w nadajniku terrolowym.

Następnie inny Mug zabiera nadajnik na Sto Barw pojazdem kosmicznym Meld–Ogadan i tam za pomocą fal terrolowych wtapia owe pierwiastki w powłokę cielesną któregoś z *homines*. W ten sposób Mug otrzymuje powłokę mieszkańca Stu Barw, zachowując swą osobowość; a zarazem nie tracąc umiejętności i wiedzy tamtego, który nie zdaje sobie sprawy, iż żyje w nim ktoś inny. Inaczej mówiąc: *homo* żyje sterowany od wewnątrz przez Muga. W odpowiednim, ustalonym z góry momencie, Mug–kontroler ponownie magazynuje w nadajniku pierwiastki zmysłowe Muga zhominizowanego, uwalniając w ten sposób nieświadomego *homo*, i odwozi je z powrotem na Meldmug, by zwrócić je pozostawionemu tam i odpowiednio konserwowanemu ciału Muga.

Cała ta operacja jest niezmiernie kosztowna i stać na nią tylko Wielkich Mugów. Zresztą, gdyby nawet była tania, nie pozwoliliby na korzystanie z niej zwykłym Mugom, gdyż to zachwiałoby ich poczuciem elitarności.

Wielcy Mugowie korzystali z niej w jednym tylko celu – by kochać się z najpiękniejszymi mieszkankami Stu Barw. Wtapiali się na dzień lub kilka dni w ciała księżąt i królów ze Stu Barw i zaznawali rozkoszy z ich cudownymi metresami. Kobiety z rodu Wielkich Mugów, nie mówiąc już o zwykłych Mużkach, są o wiele brzydsze od mieszanek Stu Barw. Dlatego też Wielcy Mugowie z taką ochotą wyruszali na tamtą planetę.

Innowacja, której dokonano za czasów Hengamuga, polegała na wzbogaceniu metody o element ruchu wstecznego w czasie – w przeszłość.

Hengamug rozkazał uczonym pokonać czas i dał im na wykonanie tego zadania pięć cykli obiecując, że jeśli w danym czasie nie rozwiążą problemu, zapłacą za to śmiercią. Dotrzymał słowa. Nie zdążyli i zgładzono ich wszystkich, czterystu dwudziestu siedmiu Mugów. Ich asystenci otrzymali następne pięć cykli. Mieli szczęście, gdyż mogli korzystać z osiągnięć swoich poprzedników i dzięki temu wynaleźli sposób wędrowania w przeszłość i powracania z niej.

Od tej pory mogli Wielcy Mugowie wcielać się w postaci historyczne ze Stu Barw – w Cezara, by zaznać objęć Kleopatry, we Franciszka I, by posiąść Dianę de Poitiers, bądź w Nelsona, by być amantem lady Hamilton. Wówczas to zegalitaryzowano metodę w specyficzny sposób – w dziedzinie egzekucji.

Do tej pory Wielcy Mugowie rozprawiali się ze swoimi przeciwnikami, z przestępcami lub z tymi, którym mieli cokolwiek za złe, na miejscu. Teraz zaś, dla zabawy i dla większego udręczenia, przynosili niektórych skazańców w ciała skazańców historycznych ze Stu Barw – heretyków, których Inkwizycja paliła na stosie, zamachowców, których łamano kołem i rozrywano końmi, bądź też Indian wbijanych na pal przez konkwistadorów.

Czas już przejść do szczegółów mojej osobistej sprawy. Urodziłem

się Wielkim Mugiem, chociaż nie z linii władców. Każdemu z Wielkich Mugów, jeszcze przed urodzeniem, zostaje przypisana odpowiednia specjalizacja – ze mnie uczyniono specjalistę od kontaktów z planetą Stu Barw. Od dziecka studiowałem dzieje tej planety i kiedy dorosłem, kilkakrotnie wyruszałem na nią jako kontroler Największego Muga, Ragamona, syna Hengamuga, by czuwać nad jego erotycznymi przygodami.

Moja praca nie była łatwa, gdyż odpowiadałem za bezpieczeństwo lotów. Zdarza się, że *homines* dostrzegają nasze pojazdy. Zwą je „latającymi talerzami” i czynią wiele wysiłków, by dowiedzieć się o nich czegoś więcej.

Moim zadaniem było właśnie uniemożliwienie im tego i wykluczenie takich przypadków jak katastrofa, podczas której nasz pojazd rozbił się na obszarze Syberii (na szczęście udało się zaszczepić *homines* przekonanie, że był to meteoryt). Lecz przede wszystkim musiałem wyszukiwać Ragamonowi smaczne stubarwne kąski.

Ragamon był wybredny – wybierał najpiękniejsze z mieszkank Stu Barw. Czasami kończyło się to tragicznie dla tych kobiet. Tak było, gdy wcielił się w kochanka Marylin Monroe. W efekcie ta kobieta, sławna na Stu Barwach z tego, że przetworzona z trzech w dwa wymiary zabawiła *homines* poruszając się na białej płaszczyźnie w ciemnych pomieszczeniach (nazywa się to filmem) – zmarła w sposób dla mieszkańców owej planety tajemniczy.

Ragamon przeniósł na nią jakieś zarazki, nieszkodliwe na Meldmugu, lecz dla niej zabójcze. Tamci wytłumaczyli to samobójstwem, lecz sami nie bardzo w nie wierzą.

Moja tragedia zaczęła się w dwa cykle później. Zakochałem się w Ami. Ami była zwykłą Muzką, bardzo ładną, prawie tak ładną jak muszkanki Stu Barw, ale zwykłą, nie wolno więc było mnie, Wielkiemu Mugowi płodzić z nią dzieci. Złamałem ten zakaz.

Sądziłem, że ujdzie mi to płazem, gdyż byłem już wówczas szefem naczelnego urzędu kosmicznego organizatorem wypraw Wielkich Mugów na Sto Barw, a więc czwartą osobistością na Meldmugu po Największym Mugu, Ragamonie, jego młodszym bracie, Onomegu, oraz szefie policji meldmugańskiej i osobistej; ochrony Największego Muga, Vagamie.

Przeliczyłem się. Sam dostałem tylko naganę – byłem niezastąpionym specem od wyszukiwania Ragamonowi i Onomegowi atrakcyjnych kochanek na Stu Barwach, więc nie odebrali mi stanowiska. Ale mego syna zabito, zaś Ami została wysłana na Sto Barw w rok 1431 i wcielona w Joannę d’Arc w dniu jej śmierci. Spłonęła żywcem!

Musiałem zorganizować jej wysłanie osobiście! Myślałem, że umrę z bólu... Opór nic by nie dał, a raczej dałby tyle, że sam postradałbym życie.

Wykonałem więc wyrok, udając spokój. Przez chwile wierzyłem, iż uda mi się wyprowadzić ich w pole. Chciałem wcielić Ami w jakąś inną dziewczynę na Stu Barwach. Ale dodali mi kontrolera. Był to agent Vagamy. Musiałem go zabrać ze sobą... Zgrywałem się na obojętność i mówiłem nawet, że się cieszę, gdyż w ten sposób uwalniam się od uciążliwej kochanki i zacieram ślad swej pomyłki. To gadanie było już pierwszym krokiem na szlaku mej zemsty.

Postanowiłem, że umrą. I to nie zwyczajnie i nie jeden raz. W owym czasie specjaliści z podległych mi laboratoriów wynaleźli metodę rytmicznego powielania uchwyconych jednostek czasu, nazwaną repulsacyjną, i skonstruowali na bazie tego wynalazku przyrząd, za pomocą którego można wielokrotnie odtwarzać ten sam miniony czas tak jak sygnał dźwiękowy.

Oczywiście poinformowałem Ragamona i Onomega o wynalazku. Byli zachwyceni. Pogratulowali mi i przyznali wysoką nagrodę. Powiedziałem im, że model Pulsamegu – tak nazwaliśmy przyrząd –

musi jeszcze przejść fazę ostatecznych sprawdzianów i że wersja operacyjna będzie gotowa nie wcześniej, jak po przeminięciu cyklu. Było to kłamstwo. Pierwszy ukończony Pulsameg był idealnie sprawny.

Musiałem ich wywabić obydwu jednocześnie. Było to trudne, ale miałem trochę szczęścia. Wreszcie miałem! Po tylu cyklach pecha i po śmierci Ami należała mi się odrobina szczęścia. Schodząc do lądowania na Stu Barwach, w trakcie wyprawy rekonesansowej dokonywanej z polecenia Ragamona, dostrzegłem na olbrzymim zbiorniku wody, zwanym Pacyfikiem, maleńką tratwę gumową, a w niej dwóch *homines*. Musieli już bardzo długo błąkać się po bezmiarze oceanu. Byli straszliwie wychudzeni i wpatrywali się w siebie półprzytomnymi oczami. W ich oczach czaił się głód. Nie mogłem marzyć o czymś lepszym.

Błyskawicznie wróciłem na Meldmug i pokazałem Ragamonowi i Onomegowi trójwymiarowe obrazy dwóch cudownych modelek, siostr pracujących w sławnym na Stu Barwach zakładzie produkcji strojów o nazwie Dior.

Powiedziałem, że następnej stubarwnej nocy są umówione ze swymi amantami. Chwycili przynętę.

Reszta była bardzo prosta. Poleciałem z nimi jako kontroler i wziąłem ze sobą Pulsameg. Trochę czasu zabrało mi odnalezienie tratwy. Był najwyższy czas, tamci dwaj zdychali już z głodu. Zaledwie zdążyłem dokonać wcieleń, jeden z rozbitków zaatakował drugiego, ogłuszył go i zaczął rozrywać zębami, pić jego krew i pożerać ciało. Wkrótce potem sam zdechł w męczarniach.

Konkretnie to Ragamon pożerał żywcem Onomega, a potem zdychał na tratwie w palącym słońcu Stu Barw.

Pulsameg ustawiłem na pustej wysepce koralowej i włączyłem przed odlotem na Meldmug. Będzie powtarzał śmierć Ragamona i jego braciszka aż do wyczerpania się ładunku bateryjnego. Co wcale

nie będzie oznaczało końca, gdyż moi Mugowie powrócą tam, by ładować aparat. Ragamon i Onomeg będą konali w potwornych mękach setki razy – tak długo, aż mi się to znudzi, a nie znudzi mi się wcześniej, niż zapomnę Ami. Pamięć zaś mam wyborną.

To jeszcze nie koniec. Po wykończeniu Ragamona i Onomega sięgnąłem po władzę, eksterminując ich najbliższe rodziny i wszystkich zwolenników. Teraz ja jestem Najwyższym Mugiem. Dokonałem zamachu przy pomocy szefa policji meldmugańskiej, Vagamy. Kobiety nie pasjonowały go, za to uwielbiał hazard, który rozplenił się na Meldmugu od czasów Moreny.

Nauczyłem Vagame stubarwnej gry zwanej pokerem i obiecałem mu wspaniałą rozgrywkę na Stu Barwach.

Dotrzymałem słowa. Wysłałem Vagame na sławną partię pokera w stubarwny rok 1876 do miasteczka Deadwood (w Ameryce Północnej) i wcieliłem w postać głośnego szeryfa i rewolwerowca, Jamesa Butlera Hickoka.

Przezorny Vagama zabrał ze sobą kilku swoich Mugów z obstawy, którzy wcielili się w kowboi mających go pilnować w saloonie w Deadwood i kilku własnych kontrolerów. Nic to nie pomogło – Vagama nie znał historii planety Stu Barw. Gdyby ją znał, być może wiedziałby, że w stubarwnym roku 1876 Hickok został zastrzelony strzałami w plecy przez bandytę McCalla w momencie, gdy miał w rękę fula z trzech asów i dwóch ósemek, którego to fula pokerzyści na Stu Barwach nazywają do dzisiaj „fulem śmierci”. I słusznie.

Vagama zapłacił mi za wykonanie wyroku na moim synku. Był tylko narzędziem, więc wybrałem mu łagodną i jednorazową śmierć – jestem władcą sprawiedliwym i liberalnym, ojcem swego ludu.

Część **III**

BYŁ SOBIE STRACH

*Jeden strach można wyleczyć
innym strachem. Strach przed
śmiercią – strachem przed
spodleniem się.*

(Diderot – *Dzieła*, t.III)

ŚMIERĆ MOTYLA

O wysoką szybę banku obijał się tęcoskrzydły motyl. Przecinał chybotliwą sinusoidą przestrzeń pod sufitem, a potem raz jeszcze zawracał ku słońcu i nurkował w swój zagadkowy ból. Odrzucony, powtarzał manewr.

Zmęczy się albo rozwali łeb – pomyślał Robert – ma mniejsze szanse niż ja.

Pocił się. Strach, który paraliżował ich od godziny, przylepił mu koszulę do pleców. Kazali im stać i nie rozmawiać ze sobą. Stał i bolały go nogi.

Już raz, przed laty, dusił w sobie ten zwierzęcy strach. Stracono ich z Chrisem nad Normandią. Wylądowali w chwili, gdy od strony szosy skręcał ku nim niemiecki samochód terenowy. Potem bieg przez płytkie bagno i decyzja Chrisa, że powstrzymają Niemców na początku grobli. Leżąc w wodzie nie widział przed sobą nic, jakby i oczy pocily mu się ze strachu. Nie wytrzymał.

Zanim tamci nadbiegli na odległość strzału, zerwał się i pobiegł wstecz, ku życiu, półprzytomny z przerażenia. Gdzieś za jego plecami zachłystywał się coraz ciszej automat przyjaciela, a on biegł przed siebie, przez grzęzawisko i przez własny wstyd, dalej i dalej. Dotarł do „maquis” i przez Hiszpanię przerzucono go do Anglii. W rok później do wiedział się, że Chris, chociaż ranny, wyszedł cało z opresji i że po operacji w Londynie odwieziono go do Stanów. Spotkali się po wojnie we Frisco i Chris wyrobił mu etat w banku, w którym sam pracował. I nie powiedział nawet: ty świnió!

Nie przypuszczał, że to uczucie mdłości i odrętwienia ciała powróci raz jeszcze. Ale powróciło. Otworzyło lśniące metalem i

szkłem drzwi na salę wypląt i wśliznęło się wraz z czterema zamaskowanymi mężczyznami, którzy wyjęli spod płaszczy pistolety maszynowe. Jeden z nich zablokował wejście, trzej inni obstawili salę. Z tych trzech jeden wskoczył na pulpit kas i wówczas wszyscy urzędnicy i klienci znaleźli się w polu śmierci.

Strach zaczął w nich pracować na dobre, gdy rozległy się chropawe, tłumione maską słowa:

– Niech każdy pozostanie na swoim miejscu i przypomni sobie, że ma tylko jedno życie! Zabijemy za każdy głupi ruch!

Nie trzeba mu było tego przypominać i Chrisowi też. Wojna nauczyła ich szacunku do życia. Ale ten młody czarnuch w mundurze, który naczał się komiksów i śnił o awansie, nie wierzył w śmierć i dlatego przestał żyć. Napiszą o nim, że „spełnił swój obowiązek”. Spełnił obowiązek – co za cholerny nonsens! Obowiązkiem było zachować życie, bez względu na koszty.

Wiedział o tym najlepiej, w każdym razie lepiej niż ten policyjny kamikaze i ten wyblakły, niski chłopak, przyjęty przed tygodniem i posadzony w okienku numer trzynaście.

Strach nie mógł przeszkodzić żadnemu z nich w naciśnięciu stopami guzików alarmowych. To był odruch warunkowy, wyprzedzający rozsądek.

Ale system alarmowy nie działał, bandyci nie byli amatorami. Kazali im cofnąć się, odwrócić i przyłożyć do ściany podniesione ręce. Tych kilkanaście kroków z okienka numer trzynaście, które było skrajne w szeregu kas, prowadziło dokładnie do narożnika, gdzie wystawała ze ściany rączka zwykłej, mechanicznej syreny alarmowej na dachu. I ten głupi szczeniak, którego przezywali „albinos”, położył obie dłonie na uchwycie i pociągnął całym ciężarem ciała!

Było to coś, co wykraczało poza reguły gry, coś, czego „Pułkownik” nie przewidział. Robert nie wątpił, że napad jest dziełem byłego

zastępcy szefa policji stanowej, „Pułkownika”, którego banda obrabowała już banki w Modesto i Bakarsfield oraz furgon poczty federalnej. Łącznie dziewięć milionów dolarów w ciągu osiemnastu miesięcy. Zarobiły na tym gazety, radio i telewizja, podczas gdy gubernator tracił szansę na wygranie kolejnych wyborów.

Bank stanowy, w którym pracował Robert, przez trzy tygodnie był pilnowany przez policję stanową i specjalnych agentów FBI. Zdjęto ich wczoraj w nocy, gdy przyszła wiadomość, że „Pułkownik” zginął w strzelaninie na granicy meksykańskiej.

Kretyni! - pomyślał Robert - znowu ich wykiwał! Każde dziecko mogło przeczytać na pierwszych stronach gazet, że facet jest po operacji plastycznej, ale te wszechwiedzące mędrki „rozpoznały” go w jakimś cholernym trupie!

„Pułkownik”, odkąd uciekł z dziewczyną, którą zamknęto za morderstwo, stał się czymś większym od wszystkich supergwiazd Hollywoodu. To było... Robert nie pamiętał dobrze, jakieś trzy lata temu. Wrzeszczano o tym we wszystkich programach radia i telewizji, prasa zrobiła z tej pary nowych Bonnie and Clyde, a dziewczynę nazwano drugą Calamity Jane. Zapamiętał twarz pięknej, cynicznie uśmiechniętej blondynki. Na innym zdjęciu dziewczyna leżała bezwładnie na przednim siedzeniu wozu, miała twarz spokojną i szeroko otwarte usta. Dosięła ją policyjna kula podczas peścigu w pobliżu Fresno. „Pułkownik” zdążył wyskoczyć z samochodu, sterroryzować obsługę stacji benzynowej, porwać sportowego forda i umknąć. Potem przez dłuższy czas było o nim cicho. A on przez kilkanaście miesięcy przygotowywał zemstę. Zaczął od banku w Modesto i od tej pory mścił się już regularnie, a jego nazwisko nie schodziło z pierwszych stron dzienników.

Teraz obiektem zemsty tego człowieka stał się także on i to było dla Roberta jedyną prawdą życia. Jutro zapewne napiszą, że wśród ofiar jest także Robert Turner, wymienią go na którymś miejscu listy

trupów, na trzeciej stronie reportażu, podczas gdy nazwisko mordercy ozdobi tytuły.

Nazwisko?... Robert nie mógł go sobie przypomnieć, chociaż widywał je i słyszał tak często. Fisher, Fisherman... nie, Fisherson... też nie! Do diabła z nazwiskiem! Pamiętał tylko ten pseudonim, „Pułkownik”, którym najczęściej określano bandytę w środkach masowego przekazu.

Prasa pisała, że „Pułkownik” ma za sobą dwadzieścia trzy lata praktyki policyjnej i nie robi błędów, że jest „lepszy od komputerów Stanowego Ośrodka Planowania” i że działa „jak szwajcarski zegarek ożeniony z jasnowidzem”. Jasne, że jest lepszy, nietrudno być lepszym od kretynów!

Ale teraz okazało się, że „Pułkownik” przewidując reakcje ludzi, którymi rządzi rozum i strach, pominął szaleńców. I dlatego smarkacz z trzynastki, uwieszony na ręczce syreny alarmowej, zaskoczył go tak, jak zaskoczył Roberta i wszystkich, którzy stali pod ścianą i którzy chcieli przeżyć.

Robert nie lubił „albinosa”, tak jak zresztą wszyscy „starzy”. Plotkowano, że chłopak dostał posadę z wyższej protekcji; podobno jego ojciec, mechanik samochodowy, opiekował się mercedesem dyrektora. Z natury rzeczy nie kochano takich bezczelnych gówniarzy wskazujących na posadę prosto po szkole i robiących minę startującego Rockefellera. Chris żartował, że stanowią oni „zagrożenie biologiczne”. Teraz „albinos” dowiódł tego w makabryczny sposób. Gdyby nie on, „Pułkownik” najprawdopodobniej zgarnąłby pieniądze, wziął kilku zakładników i wyniósłby się cichaczem. Nikomu, poza samą firmą, nie stałaby się krzywda. „Albinos” szarpnąwszy dźwignię alarmową spotęgował „zagrożenie biologiczne” ich wszystkich do granic ekstremalnych.

Za to właśnie Robert nienawidził go tak, jak tylko można nienawidzić trupa i nie żałował ani przez chwilę.

Wszystko to, co zmieniło sytuację w koszmar, stało się w ciągu sekund... kilkunastu, kilkudziesięciu?... Przeciągle wycie syreny zagłuszyło wystrzeloną przez tłumik serię pocisków. W plecach chłopaka wyrwało strzępiaste otwory, puścił uchwyt, odwrócił się i padł piersią na nieodmkniętą szufladę biurka.

Robert przez chwilę widział jego szklane oczy, a potem już tylko jasne włosy na stercie papierów. Odwrócił wzrok.

Bandyci skoczyli do wyjścia. Mieli dwadzieścia kroków do samochodu, lecz nim dotknęli drzwi, ich szofer nie wytrzymał ryku syreny i ruszył. W tym samym momencie czarny policjant, biegnący przez plac pod prąd ogarniętego paniką tłumu, przyklęknął i wyprostował uzbrojone ręce. Mierzył starannie. Miał dziecięcą twarz gorliwca i naciskając spust rozchylił wargi uśmiechem. Trafił w bak z benzyną i silnik maszyny rozerwało na strzępy. Jeden z odłamków uderzył strzelającego w skroń i zdmuchnął uśmiech wraz z życiem.

W chwilę później czarne kłęby dymu z płonącej furgonetki przesłoniły obraz za szybą i Robert powrócił wzrokiem do wnętrza. Właśnie wtedy, wraz z falą gryzącego smrodu, wpadł do sali zabłąkany motyl. Jego pojawienie się nie zdziwiło nikogo, żadnej z tych osób, które tak jak Robert spostrzegły go od razu. Strach doprowadził ich do stanu, w którym nie mogłoby ich zdziwić nawet pojawienie się we wnętrzu żyrafy, chociaż nigdy przedtem nie widzieli żywego motyla w centrum miasta. Zbyt wiele stało się rzeczy, które znali tylko z gazet i uważali za coś mitycznego, coś, o czym się czyta, słyszy, co się ogląda w kinie i co jest przypisane innym, tak jak śmierć, która jest udziałem bliźnich, daleka, nierealna, gdzieś obok. Ale to przyszło – tak jak przychodzi śmierć – zostało przypisane właśnie im i już nie mogli od tego uciec.

Bandyci, zaskoczeni biegiem wydarzeń, stali nieruchomo przy drzwiach. Przez kilka sekund wahali się i przez te kilka sekund

Robert miał jeszcze nadzieję, że zaryzykują, wybiegną, będą próbowali przedrzeć się, dopaść jakichś samochodów. Nagle jeden z nich dał znak ręką i wycofali się w głąb, ku pulpitowi kas.

Od strony placu słyhać było krzyki kobiet i rozkazy, zagłuszane wyciem policyjnych samochodów, które z piskiem opon wyjeżdżały z sąsiednich ulic. Po chwili bandyci zaczęli działać. Kobiętę z dzieckiem na rękę i dwóch innych wczesnych interesantów ustawili na krańcu sali, między tablicą ogłoszeniową a biurkiem Chrisa. Urzędników, kasjerów i dwóch strażników, którym odebrano broń, zapędzono do napełniania worków sztabkami złota i banknotami. Gdy skończyli, pchnięto ich w kierunku tamtej trójki pod ścianą.

Jeden z bandytów przysunął sobie fotel i pilnował stojących z odbezpieczonym pistoletem. Jego kumple również usiedli i przestali rozmawiać.

W sali zapanowało milczenie. Każdy – zarówno bandyci, jak i oni – zamknął się w swoim strachu i każdy spoglądał w kierunku drzwi, które były furtką do życia. Dym z palącego się samochodu rzedniał z wolna odsłaniając panoramę placu. W ekranikach elektrycznego zegara nad wejściem, wyskakiwały rytmicznie cyferki. Zrobiło się tak cicho, że można było usłyszeć szum air-condition. Wszystko zamarło, na podłodze leżały stosy papierów zrzuconych z pulpitu, przewrócona tablica informacyjna osunęła się na palmę w donicy, zasnęły maszyny liczące. Tylko motyl szamoczący się w dziwacznych skrętach kaleczył bezruch oczekiwania.

Poprzedniej nocy Robert pił na przyjęciu. Pił chyba trochę za dużo, ale to przez tę smarkulę, córkę Louisa, która najpierw opowiadała mu o kampusowych orgietkach, a potem zaciągnęła go do łazienki i rozebrała się tak szybko, że nie zdążył się nawet podniecić. Zaraz potem dopadła ich Connie, zrobiła się piekielna awantura, ktoś wszedł na stół, a stół się przewrócił, wszystko się zamazało i stało jakieś parszywe, ale chętnie by się tam teraz przeniósł, nawet gdyby

Connie miała wrzeszczeć i drapać sto razy mocniej.

Dzisiejszego ranka obudził się późno i nie zdążył nic zjeść. Golił się dopinając spodnie i już na ulicy chwycił w powietrzu śniadanie, które Connie rzuciła mu przez okno. Teraz jeden z bandytów znalazł je w szufladzie, rozwinął i podzielił między kompanów. Jedli nie zdejmując rękawiczek i uchylając przed każdym kęsem rąbki płótna maskującego twarze. Po co się tak wygłupiają – pomyślał – czemu nie zdejmą tych szmat? Wierzą jeszcze, że wyfruną stąd nierozpoznani? Och, Connie, czemu nie posypałaś bekonu arsenikiem? I zaraz odpowiedział sobie: idiota!

Nie czuł głodu, tylko odrętwienie nóg i parcie strachu na stolec. Z każdą mijającą sekundą strach coraz gruntowniej zabijał w nim wszystko to, co nie było miłością do jutra, do następnego poranka i zmroku. Nawet Connie, wszystko. Jak wówczas, na grobli, kiedy uciekał z otwartymi ustami tak długo, że nie słyszał już strzałów, aż przykucnął w rowie i wypróżnił to przerażenie, doznając ulgi. Ale teraz ani on, ani jego strach, nie mieli mocy podejmowania decyzji. Mogli tylko czekać.

Z początku zastanawiał się nad tym, co czują i co myślą inni. Chris, ta dźwigająca małe dziecko kobieta w kolorowej sukience i reszta, zbite stado zdrętwiałych istot, z których uchodziło powietrze. Płątały mu się po głowie najróżniejsze myśli, docierały jakiejś obrazy, istny kalejdoskop, zwariowane panoptikum, którego ściany powstały z jednego materiału – ze strachu. Na ułamki chwil – kiedy ujrzał motyla lub kiedy przypomniał sobie wczorajsze party – zapominał o swym przerażeniu, ale ono nie dawało się oszukać, zaciskało mu pętlę na szyi mocniej i znowu przywracało tę jedną myśl – wątpliwość czy przeżyje ten koszmar.

Dopiero po upływie godziny, gdy zmęczenie i ból w nogach podziały na strach niczym morfina, zaczął powoli przytomnieć.

W sali wciąż panowało milczenie, pełne napięcia i oczekiwania na

coś, co miało przyjść z zewnątrz. Jak długo ci na placu będą się namyślać i przygotowywać? I co zrobią? Przecież muszą coś zrobić i wówczas w pozorną martwość tej klatki wdrze się śmierć, ich lub bandytów, a może wszystkich razem. W serialach telewizyjnych kończyło się to zawsze cudem, jakimś genialnym trikiem glin, brawurowym atakiem w stylu komandosów, rozwaleniem łobuzów i koniecznie zdrową, pseudofilozoficzną sentencją, żeby wszyscy byli zadowoleni. Tylko że tu nie było kamer i to nie był serial, lecz cholerna rzeczywistość, może ostatni odcinek życia.

Usłyszał, jak stojąca za nim kobieta załkała cicho. Czyż nie myślała o tym samym? I naraz poczuł czyjąś dłoń usuwającą go na bok. To Chris zrobił krok do przodu, w kierunku pilnującego ich mężczyzny.

Chris. Dla chłopaków w dywizjonie „Rakieta–Chris”. Dwa ordery, ciało pełne blizn, legenda teksaskiego przebojowca, któremu lepiej nie wchodzić w drogę, a potem naczelnik wydziału rozliczeń, żona, dzieci, brzuch i weekendy. I grobla, o której wiedzieli tylko oni dwaj, bo gdyby wiedział ktoś z dowództwa, Robert dostałby wyrok i kulę. Lecz by tak się stało, Chris musiałby nie być tym Chrisem, którego wszyscy kochali i podziwiali. Kiedy teraz on jeden zdecydował się na coś, Robert nie poczuł zdziwienia. To był przecież Chris! Któż inny mógł uczynić to coś, bez względu na to, co to będzie.

Przez sekundę o władnęła nim obawa, że przyjaciel pociągnie go za sobą i narazi. Ale Chris przeszedł mimo i idąc wolno w kierunku siedzącego bandyty mówił:

– Panowie, puśćcie tę kobietę i dziecko... Nas jest tylu, że przecież... Był coraz bliżej. Cały strach w Robercie zamienił się w zwierzęcą ciekawość. Więc tak?... Ostatni z wielkich skoków, jakimi „Rakieta–Chris” czarował przed laty.

– ... przecież wystarczy wam zakładników... To dziecko jest małe, ono nie może...

Już wiedział. Zagadywanka, nagły kop w spluwę i poprawka w

pachwinę albo w jaja... Trzeba uważać. Kiedy Chris zwinie tamtego i padnie, należy skoczyć za filar, nim tamci puszczą pierwsze serie. A potem... potem Chris będzie osłaniał, aż wpadnie policja z placu. Byle tylko dopadł spluwy!

– ... przebywać w tej atmosferze... Jest głodne... panowie, zrozumcie... Skacząc przewróci tę kobietę, będzie miała szansę, ale... czy inni też zrozumieli, co się kroi i wiedzą, że natychmiast trzeba paść na ziemię?... Na pewno nie wszyscy, podrętwieli ze strachu. Ci, którzy tego nie zrobią... skoszą ich jedną serią, zamienią w czerwone blokco. Cholerny świat, nie może im pomóc, przecież nie będzie im teraz wyjaśniał, już za późno, niech się martwią sami.

– ... panowie, pozwólcie jej wyjść, proszę...

Był tuż. Wreszcie stanął o krok przed fotelem. Dopiero wówczas bandyta wstał (teraz! – pomyślał Robert, sprężając się), popatrzył zdziwionym wzrokiem na Chrisa i nagle pięścią zwartą na kolbie pistoletu uderzył go w twarz. Chris zachwiał się, lecz utrzymał równowagę.

– Wracaj na miejsce, skurwysynu!

Pięść uniosła się raz jeszcze, lecz nie opadła. Chris stał skulony, zasłaniając twarz rękami. Bandyta odwrócił go i kopnął z rozmachem. Przez dłonie idącego z powrotem kapąła krew z rozbitych warg.

Robert zamknął oczy – przed tym widokiem i przed strachem, który powracał. Nie odmykał ich przez długą chwilę. Gdy to uczynił, zobaczył motyla na tle szyby, ciągle w tym samym bezradnym tańcu.

Za oknem, w dalekiej perspektywie placu, dostrzegał oparkaniony kordonem policji tłum. Bydlaki! Nagle przestali się spieszyć do biur, zapomnieli o biznesie i spotkaniach, wyrzucili bilety do kin. Odżałowali mandat, który dostaną za parkowanie przy placu. Będą stać cierpliwie na spuchniętych nogach i czekać, choćby do nocy, aż piasek na arenie nasiąknie.

Darmowy cyrk, w którym on musi grać!

Nienawidził ich bardziej niż tych czterech, którzy nawet w maskach byli mniej anonimowi i bardziej ludzcy. Zabiją go, gdy uznają, że muszą, lub gdy wpadną w szal. Ale nie pragną tego. Chcą tylko wydostać się z pułapki i zniknąć z forszą. To tamten tłum, podniecony krwią, pragnie jej więcej i czeka na nią. I miliony bezpiecznych sukinsynów w swych domach.

Zanim dostrzegł kamery i górujący nad dalekim morzem głów wóz transmisyjny, zobaczył ścianę banku na ekranie odbiornika, który bandyci wynieśli z gabinetu szefa i ustawili przy wejściu do sali sejfów. Wpatrywali się w niebieski obraz z taką samą nadzieją jak on, jakby stamtąd miał przyjść ratunek. Na pozór byli spokojni i panowali nad sytuacją. Mieli zakładników.

Robert domyślał się, że panują tylko nad własnym przerażeniem, jeszcze panują. „Pułkownik” zrobił błąd w rachunku i to musiało wywołać u każdego z nich wewnętrzny szok. Czekanie zakładników było ich czekaniem, strach zakładników, ich strachem, ukrytym pod szmatami masek. Czy już się domyślili, że tu, w tym pomieszczeniu, nie ma podziałów, że wszyscy są identycznymi ofiarami układu? Po utracie dziewięciu milionów i wymysłach demokratów władze stanowe tak łatwo nie oddadzą więcej. Co będzie, jeśli nie zechcą oddać?... Chryste, to niemożliwe, by ci tutaj wystrzelali na zimno trzydziestu ludzi!... A jeśli jednak?... Czuł jak strach narasta w nim do fizycznego bólu. Wiedział... myślał o tym gorączkowo i wiedział już, co robi, gdyby jednak... Przynajmniej spróbuje – paść od razu i udawać zabitego. Może się uda, to jest szansa. Nędzna, ale dobra i taka...

Kamera musnęła pierzeje placu, przejechała po gębach gapiów (gęby żuły gumę, chrupały świńskie skórki i lizały lody), uniosła się, dosięgając snajperów policyjnych na dachach, uchwyciła helikopter krążący nad bankiem i zjechała w dół, by pokazać człowieka w

mundurze, który odpowiadał na pytania reportera.

– ... ście, zdajemy sobie z tego sprawę, sytuacja jest bardzo... no, bardzo, prawda, delikatna, ale, prawda, taka sytuacja, która, no, jest bardzo delikatna...

Widać było, jak po policzkach oficera spływają krople potu. Dziennikarz przerwał jego bełkot następnym pytaniem:

– Co zamierzacie zrobić? Czas mija, a sytuacja sama się nie rozwiąże. Czy macie jakiś plan?

– Plan, tak, plan... no, tego... nie, nie mamy...

– Dlaczego?! Na co czekacie?!

– Czekamy na... na decyzje władz. Pan gubernator... on zadecyduje. Jak tylko będzie decyzja, to zaraz...

– Co?

– No, tego... zrealizujemy ją.

– Dziękuję panu. Proszę państwa, ten program, program stulecia, transmisję na żywo z najbardziej sensacyjnego wydarzenia na naszym kontynencie, oglądacie państwo dzięki firmie Robins and Starveys, która produkuje najlepszy na świecie proszek do prania. Zapamiętajcie tę nazwę: ALFA-X!!!

Kamera pokazała dziewczynę w kostiumie kąpielowym tulącą do piersi wielkie pudełko z napisem „Alfa-X”, potem znowu elewacja banku, gęby, guma i lody, snajperzy, helikopter, kolejny wywiad i znowu „Alfa-X”. I jeszcze jakiś wóz pancerny z armatką wodną czy też kulomiotem.

Robert patrzył z nienawiścią. Rozumiał, jakie to wszystko żalodne, dobre dla filmu i dla gapiów. Wobec niego i sytuacji bezradne, z tą idiotyczną armatką i setkami kretynów w mundurach. Ale nie potrafił pozbyć się nadziei, że właśnie stamtąd przyjdzie pomoc i dalej wbijał wzrok w ekran.

Motyl również uległ złudzeniu i zawirował na tle, świecącego kineskopu, lecz zaraz powrócił w kierunku okien i dalej zmagął się z

niewidzialną barierą hamującą jego lot ku swobodzie. Ruchy miał ciężkie i senne, coraz rzadziej odrywał się od szkła. Widzisz, braciszku, zmęczyłeś się, boś głupi. Nie trzeba szaleć, trzeba czekać i przetrwać.

Wyobraził sobie, że gdy już wszystko się skończy, weźmie motyla na dłoń i wyjdzie z nim na plac, a potem dmuchnie i będzie patrzył, jak kolorowe skrzydełka maleją i nikną na tle nieba. A potem pójdzie do Connie i będzie ją kochał tak, jak nigdy dotąd, i już nigdy jej nie zdradzi, da sobie spokój z tymi dziewczynami i w ogóle wszystko będzie inaczej. Na pewno!

Bandyci poderwali się raptownie i stanęli po obu stronach wejścia. Przez plac kroczył oficer z białą chustką w ręku. Na ekranie widać było jego plecy, przez szybę twarz, coraz wyraźniej i bliżej. Miał rudawe włosy i długie wąsy w aureoli piegów. Irlandczyk, cholerny Irishman! – pomyślał Robert. Boże, spraw, żeby coś załatwił! Policjant maszerował z podniesioną głową, zdecydowanym krokiem, jak na paradzie. Odważniak. Boże, spraw!... Mijając zabitego kolegę oficer zatrzymał się i pochylił, lecz zaraz ruszył dalej. Gdy dotarł do celu, jeden z bandytów otworzył drzwi. Rudzielec zrobił dwa kroki do wewnątrz i rozejrzał się. Przez moment zatrzymał wzrok na zakładnikach i speszony błaganiem wlepionych w niego oczu odwrócił głowę.

– Chcę mówić z pułkownikiem Fishbackiem! – powiedział głośno.

– To ja – odpowiedział mu „Pułkownik”.

Był najmniejszy, szpakowaty, o wysokim pomarszczonym czole nad czarnym welwetem maski.

– Panie pułkowniku! Do godziny dwunastej ma pan czas do namysłu! Ma pan złożyć broń i poddać się! Bank i całe miasto są obstawione, nie ma pan szans!

„Pułkownik” pokiwał głową, jakby rozbawiony.

– Czemu pan tak krzyczy? Czy pan jest zdenerwowany? – spytał. –

Słyszę dobrze, proszę mówić ciszej. Chciałbym wiedzieć, kto mi mówi to, co pan już przekazał?

– Gubernator Payton.

– Co dalej?

– To wszystko. O dwunastej wyjdzie pan sam lub z naszą pomocą!

– Ostro, no, no!...

„Pułkownik” popatrzył na oficera w milczeniu i chociaż miał maskę na twarzy, widać było, że jest to ta ciekawość, z jaką uczone patrzy na robaka zastanawiając się: puścić wolno czy wrzucić do formaliny? Potem zbliżył się do wysłannika i powiedział tak cicho, że Robert z ledwością usłyszał:

– Posłuchaj, synku. Do dwunastej dostarczycie mi dwie furgonetki. Jedną dla mnie, drugą dla zakładników. Mam ich trzydziestu dwóch. Na lotnisku ma czekać samolot z obsługą. To wszystko.

– To niemożliwe... – wybąkał oficer.

– O dwunastej – kontynuował „Pułkownik” z niezmałym spokojem – zastrzelę pierwszego zakładnika, a każdego następnego co kwadrans, aż do skutku. Jeśli gubernator będzie mi chciał coś powiedzieć, niech to zrobi przez telewizję, mam tu odbiornik. I niech pajacyki z FBI nie schodzą z helikoptera na dach, bo zrobię takie jatki, że partia pana Paytona do końca stulecia nie odzyska władzy w tym stanie... Jesteś wolny, synku. Nie wracaj już z żadnym poleceniem, bo następnym razem zabiję.

Oficer zbladł, powiódł wzrokiem po sali i po zakładnikach i cofnął się przez próg tyłem. Zrobił tyłem jeszcze kilka kroków, po czym odwrócił się i zaczął biec.

Robert spojrzął na zegar. Był kwadrans po jedenastej. Przez te czterdzieści minut starał się nie myśleć o niczym i myślał o setce spraw. O Connie, kolejnej Connie, z którą się nie ożenił, tak jak nie ożenił się z innymi kobietami, z którymi żył, o Chrisie zasłaniającym twarz, o „Pułkowniku” i o szefie, który nigdy nie przychodził przed

dziewiątą i dzięki temu uniknął tego piekła. Cholerny farciarz! Tak to jest – im więcej forsy, tym więcej fartu. Gdyby stał tutaj z nimi, strach w portkach zrównałby go ze sprzątaczem–Murzynem lepiej niż Pan Bóg po śmierci. Ale nie stoi. Ma fart.

Cyferki na ekranikach zegara zmieniały się teraz szybciej, coraz szybciej, powariowały. Najwyraźniej bały się i one, toteż uciekały w popłochu, ustępując miejsca następnym. Robert dostrzegał je jak przez mgłę. Czuł ściskanie w dołku i coraz większy szum w głowie. Budził się z tego stanu i znowu zapadał weń, samochcąc, bo nie kontrolował już w sobie niczego: Za kwadrans dwunasta szukał w pamięci jakiejś modlitwy, ale uświadomił sobie, że jeśli Bóg istnieje, to tylko rozeźli się takim skomleniem w potrzebie, pierwszym od kilkunastu lat. Przez resztę czasu przekonywał siebie, że za chwilę podjadą furgonetki, muszą podjechać, przecież tamci z placu nie pozwolą ich zabić!

Po twarzy stojącego obok Chrisa spływały żółtawe krople. Przebijały się przez bruzdy zmarszczek ku rozbitym ustom, drżały w sekundzie wahania na podbródku i spadały w dół.

– Nie płacz – szepnął – proszę, nie płacz!... Wyleziemy z tego... na pewno wyleziemy...

Nie pojmował, dlaczego to mówi, sam potrzebował Pocieszenia. Gdyby mógł zrealizować jedno marzenie – chciałby być znowu małym chłopcem i przytulić się do kolan matki. Nie pamiętał ani matki, ani takiej sceny, ale chciał, aby tak właśnie się stało.

Nagle w uszy wdarł mu się rytmiczny świst. To Chris przestał płakać i oddychał ciężko przez nos, przetykając i raz po raz ślinę i zamykając oczy. Czy któryś z dawnych kumpli, którzy znali supermana Chrisa, uwierzyłby w ten widok?... Boi się tak samo jak ja – pomyślał Robert – na pewno nie więcej, bo już bardziej ode mnie nie można, ale dlaczego tak to okazuje! Przecież to i tak nic nie pomoże, nic a nic! Poczul przez chwilę dziwną satysfakcję, że oto

ten wielki Chris, który niegdyś był wzorem dla niego i dla całego batalionu, nawet, pułku, i który wpędzał wszystkich w kompleksy... Nie, tak nie można...

Chris to Chris, kiedyś uratował mu życie, kiedy on uciekał na grobli, potem nie sypnął go za tę ucieczkę, a teraz... Teraz to co innego! Trzeba być świnią, żeby myśleć o Chrisie tak podle!... Wreszcie on nie ma dzieci, a Chris trójkę i żonę... Ma za czym płakać.

Poczuł zaskakujący przyływ spokoju i zapragnął przekazać część tego spokoju, który wyrósł na pożywcę otępienia, Chrisowi.

– Chris, słuchaj...

Pilnujący ich mężczyzna poderwał się z fotela.

– Zamknij mordę, chłoptysiu!

Robert skulił się i poczuł w gardle skurcz. Cholerny strach, znowu... Nie na widok wylotu lufy, która zaraz opadła, lecz oczu tamtego, zwężonych nad płótnem zasłaniającym twarz.

Bandyta powrócił na swój tron, Robert poczuł chęć, by dotknąć dłoni przyjaciela. Natrafił na próżnię. Chris odsunął się o kilka centymetrów, potem jeszcze kilka i jeszcze. Patrzył przed siebie wzrokiem ślepcy, pusty i bezwładny, z krwawiącym strupem w kąciku ust. Rozdzielała ich teraz kobieta płacząca bezgłośnie, z głową zwieszoną ku twarzy śpiącego dziecka.

Robert przestał patrzeć na Chrisa i spojrzał uważniej na dziecko... Dziecko!... O Boże, przecież to jest dziecko!... Znalazł swą szansę. Tyle czasu jej szukał, a była tak blisko, tylko wyciągnąć dłoń. Skierował ręce ku kobiecie.

– Pomogę pani, proszę mi go dać. Oddała mu ufnie śpiącego chłopczyka.

Dziecko było ciężkie, ale to był ciężar na wagę życia, w każdym razie kilku godzin życia więcej. To nic, że jest świnią. Jest mądrą świnią, bo pierwszy wpadł na ten pomysł. Człowieka z dzieckiem na

ręku nie rozwałą w pierwszej kolejności, a przed nim, odliczając kobietę, której też od razu nie zabiją, będzie trzydziestu pozostałych!

Spojrzał na dziecko z czułością – kupowało mu w najgorszym razie czas do wieczora. Ileż się może zdarzyć przez te kilka godzin!... Zresztą tamci nie pozwolą „Pułkownikowi” zabijać co kwadrans, nie dopuszczą do takiej masakry, zaatakują albo złamią się, muszą się złamać! Z dzieckiem przetrwa to wszystko, musi, musi!

W okienkach zegara pojawiły się cyfry, jeden, dwa, zero, zero. Na znak „Pułkownika” pilnujący ich bandyta wstał i zaczął iść w kierunku zakładników. Cofnęli się przed nim i stłoczyli pod ścianą.

Bandyta wyszarpnął z szeregu Donalda, kasjera z szóstki. Donald, stary poczciwy „Kaczor Donald”. To miał być ostatni rok jego pracy, a potem emerytura i uwielbia majsterkowanie. Żartowano z niego, że jest najlepszym w Kalifornii ekspertem od perpetuum mobile, a on kwitował to tylko swoim cichym uśmiechem, takim trochę nieśmiałym, że przypominał uczniaka. Jeden z tych ludzi, którym nawet łajdak nie zrobi krzywdy, bo mu jakoś głupio.

Właśnie on.

Stary człowiek szedł martwym krokiem, ze zwieszoną głową. Gdy przekroczyli próg, bandyta przystawił mu pistolet do skroni. Robert znowu zamknął oczy. Usłyszał huk wystrzału i zaraz potem krzyk tłumu, odbijający się echem o pierzeje placu. Dziecko obudziło się i zaczęło płakać.

Na ekranie telewizora ukazała się raptownie twarz gubernatora.

– Fishback!... Fishback!!!... Pójdziemy na kompromis... Dostaniesz samochód i samolot, ale zostawisz rezerwy banku! Fishback!... Słyszysz mnie?! Wypuść jednego zakładnika na znak, że przyjmujesz warunki!... Fishback, pamiętaj, że...

Gdyby nie dziecko, zatkałby uszy, by nie słyszeć tego kretyna. Ty bydlaku, ty cholerny przeklęty sukinsynu, czemu jesteś taki głupi,

czy za to cię wybrano?! Pokazujesz swoją słabość, swoją cholerną bezradną goliznę i żebrzesz, i drzesz mordę, żeby zagłuszyć swoją zasraną bezsilność, a oni mają cię w dupie! Teraz, kiedy już widzą jaki jesteś słaby, będą zabijać i zabijać, aż złamią cię, aż się rozplaszczysz jak łajno, którym jesteś, i zwieją, a tylu ludzi już nie będzie żyło!

Kwadrans po dwunastej wzięli młodego strażnika, Petera. Prosił na kolanach, całując nogi morderców i wrywał się, krzycząc rozpaczliwie. Uderzony kolbą w głowę i wypchnięty na zewnątrz, dostał dwie kule w plecy i upadł obok zabitego Donalda.

Bandyta, który strzelał, nie zdążył się cofnąć. Robert nie słyszał strzału oddanego przez snajpera z okna hotelu po przeciwległej stronie placu, zobaczył tylko, jak morderca chwyta się za twarz, zdiera maskę rozcapierzonymi bólem palcami, jak oślepiony strugą krwi odwraca się idzie przez plac, w swoją śmierć. Z odbiornika znowu rozległ się wrzask:

– Nie strzelać bez rozkazu! Nie strzelać!!!!... Fishback!... Fishback, słyszysz mnie?!... Zaczekaj na miłość boską!...

„Pułkownik” podszedł do telewizora i zgasił go. Potem usiadł i odwrócił się do zakładników. Miał spokojny, obojętny wzrok. Para milczących oczu w wycięciach maski, jakby był nieobecny.

Motył, zmęczony swoją walką lub może ogluszony kolejnym uderzeniem o szybę, przeciął salę i spoczął na krótkim guziku przy wejściu do sali sejfów.

Guzik wyglądał jak wyłącznik światła, ale nim nie był. Był tu spust kurtyny bezpieczeństwa, odcinającej w razie potrzeby sejfy od reszty banku. Wystarczyło nacisnąć, by ze szczeliny w suficie spadła płaszczyzna pancernego szkła i oddzieliła ich od bandytów. Gdyby tak motyl mógł przycisnąć guzik z potrzebną siłą. Robert wpatrywał się w kolorowe skrzydelka owada i błagał go rozpaczliwie i bezsensownie: naciśnij, braciszku, zrób to, proszę cię, naciśnij,

naciśnij!

„Pułkownik” spojrział na zegarek i znowu na nich. To on powiedział rano, że każdy ma tylko jedno życie. Na zegarze ściennym wystrzeliło przy dwunastce dwadzieścia dziewięć. Robert pocałował dziecko i odął je matce. Zza jej pleców patrzyły nań oczy Chrisa. On też musiał spostrzec wysepkę motyla, ten spust kurtyny, który tak łatwo nacisnąć, gdy się już, wbrew przerażeniu, które tłucze sercem, podejmie tę idiotyczną, irracjonalną decyzję, by przejść swoją grobłą w drugą stronę.

Chris zrozumiał i w oczach załśniło mu coś, czego Robert nie odgadywał – ni to wdzięczność, ni to błogosławieństwo. Nie miał już czasu, by się na tym zastanawiać, tak jak nie mógł zastanawiać się nad funkcjonowaniem tego spustu. Wiedział, że bandyci wyłączyli elektryczny system alarmowy, jeśli więc i kurtyna pracowała pod wpływem impulsu elektrycznego, wówczas wszystko, co chciał zrobić, nie miało sensu. Gdyby jednak był to spust mechaniczny lub też dublowany, mechaniczny i elektryczny, to... Nie znał się na tym i nie miał czasu, by o tym rozmyślać.

„Pułkownik” wstał z fotela i wówczas Robert ruszył. Musiał iść szybko, tak, by żaden z tamtych nie wyszedł mu naprzeciw na tyle, aby przekroczyć linię zasięgu kurtyny. Zaskoczyło to bandytów – może myśleli, że zgłasza się na ochotnika do zastrzelenia? Znieruchomieli z wycelowanymi w niego lufami i patrzyli ze zdziwieniem, jak przemierza salę. Na to właśnie liczył: że jego inicjatywa zamuruje ich na moment.

Nie widział ich twarzy ani otworów wymierzonych w niego luf, tylko kolorowe wzory na skrzydłach motyla. Musiał coś mówić, więc mówił jak automat:

– Panowie... panie pułkowniku, jest droga na zewnątrz przez podziemie sejfów... o, tam...

Jeszcze tylko kilka kroków, już nie zdążą się wymknąć, a strzelać

nie będą, bo już chwycili sens jego słów, bo to, co on mówi, jest ich szansą, jeszcze tylko ułamki sekund...

– Tędy możecie uciec..., o, tutaj...

Wyciągnął dłoń w kierunku przycisku, na którym trwał motyl. Nie zdążę cię odgonić, braciszku – pomyślał – umrzemy razem, nawet nie poczujesz.

Położył kciuk na motylu i zmiażdżył jego kruchy tułów z taką siłą, że lepka maź trysnęła na obie strony, brudząc ścianę. Za jego plecami tona szkła w żelaznej ramie runęła z hukiem ku posadzce, zamykając pudełko przedsionka do sali sejfów. Oparł się plecami o ścianę i patrzył przed siebie, obojętny na osłupienie bandytów i na wszystko, co dotyczyło jego samego. Widział kolegów po tamtej stronie, jak siadają na podłodze i oddychają głęboko. Kobieta otworzyła drzwi i biegła przez plac z dzieckiem na ręku. Chris podszedł do plastikowej szyby, porysowanej siatką wtopionego druta, przylepił do niej twarz i dłonie i patrzył mu w oczy. Po ruchach warg Robert zrozumiał, że Chris coś mówi, ale nie mógł tego słyszeć przez przegrodę i w ogłuszającym huku pistoletu maszynowego. To jeden z bandytów opróżnił magazynek, próbując roztrzaskać kurtynę. Bezradne kule rysowały plastik i wydobywały zeń dziesiątki matowych gwiazdek, zasłaniających widok.

„Pułkownik” wiedział już, że to koniec. Zdjął wolno maskę, ukazując mądrą, starannie pielęgnowaną twarz, odbezpieczył pistolet i wymierzył go w stronę człowieka, który zamknął się z nim w jednym grobowcu i odebrał mu dwadzieścia, a może trzydzieści lat życia.

Robert nie chciał patrzeć w jego oczy, pełne nienawiści i napełniające się łękiem. Nie dlatego, żeby się bał. Strach pożegnał już wtedy, gdy oddał dziecko matce. Teraz czuł tylko zmęczenie i satysfakcję: odebrał „Pułkownikowi” moc dysponowania ich życiem i tamto swoje przerażenie wepchnął w jego oczy. Ale nie chciał w nie

patrzeć, by bandyta nie pomyślał, że błaga. Opuścił głowę i zobaczył, że do palca przylepiło mu się skrzydełko motyla.

NIEŚMIAŁY

Potężny oliwkowy dodge zahamował gwałtownie przed werandą z nadłamaną balustradą, z dziurami w spadzistym daszku i z przegniłymi szczątkami schodów. Gromada małych, obszarpanych umorusańców, jakich pełno w każdej wiejskiej dziurze po meksykańskiej stronie Rio Grande, nadbiegła z wrzaskiem i otoczyła chmurę rdzawego pyłu. Pył opadał powoli, ukazując kierowcę, rosłego blondyna, otrzepującego mundur do wtóru przekleństw.

Dzieci zamilkły i stały bez ruchu z otwartymi ustami. Mężczyzna krzyknął ponad czeredą w kierunku ciemnej czeluści drzwi w wewnętrznej ścianie werandy:

– Panie Sanchez!... Hej, panie Sanchez!

Nikt nie odpowiedział, nic się nie poruszyło, rudy pejzaż zamarł w słońcu.

– Panie Sanchez!

Odpowiedział mu ryk muła, gdzieś zza domu, i znowu wszystko zastygło w spiekocie. Mężczyzna wysiadł z wozu, otrzepał nogawki munduru i zrobił krok w kierunku schodów.

– Hej, jest tam kto?

Czekał kilkanaście sekund, odwrócił się, zlustrował pierścień twarzy wpatrzonych w colta wiszącego mu na biodrze, wybrał najroślejszego chłopaka i wskazując go ruchem dłoni powiedział z jankeskim akcentem:

– Ty!... Gdzie Sanchez jest?

Chłopiec zmrużył oczy i odparł sennie:

– W domu.

Po ziemi przepłynął między nimi cień ptaka, słońce wyciskało pot

spod kapelusza i przyklejało koszulę do pleców. Mężczyzna zdjął białego stetsona i otarł pot z czoła.

– W którym domu on jest? – spytał.

Chłopiec wyciągnął dłoń przed siebie.

– W tym.

– To dlaczego nie odpowiada on?

Chłopiec wzruszył ramionami.

– Po co?

– Jak to po co?... Bo wołam na niego ja!

– Po co? – powtórzył chłopiec.

Właściciel olbrzymiego dodge'a spojrzął na chłopca ze złością i ponownie odwrócił się w stronę werandy. Wskoczył na nią ponad schodami i omijając dziury w podłodze wszedł do wnętrza.

W niskim ciemnym pokoju ujrzał starca w wytartym poncho. Stary żuł peyotl i dłubał nożem w kawałku drewna przypominającym coś pośredniego między fajką a łyżką do butów. Nawet nie podniósł głowy.

Mężczyzna w mundurze położył stetsona na stole, przysunął sobie wyplatany taboret, usiadł naprzeciwko tamtego tak blisko, że prawie dotykał go kolanami, i spytał:

– Pan jest Sanchez?

Stary dalej dłubał w drewnie i trwało irytująco długo, zanim odpowiedział:

– Ja.

– A ja porucznik Hamilton Downey jestem. Ja mówię meksykański źle bardzo. Czy pan mówi amerykański, panie Sanchez?

Sanchez podniósł zmęczone oczy, przyjrzał się gościowi i odpowiedział po angielsku:

– Mówię.

I zanim powrócił do dłubaniny, dodał:

– Pracowałem na waszej plantacji, w Arizonie... Dawno, byłem

młody.

– To świetnie! – mężczyzna w mundurze błyskawicznie przeszedł na angielski i uśmiechnął się – bo ja właśnie...

– Mnie nie było u was świetnie – przerwał mu stary. Downeyowi uśmiech spęłzył z twarzy.

– Ach tak... no... wie pan, panie Sanchez, różnie bywa w życiu. Są ludzie i ludzie... Ja nie jestem z Arizony.

– A skąd?

– Skąd? Z policji stanowej w Oklahomie. Działam za zgodą waszych władz, oto moje dokumenty. Tu zezwolenie z policji w Mexico City, widzi pan, co tu jest napisane: „Uprasza się o udzielenie jak najdalej idącej pomocy”, a tu moja legitymacja i znaczek...

Stary podniósł głowę, ale nie spojrzał na to, co Downey trzymał w dłoniach, spojrzał mu w twarz. Potem spytał, wymawiając każdą sylabę tak dokładnie, jakby się bał, że nie zostanie zrozumiany:

– Czego ty chcesz, gringo?

– Przyjechałem w sprawie Pabla Alonso – wyjaśnił pospiesznie mężczyzna o nazwisku Downey.

– Znałeś go?

– Nie, ale polecono mi przyjechać tu i dowiedzieć się.

– Przyjechałeś za późno, gringo – burknął stary tonem, w którym wyczuwało się tę samą niechęć czy obojętność, co w głosie i w oczach chłopca spod werandy.

– Dlaczego za późno, panie Sanchez?

– Za późno o cały rok. Pablito wyjechał.

– To wiem.

– Więc dlaczego przyjechałeś do mnie?... Jedź do Pablita.

– Policja w Mexico City dała mi pański adres.

Stary odłożył drewno i nożyk, splótł ręce i prostując kark warknął raz jeszcze:

– Czego ty chcesz, gringo?!

– Chcę wiedzieć...

W ostatniej chwili zreflektował się. Chciał spytać: gdzie jest Pablo Alonso?, ale w porę do niego dotarło, że wówczas stary odpowie: nie wiem, albo: nawet gdybym wiedział, to bym pi nie powiedział. Dlatego dokończył:

– ...chciałbym się dowiedzieć jak najwięcej o Alonso, o jego życiu, o nim samym, jaki był i jak to się stało, no wie pan, ta tragedia przed rokiem. Chcę mu pomóc.

– Jemu nikt nie może pomóc, gringo.

– Przepraszam pana, panie Sanchez, ale byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan nie nazywać mnie w ten sposób!

W oczach starego zamigotał zły błysk.

– Kiedy pracowałem u was na plantacji, nazywano mnie brudny Mexicano!

– Możliwe, panie Sanchez, ale sam pan powiedział, że było to dawno temu i nie powie mi pan, że każdy z moich rodaków tak pana nazywał. Wszędzie są bydłaki, i u nas, i u was, ale czasy się zmieniają i bydłaków jest coraz mniej.

– Znam takich, którzy mówią, że jest odwrotnie. Ale to ludzie nieuczni, więc pewnie się mylą, he?

– Panie Sanchez, proszę mi wierzyć...

– Ja wierzę, wierzę we wszystko.

– Do diabła, Sanchez, nie przyjechałem tu tylko z obowiązku, żeby odwalić robotę którą mi zlecono!

– Tak? To widocznie przedtem się przesłyszałem, to вина moich starych uszu...

– Prowadzę tę sprawę od dwóch miesięcy i proszę mi wierzyć, Sanchez, przejąłem się nią. Ta krzywda, której doznał Alonso... A teraz i jemu grozi niebezpieczeństwo.

Stary pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Słowem, pan ma takie dobre serce, poruczniku... To ładnie.

– Sanchez, do diabła, niech pan przestanie kpić sobie! Jasne, że nie przyjechałem tu tylko z dobrego serca, płacą mi za to, więc odwalam robotę, ale płacą mi dobrze, więc staram się odwalać ją porządnie. Im więcej dowiem się o Alonso i o tamtej historii z jego żoną, tym lepiej będę mógł mu pomóc! Powtarzam: grozi mu niebezpieczeństwo.

– Jakie niebezpieczeństwo? – spytał stary.

– Panie Sanchez. Najpierw pan mi opowie o Alonso, a potem, obiecuję, odpowiem panu na każde pytanie, jeśli tylko odpowiedź nie będzie godziła w tajemnicę śledztwa. Zgoda?

– Policja już tu prowadziła śledztwo. Przed rokiem. Zeznawałem wówczas. Pan nie zna wyników tego śledztwa, poruczniku?

– Znam, Sanchez. I dlatego tu przyjechałem. Tylek można sobie podtrzeć tymi wynikami... Pańskie zeznanie jest bardzo skąpe, nie był pan gadatliwy...

– Urodziłem się mało gadatliwy... I dziwię się...

– Czemu się pan dziwi, Sanchez?

– Dziwi mnie, dlaczego przyjechał pan sam, bez naszych gliniarzy?... Wtedy towarzyszyli wam i patrzyli na ręce...

– Wiem. Może za bardzo patrzyli. A teraz mają to gdzieś. W Mexico City oświadczone mi, że dla meksykańskiej policji sprawa Alonso jest zamknięta. Dali mi ten papierek i powiedzieli, żebym radził sobie sam... Co to jest, słyszy pan?

– Nie słyszę, poruczniku, niczego nie słyszę.

– Jak to?... Goddam!

Przekleństwo wyrwał mu ostry dźwięk klaksonu. Skoczył na werandę i ujrzał swój wóz wypełniony rozradowaną dzieciarnią tak szczelnie, jak budka telefoniczna podczas bicia uniwersyteckiego rekordu jej pojemności.

– Jazda stąd, gnojki! – wrzasnął. – Jak zobaczę jeszcze któregoś

przy maszynie, to kości poprzetrącam!

Krzyczał po angielsku, ale samo jego pojawienie się wystarczyło, by bractwo rozpierzchło się niczym stado spłoszonych ptaków. Podszedł do samochodu, zamknął szyby, wyjął z torby z bagażnika highland grand i wrócił do starego. Otworzył butelkę i postawił na stole.

– Whisky, dobra whisky – powiedział.

– Whisky zawsze jest dobra – mruknął stary.

– Ma pan kieliszki?

– Są kubki, tam, w kredensie. Niech pan wyjmie, poruczniku. Moje nogi...

– Wiem, postrzelili pana, dranie, gdy próbował jej pan bronić. Niech pan się nie rusza, ja przyniosę.

Kubki nie wyglądały na zbyt czyste. Downey rozejrzał się za ścierką, lecz ta, która wisiała na ścianie, wzbudzała jeszcze mniej zaufania. Zrezygnowany dmuchnął do środka każdego z nich, postawił je na stole i chwycił za butelkę. Sobie nalał odrobinę, Sanchezowi pół kubka.

– Proszę mi wierzyć, Sanchez, te łobuzy zapłacą i za pańskie nogi i za wszystko. Obiecuję to panu!

– Ciągłe pan coś obiecuje, poruczniku... Co to, tylko do połowy? Więcej, więcej, lubię wypić, jak jest co dobrego.

Downey dolał mu do pełna.

– Pańskie zdrowie, Sanchez!

– Moje zdrowie, poruczniku, to jedno wielkie gówno! Najlepsza gorzala mu nie pomoże... Pańskie obietnice również... Nie jestem mściwy.

– Przecież kochał pan Pabla Alonso.

– Może kochałem, a może i nie, to nie pańska rzecz. Bóg zabrania mścić krzywdy na tym świecie, to grzech, grzech śmiertelny, poruczniku... No, wypijmy.

Wypili. Sanchez do dna i nawet się nie skrzywił. Downey ledwo umoczył usta.

– Panu chyba nie smakuje, poruczniku, co? To pewnie ten upał albo pan zakochany. Ale jedno nie przeszkadza drugiemu, ja to panu mówię! Gorzała najlepiej leczy od upału, a i w tym drugim, no wie pan, też pomaga. Jak byłem młody, to zawsze przedtem rąbnąłem sobie garnuszek pulque i dopiero brałem się do dziewczuchy...

– Panie Sanchez, wróćmy do sprawy.

– Do sprawy?... No to nalej jeszcze, grin... panie poruczniku. O czym to mówiliśmy?

– O Pablu Alonso.

– Nie, mówiliśmy o mszczeniu się, że to grzech śmiertelny i że...

– Mnie nie chodzi o zemstę, Sanchez, jestem tylko trybikiem maszyny, która stoi na straży prawa. A prawo, chociaż jest bezlitosne, nie kieruje się nienawiścią i emocjami, karze po prostu zgodnie z paragrafami kodeksu. Karze między innymi za to, co zrobili ci, którzy pana postrzelili. Dlatego powiedziałem, że zapłacą.

– Bóg im zapłaci, poruczniku.

– Albo wybaczy. Bóg jest miłosierny.

– Pan wierzy w Boga, Downey?

– Ja?... Oczywiście!

– To niech pan jeszcze naleje... O tak, do pełna.

Nie czekając na Downeya wychylił kubek, strzepnął resztę na ziemię i spytał:

– Od czego mam zacząć?

– Od początku, panie Sanchez.

– Na początku to było tak, że stary Pablita, Juan, wypędził jego matkę z domu, bo zrobiła Pabla z żołnierzem. A przedtem sprął ją bykowcem do krwi, potem zerznął, a potem znowu sprął i pogonił. I nie dał nawet zabrać z domu jednego łacha. Taki był Juan. Służyliśmy razem w wojsku za prezydenta Callesa. Juan to był

twardy chłop...

Downey nie wytrzymał.

– Niech pan da spokój, Sanchez. Nie o to mi chodzi!

– A o co, poruczniku?

– O Alonso i tamtą sprawę z jego żoną. Jaki był i jak do tego doszło.

– Jaki był Pablito?... He, he, dziwny był. Całkiem inny niż ojciec, może dlatego, że Juan nie był jego ojcem. Juan był jak stal. A Pablito miękki, taki... taki, no... taki inny niż wszyscy. Po matce. Zahukany, bojaźliwy, nieśmiały... O, to jest dobre słowo, poruczniku, on był nieśmiały! Delikatniutki, chuchro, w dzieciństwie ciągle chorował, bo nie miał się nim kto zająć. Juan pił, dzieciakiem opiekowała się stara Conchita, ale też piła, więc... Czasami wydawało się, że widać przez niego na wylot... Chowali się obok siebie, dom w dom, mój Antonio i on. Antonio – w głosie starego zabrzmiała duma – jest teraz archi... archilo...

– Architektem?... Archiwistą?...

– Nie, caramba! Archo... no takim, co wykopuje z ziemi złote kolczyki!

– Archeologiem.

– Oooo!... No więc razem tyłali się w piachu i potem razem chodzili do szkoły, do zakonników. Pablito był bojaźliwy, potrącano go, bito... Nie umiał oddać, bał się, nawet się nie odszczeknął, tylko płakał. Nie mogłem ja zrozumieć, poruczniku, jak to jest, że w jednym tyle się nabiera odwagi, a w drugim tyle strachu. I jeszcze żeby Juan, jego ojciec, był strachliwy, ale gdzie tam! Diabłu by zęby powybyjał! A syn, jak na złość, z samego strachu uszyty i przez to taki nieśmiały...

– Przecież powiedział pan, Sanchez, że to nie był jego syn.

– Tak powiedziałem?... To widocznie tak było. Ale przecież mógł się napatrzeć na Juana i wziąć przykład! Tak czy nie?... A on wszędzie miał ten strach, na twarzy, w oczach, w każdym poruszeniu. Strach

to jest parszywa rzecz, poruczniku, denerwuje. Juan prał Pablita, jak na to patrzył, i upijał się z wściekłości, aż całkiem się zapił i oddał ducha Panu Bogu. Ale to nic a nic nie pomogło, bo Pablito dalej bał się wszystkiego. Mój Antonio kiedy mógł, to go bronił. Ho, ho, Antonio miał krzepę, po mnie miał, jak dał w mordę, to!... Dolej pan, poruczniku, bo mi w gębie zasycha, w życiu tyle nie plotłem... No więc Antonio bił się za niego i trzymali się razem. Potem mnichy wysłały ich obu na naukę do Mexico City. Dobre były mnichy, poczciwe... Antonio został tym, no tym, wie pan, i wyjechał do Peru, a Pablito wykształcił się na nauczyciela i wrócił. Ale nic się nie zmienił, ani ociupinę! Belfrzył tak samo nieśmiało jak żył, oczy w ziemię, szeptem mówił, dzieciaki robiły z nim, co chciały, wie pan, poruczniku, jak to dzieciaki... No i przed kilku laty, już nie pamiętam kiedy, przyjechała ta kobieta... Pan może to sobie wyobrazić, poruczniku, taka dama z wielkiego świata, taka jak na okładkach w „Mercurio” albo w telewizji, taka kobieta przyjechała, żeby zamieszkać w naszej wsi, o której nie wiem, czy sam Pan Bóg pamięta. Do miasteczka dwadzieścia mil! Jakby sam archanioł Gabriel pojawił się u nas, mniej by się ludzie dziwili. A co było potem, jak wyszła za Pabla, lepiej nie mówić!...

Znowu wypił i poprosił o dolewkę.

– A pan, poruczniku? Niech pan też sobie chlapnie.

– W porządku, panie Sanchez, niech pan ciągnie dalej.

– Dalej to jest tak, że nie wiem, no nie wiem, dlaczego to zrobiła. Nikt nie wiedział. Może dlatego, że wynajęła pokój w jego domu? Był blisko, a u nas noce są cholerne, poruczniku, robią z człowieka wariata... Piękna była.

– Kochali się? – spytał Downey.

– Czy się kochali? O tak, bardzo się kochali, chociaż tacy różni. Chyba sama mu się oświadczyła, bo on, Pablito, he, he, on by się w życiu nie ośmielił. On, poruczniku... wie pan, widziałem raz film

puszczany w zwolnionym tempie, jeszcze jak pracowałem u was. Pablito żył właśnie tak, jak ludzie na tym filmie... Chodził przy niej cicho i pokornie jak piesek. Ludzie mówili: idzie pani Linda z pieskiem. Bo miała Linda na pierwsze, a na drugie jakoś tak, zapomniałem, ale dla mnie Linda Alonso. Żyli dostatnio, ona miała trochę forsy. Tyle czasu wytrzymała w tej dziurze, kobieta z wielkiego świata!... Jest tam co jeszcze w tej butelce?... Dziękuję... No więc w zeszłym roku oznajmiła, że wyjeżdżają do Europy.

– A on co na to?

– Jak to co? Nic. On tylko potakiwał albo w ogóle nic nie mówił. Przez całe życie, inaczej nie umiał... Na czym to stanąłem?

– Jak chciała wyjechać do Europy.

– Aha, no więc pojechała do Mexico City, żeby przygotować wszystko, co trzeba do wyjazdu. A jak wróciła, to Po dwóch dniach tamci przyjechali wozem i wciągnęli ją do środka. Pablito był wtedy w szkole. Broniła się, widziałem to z okna, złapałem za maczetę, o tę, na ścianie, wyskoczyłem przed dom i wtedy puścili mi serię po nogach... Później, jak przyjechała policja, dowiedziałem się, że ją zamęczyli na śmierć.

– A Pablo?

– Płakał, jak to on... Potem wyjechał.

Stary chlipnął nosem, wytarł go rękawem i upił głęboki łyk z kubka. Zapatrzył się w kubek i milczał.

– I co dalej, Sanchez?

– Co dalej?... Dalej nic.

– Jak to nic?

– Zwyczajnie, nic. Poruczniku, teraz pańska kolej, ja już powiedziałem wszystko.

Downey poprawił włosy, które spadły mu na czoło i rozejrzał się wokół.

– Ciemno tu u pana, Sanchez.

– Panu to przeszkadza, poruczniku? Niech pan mówi, a ja będę pił i słuchał.

– Dobrze... Otóż, panie Sanchez, ta kobieta, Roza Foster...

– Jaka Roza, poruczniku! Linda.

– Okłamała was, w rzeczywistości nazywała się Roza Foster.

– Coś podobnego, a tak jej dobrze patrzyło z oczu. Okłamała Pablita, no, no... Trzeba to zalać gorzałą! Niech pan dalej mówi o niej, poruczniku.

– Była kiedyś nocną tancerką w kasynie Golden Nugget w Las Vegas. Potem awansowała na kochankę Ruperta Bosco, szefa gangu kontrolującego hazard w Nevadzie. Była ich łącznikiem.

– Co pan powie!... Takie buty, caramba!

– Chce pan słuchać dalej czy nie, Sanchez?

– Jasne że chcę, poruczniku, pan tak ciekawie opowiada...

– To niech pan przestanie przerywać!

– To nich pan mi jeszcze należy... Dziękuję... Słucham, poruczniku...

– Pewnego dnia, przed czterema laty, przewoziła do centrali dwa miliony dolarów. I zniknęła razem z forszą! Bosco i jego ludzie myśleli, że kropnęła ją konkurencja, ale to nie było tak. Panna Foster ukradła im tę forszę! Zdeponowała ją na hasło w banku szwajcarskim za pośrednictwem banku w Mexico City i ukryła się w waszej wsi jak w mysiej norze, żeby przeczekać, aż o niej zapomną. Ale o takiej forsie się nie zapomina.

– Jasne, że nie, ouppp!... Przepraszam, panie poruczniku.

– Była mądra. Wiedziała, że mają swoich ludzi w portach lotniczych i w biurach paszportowych, więc czekała, aż uwierzą, że przestała istnieć i wymażą ją z pamięci. Może nawet czekałaby dłużej niż trzy lata, ale przeczytała gazecie, że Bosco został kropnięty przez konkurencję i to ją uspokoiło. Zaczęła działać, a oni tylko na to czekali. Gdy tylko pojawiła się w dużym mieście, już była

spalona. Porwali ją, chcieli zmusić do wydania hasła i zatłukli. Przedobrzyli... Twarda była, nie powiedziała. Dlatego teraz Alonso grozi śmiertelne niebezpieczeństwo.

– Przecież ten, jak mu tam, Bosco, nie żyje...

– Ale żyje jego gang, Sanchez, żyje i działa!

Stary sam sobie nalał do kubka i spytał ochryple:

– Czy to mafia? Bo słyszałem, poruczniku, że najgorszy gang to mafia.

– Nie wiemy, Sanchez. Gang Bosco nie należał do mafii, ale niewykluczone, że mafia już go wchłonęła razem ze wszystkimi aktywami i że to ona teraz szuka swojej forsy, tej ukradzonej przez żonę Alonso. Mogą już wiedzieć, gdzie on teraz mieszka, ja natomiast nie wiem i nie mogę dać mu ochrony. To kwestia już nie dni, może godzin... Pan mi musi pomóc, Sanchez!... To znaczy musi Pan pomóc Alonso!

– Ja?!... Jak mam to zrobić? Jestem kaleką...

– Niech mi pan poda jego obecny adres!

– Jaki adres?

– Sanchez, niech pan nie udaje głupiego!... Proszę pana, niech pan się ulituje nad Pablitem! Niech pan mi poda jego adres!

– Nie znam go, poruczniku, Pablito wyjechał bez słowa.

– Nie wierzę panu!

– Poruczniku, klnę się na świętego Jakuba, nie znam!

– A kto może znać?

– Nie wiem.

– Sanchez, na miłość boską!

– Nie wiem, przysięgam, że nie wiem!... Butelka pusta, poruczniku. Pan mnie zmęczył, spać mi się chce... Adios, adios amigo...

W dwa dni później kapitan Brian Hawk z Federalnego Biura Śledczego wsiadł na nowojorskim Kennedy Airport do boeinga 707 i poleciał do Mexico City. Był w złym humorze. Po pierwsze nie cierpiał podróży samolotem, gdyż przy każdym starcie i lądowaniu ciśnienie rozsadzało mu bębny uszu i całą czaszkę, a po drugie leciał po to, by skłócić swego starego przyjaciela z policji meksykańskiej, co było zadaniem wyjątkowo parszywym. Ale też Sirrega dopuścił do najbardziej parszywego kataklizmu, jaki tylko może sobie wyobrazić człowiek, który walczy z przestępczym podziemiem i jest bliski sukcesu. Teraz już Hawk wiedział, co znaczy, że kogoś – jak mówił inny jego przyjaciel, Niemiec z pochodzenia, doktor Scholke – trafia szlag.

Samolot z Hawkiem na pokładzie wylądował w stolicy Meksyku o trzeciej po południu. Na lotnisku przywitali Hawka wysłannicy Sirregi. Rozpływali się w uśmiechach i komplementach, których Hawk nie odwzajemniał.

W ponurym milczeniu dojechali do gmachu głównej komendy policji i o godzinie wpół do czwartej kapitan Hawk stanął w drzwiach gabinetu szefa antymafijnego komanda policji meksykańskiej, majora Carlosa Sirregi. Nawet nie odpowiedział na kordialne: „cześć stary” i od progu zaczął krzyczeć:

– Znowu spieprzyliście całą robotę! W ogóle nie można na was polegać! Szlag trafił, takie jatki. Jak w rzeźni!

Zwalił się ciężko na fotel i otarł czoło z potu.

– Gdybyśmy wiedzieli, że dopuścicie do tego, gówno byście dostali, a nie cynk!...

Sirredze błąd uśmiech zgasł na twarzy.

– Co znaczy znowu? – spytał. – Zdarzyło się to nam po raz pierwszy od czasu, kiedy ja tu rządę. Wy macie więcej spieprzonych spraw!

– Ale swoich! – zareplikował wściekle Hawk – swoich własnych! A w tej sprawie zawarliśmy umowę o współpracy i do tego większą

część roboty my odwaliliśmy, w podziękowaniu za co wy spieszyliście całość! Niech was diabli, tyle zmarnowanego czasu!... No, co się tak patrzysz, jeszcze się obraż!... Masz colę albo piwo? Zdycham z pragnienia.

Sirrega kazał adiutantowi przynieść piwo i powiedział:

– Niepotrzebnie się wściekasz, Brian... I nie bądźcie tacy sprawiedliwi w tej Sodomie, bo u was też rozwalono dwie osoby podczas tej wspólnej sprawy, Littoria i Maracanzę. A jeśli chodzi...

– To były płotki! – przerwał mu Hawk. – A wy dostaliście cynk o figurach i pozwoliliście figurom wykorkować!

– W porządku, w porządku, nic się nie stało.

Hawk zsiniał z wściekłości.

– Coś ty powiedział?!... Według ciebie ta rzeźnia to nic? Nic się nie stało?!

– No, dobrze, stało się – mruknął Sirrega – ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

– A co ci tu wyszło na dobre, stary opoju? – ryknął Hawk. – Gdybyś nie był moim przyjacielem, to skłoniłbym moich szefów o poproszenie waszego rządu, żeby cię...

– A ja, gdybyś nie był moim przyjacielem – odciął się Sirrega – wsadziłbym cię teraz za kratki, bo jesteś cudzoziemcem, który dopuścił się znieważenia meksykańskiego munduru.

– Carlos!...

– Wypchaj się swoim straszaniem! – pisnął Sirrega uradowany, że przyjacielowi mija złość. – Posłuchaj, o co chodzi. Gdybyście nie dali nam cynku o tym Davisie, to wiesz, co by to zmieniło? Nic. Wszystko byłoby tak samo, taka sama draka, a w niej tyle samo trupów, z tym tylko, że ani wy, ani my, nie mielibyśmy o tym zielonego pojęcia i nie byłoby tej naszej rozmowy. A że daliście nam cynk i mogliśmy śledzić tego faceta, to przynajmniej wiemy, co było zagrane. W efekcie uzyskałeś pewność, że bandę Tandiniego masz już z głowy i

możesz posłać swoich chłopców do innej roboty. Czysty zysk.

– Wiesz, gdzie ja mam taki zysk? – warknął Hawk. – Co ty mi tu opowiadasz, Carlos? Przecież po to właśnie dostaliście cynk, żeby zapobiec jatkom i przyskrzynić ptaszków, a ty mi tu co by było gdyby!... Miałeś być reżyserem, a nie biernym obserwatorem!... Mówisz, że mam ich z głowy. Człowieku, czy ty myślisz, że oni jedni rządzą w Las Vegas? Wiesz, jak trudno jest nakryć ich na czymkolwiek. A tu była okazja, przyjechali popełnić przestępstwo i można było ich nakryć na gorącym uczynku, a potem wsadzić, przycisnąć i wydusić kontakty! Nie mogliście zapobiec temu świniobicciu?

– Nie mogliśmy, Brian. Wierz mi, nie sposób było przewidzieć takiej masakry... Za szybko to się stało i... ja tego nie mogę pojąć! Od wczoraj przesłuchuję tego Alonso, w życiu nie widziałem takiego mięczaka. Chodzący strach. Słaby jak dziecko, lękliwy, pokorny jak pies, mruga rzęsami jak panienka, no... po prostu nie wiem, jak ci to wytłumaczyć, nie widziałeś takiego faceta! Czwartha pięć, caramba! Słaby taki, że nie złamałby ołówka. Nie do wiary!... Wezwę go.

– Daj spokój! – burknął Hawk – mam go gdzieś. Opowiedz mi, jak było. Potem dasz mi to na piśmie, muszę przekazać szefom.

– Załatwione. Masz w tej teczce komplet jego zeznań i odpis z podsłuchu.

– Z podsłuchu?

– A tak. Ty ciągle masz nas za frajerów, co? A FBI to jedyna policja na świecie, prawda? Reszta to amatorzy...

– Odwal się, pokaż co nagrałeś.

– Sporo, cały thriller. Tego Davisa śledziliśmy od granicy. W stolicy naprowadził nas na Tandinię i jego dwóch goryli. Moi chłopcy wmontowali im na stacji benzynowej „pchełkę” w dodge’a. Od tej pory wisieliliśmy im na ogonie, trzymając się dwa kilometry z tyłu, i nagrywaliśmy każde słowo.

– Otóż to. I kiedy doszło do masakry, wy byliście o dwa kilometry z tyłu, czy tak?

– No tak, ale...

– Widzisz, zabrakło ci tych dwóch kilometrów i nie zdążyłeś.

– A co ty byś zrobił na moim miejscu?

– Urządziłbym zasadzkę w domu Alonso.

– Brian, to by nic nie dało... Chociaż, może przy nas Alonso nie ośmieliłby się, jest taki strachliwy...

– Czy na tej stacji benzynowej prześwietliliście ich wóz?

– Oczywiście.

– No i co?

– W podwoziu była skrytka z dwoma karabinami maszynowymi.

– Wystarczy. Mogłeś ich zamknąć z miejsca.

– Nie mogłem, Brian, bo ja jestem meksykańskim gliną i nie płacę mi za pilnowanie interesów FBI! Wam chodziło o gang Tandiniego i chcieliśmy wam pomóc, ale nam chodziło również o sprawę morderstwa żony Alonso, które popełniono na naszym terenie. Chcieliśmy mieć dowód, że to oni, dlatego musiałem być cierpliwy i nagrywać ich rozmowy.

– Carlos, przecież jedno nie przeszkadza drugiemu. Mogłeś równocześnie śledzić ich i czekać z zasadzką.

Sierrega zamyślił się. Był wyraźnie zdenerwowany, bo to, że popełnił błąd, nie ulegało wątpliwości.

– Może masz i rację, Brian. Psiakrew, człowiek się ciągle uczy! Widzisz, nie miałem żadnej pewności, czy oni w ogóle znajdują Alonso. A po drugie wszystkiego mogłem się spodziewać, ale tego... No dobra, słuchaj dalej. Najpierw Davis przebrał się w mundur porucznika FBI. Pojechał do Chichuano i odegrał komedijkę przed starym Sanchezem. Próbował dowiedzieć się od starego, gdzie mieszka Pablo Alonso, bo oni sądzą, że ta nedorajda zna hasło, na które Roza Foster zdeponowała w banku ich forszę.

– A zna?

Sirrega zrobił zdziwioną minę.

– Nie wiem.

– Nie spytałeś go o to, tak po prostu? Dżentelmeni nie rozmawiają o forsie?

– O Nombre de Dios!... Rzeczywiście, po tej masakrze zająłem się wszystkim, tylko nie tym, nie przeszło mi przez głowę... Zresztą to ma małe znaczenie...

– Owszem, duże! Te pieniądze pochodzą z przestępstw popełnionych na terenie USA i chcę wiedzieć, czy są do odzyskania.

– Dobrze, dowiesz się. Ale jak będziesz mi przerywał, to nie poznasz całej tej historii.

– Umarłbyś, gaduło, gdyby ci zabroniono opowiadać, ha, ha, ha!

Sirrega rozchmurzył się słysząc śmiech przyjaciela i kontynuował:

– Davis nie wyłudził od starego Sancheza adresu, ale go nastraszył. Poza tym w czasie, gdy oni rozmawiali, piętnastoletni bratanek Sancheza grzebał przy wozie i odkrył obrotowe podwójne znaki rejestracyjne. Sanchez zrozumiał, z kim miał do czynienia i tego samego dnia wysłał do Alonso chłopca z ostrzeżeniem. Taka mała opuszczona farma u podnóża gór, cztery mile od Chichuano. Kiedyś koczowali tam hippisi. Domyślasz się, że chłopaka śledzono. Tandini i jego ludzie pojechali tam w nocy, my za nimi. Dojechali i potem poszło to już tak cholernie szybko, że nic nie można było zrobić! Posłuchaj, o czym rozmawiali.

Sirrega nacisnął guzik magnetofonu, przewinął kawałek taśmy, sprawdził, znowu przewinął i włączył odtwarzanie.

„– ... nawet nie trzeba będzie grozić mu spluwą, szefie (to Davis – wyjaśnił Sirrega). Facet jest cieleń, ma wiecznego pietra. Jak nas zobaczy, zrobi w portki ze strachu, założę się o stówę! ... On żyje strachem, tak jak inni chlebem... Stary nazywa go nieśmiały. Mięskisz do kwadratu!...”

– Wyłącz to gładzenie, Carlos! – krzyknął Hawk. – Chcę wiedzieć,

jak to się stało.

– No to z samej taśmy niewiele się dowiesz, mogę ci dopowiedzieć. Ale posłuchajmy jeszcze.

Sirrega znowu przewinął kawałek nagrania.

– O, słyszysz, dojechali do bramy, stają, myślę, że teraz ukazał się im w świetle reflektorów, te kroki, słyszysz, to on, Alonso. Teraz będzie mówił Davis:

„– ... *Sukinsyn nie śpi, jakby czekał na nas. Tacy zawsze czekają na śmierć jak barany!... Nie wysiadać, może ma spluwę, uważajcie!* (to Tandini – wyjaśnił Sirrega) ... *Szefie, on nie odróżnia lufy od kolby. Zemdlaliby od huku, boi się własnego cienia. Wyciśniemy go jednym palcem, jak zgniłą śliwkę!* (to Davis) ... *witam, senores, witam uniżenie. Panowie do mnie?* (to Alonso, słyszysz ten głosik? – powiedział Sirrega) ... *Tak, panie Alonso, mamy interes* (to Davis) ... *Już otwieram bramę, senores, już otwieram, proszę...*”

– Teraz uważaj – powiedział Sirrega – uważaj!...

– To the hell, co to jest?! – Hawk zerwał się z krzesła słysząc straszliwy grzmot, po którym wszystko ucichło i z taśmy dobiegał już tylko jednostajny szum.

– Drobiazg, przyjacielu – wyjaśnił Sirrega. – Wilczy dół, trzy metry głębokości. Alonso wykopał go za bramą, zamaskował i czekał na nich. Wiele miesięcy. Był pewien, że kiedyś przyjadą po hasło.

– Chryste! – wyszeptał Hawk – to niemożliwe!

– A jednak, Brian. Tak wziął sobie odwet za cały wielki strach swego życia... I za tę jedyną kobietę, która poszła z nim do łóżka i nie śmiała się z niego... Wierz mi, on rzeczywiście nie odróżniłby lufy od kolby, ale wykopać dół – to nie przekraczało jego możliwości. Wóz wpadł, pogruchotało im kości, a on wlał naftę i podpalił. .. Byliśmy tam w kilka minut później, dopalali się już... Do dzisiaj słyszę to zwierzęce wycie, wierci mi mózg. A on siedział w kucki nad dołem, spokojny, płomienie oświetlały mu twarz, taką głupią,

dziecięcą, taką cholernie naiwną i niewinną! O, Brian, w życiu nie widziałem czegoś tak potwornego, i ty też!...

POKEROWY BŁĄD

(opowiadanie przyjaciela)

Mój przyjaciel ma na imię Armand i jest pokerzystą. Ma już ponad sześćdziesiąt lat, jest więc pokerzystą bardzo doświadczonym. Złośliwi szepczą, że był kiedyś szulerem, w czym może jest trochę prawdy, ale w czym nie ma jej choć odrobinę? W każdym razie on sam twierdzi, że szulerką się brzydzi, chociaż przyznaje, że nie jest trudna. W szulerni niezbędna, przy pokerze towarzyskim zabija urok gry, bo chociaż i tu gra się na pieniądze, to jednak nie dla zysku, lecz dla przyjemności. Przyjemnością zaś jest smakowanie tajemnicy i gwiazdzista wielokierunkowość blefu, wszystkie te psychologiczne symfonie, które się kryją w mądrej licytacji i które sprawiają, że poker góruje nad brydżem, szachami et consortes. Większość niedzielnych pokerzystów to mali, tępi wyrobnicy, którzy klepią wciąż od nowa te same nudne schematy, spłaszczając sztukę pokera do młócki kartami o blat stolika.

Poker jest królewską grą i nie znosi przeciętności, prostytuowany zaś przez partaczy zyskał złą sławę, nad czym należy ubolewać. Tak mówi Armand.

Armand jest szpakowaty i ma profil arystokratycznie dostojny (brakuje tylko monokla, patrząc na jego twarz niemal widzi się ten monokl), aczkolwiek otyłość zatarła zupełnie dawną ostrość rysów, której można się tylko domyślać widząc jak marszczy gniewnie kąciki ust. Robi to rzadko, zazwyczaj jest pogodny, chociaż nigdy się nie śmieje. Pokera uwielbia, darzy go miłością tak czułą, jaki najśłodsza kochankę i lubi trawestować powiedzenie sławnego XIX-wiecznego szachisty, niemieckiego profesora, A. Anderssena:

„Pokochaj szachy, a one ci się odwdzięczą” na: *„Pokochaj pokera, a on ci się odwdzięczy”*.

Armand był moim pokerowym nauczycielem. Poznaliśmy się przed kilku laty w sanatorium dla chorych na serce i polubiliśmy. Byłem wówczas po zawale, który sprawił, że w wieku czterdziestu sześciu lat musiałem porzucić karierę naukową i katedrę uniwersytecką, by przejść na przedwczesną emeryturę. Nasze łóżka sąsiadowały ze sobą, przez co naturalnym biegiem rzeczy zaczęliśmy rozmawiać, pożyczać sobie gazety, konspirować wspólnie przeciw lekarzom i pielęgniarkom i świadczyć sobie drobne uprzejmości. Ja pilnowałem korytarza, kiedy on zaciągał się dymem przy otwartym oknie (była ciepła jesień, drzewa złociły się baśniowo), moja żona przemyciała dlań papierosy, on zaś w rewanżu słał za mnie łóżko, z czym nigdy nie potrafiłem dać sobie rady, tak jak on nie potrafił dać sobie rady ze swoim nałogiem. Miał zręczne palce, pod którymi prześcieradło, poduszka i kołdra, opierające się mnie z niez mordowaną przebiegłością, wijące, zaginające i wybrzusające w stu miejscach naraz, zaczynały nagle być uległe i zamieniały się same w płaszczyzny o ostrych kantach, tak proste, jak politurowane siedzisko ławy.

Pewnego dnia Armand poprosił moją żonę, by mu kupiła talię kart. Bawił się nimi w cudowny sposób, pokazując mi różne sztuczki, które przedtem widziałem tylko w wykonaniu kabaretowych magików. Spytałem go, gdzie się tego nauczył. Odpowiedział, że w wojsku, gdy spadł z konia i złamał sobie obojczyk, nadwyrężył kręgosłup i naruszył mięśnie palców. Lekarz dał mu kilka talii kart i kazał sprężynować nimi, najpierw jedną, potem dwoma i trzema. Reszta była następstwem wrodzonych zdolności manualnych.

Wieczorami, przed zaśnięciem, Armand tasował karty i rozkładał je sobie w różne kombinacje, niektóre odkrywał, inne nie, czasami kiwał głową z zadowoleniem, a niekiedy dziwił się cmokając ze

złości i mrucząc pod nosem: „bałwan”! Po jakimś czasie zaczął mnie uczyć gry, od podstaw, gdyż z pokera znałem do tej pory jedynie nazwę. Pokazał mi co to jest strit, trójka, full, kareta, kolor i poker, po czym rozdawał karty i w trakcie gry wyjaśniał sekrety i niuanse licytacji, niezmierzone możliwości i ryzyko blefu, słowem wszystko.

Czynił to z wprawą urodzonego pedagoga, cierpliwie i z fantazją, ja zaś okazałem się pojętnym uczniem, chyba dlatego, że sam poker – niewątpliwie za sprawą Armanda – wydał mi się pasjonującą rozrywką.

Opuściłem sanatorium pierwszy i żegnając Armanda zaprosiłem go do siebie. Zjawił się w dwa miesiące później, chłodnym wieczorem, z butelką koniaku i z kartami, ubrany elegancko, w muszce i w butach lśniących jak dwa czarne lustra. Zasiadliśmy przy kominku i po godzinie rozmowy o niczym wznowiliśmy naukę.

W kilka tygodni po tym wieczorze przyłączyło się do nas jeszcze dwóch partnerów: znajomy Armanda, lekarz medycyny, Gabriel, i mój kolega z uczelni, profesor historii, Karol. Od tej pory graliśmy co piątek w moim domu lub w domu Gabriela, od czwartej po południu do dziesiątej wieczorem, a czasami dłużej, do północy. Graliśmy niezbyt ostro, a jeśli tylko któryś z nas przegrał zbyt dużą sumę, już w następnym tygodniu odgrywał się mając cudowną passę i zgarniając wysokie pule, zwłaszcza po rozdaniach Armanda.

W ten sposób uzyskiwaliśmy zawsze remis, za co byłem Armandowi wdzięczny.

Karol, gdy popadł w kłopoty finansowe po rozwodzie z żoną, nie chciał dalej grać z nami wymawiając się brakiem gotówki i niechęcią do pożyczania pieniędzy ustąpił jednak, by nie psuć nam przyjemności, poker bowiem jest najciekawszy, kiedy grany w czterech. Tego samego wieczoru wygrał około dziesięciu tysięcy franków, co ja potraktowałem jako pożyczkę. I rzeczywiście, gdy tylko Karol stanął na nogi po wydaniu jego dwutomowej *Historii*

wojen punickich, przegrał do nas owe dziesięć tysięcy i to tak jakoś celnie, że każdy z nas odzyskał tyle, ile uprzednio stracił. Zdaje się, że tylko ja domyślałem się, komu to zawdzięczamy; Karol i Gabriel byli przekonani, że to sprawiedliwy los tak mądrze steruje przebiegiem naszych partyjek.

Opowieść, którą teraz chcę przytoczyć, usłyszeliśmy w wieczór przedwigilijny. Za oknami padał śnieg, przykrywając miasto ciężką białą kołdrą, a my siedzieliśmy przy kominku grzejąc się ciepłem rozżarzonych szczap i koniakiem, dyskutując o wszystkim i oczywiście grając. W pewnym momencie kupka monet i banknotów w banku urosła jak rzadko, gdyż Karol i Gabriel licytowali wysoko, pewni wygranej. Armand spasował na samym początku, a i ja musiałem uczynić po chwili to samo, z żalem żegnając swoją trójkę siódemek. Sprawdzał Gabriel, który miał karekę asów, i aż jęknął, kiedy Karol rzucił na stół treflowego pokera. W tej samej chwili Armand zwrócił Karolowi uwagę, że to pomyłka. I tak było – na stole zamiast pokera leżał treflowy kolor, a więc karta niższa od karety. Karol pomylił ósemkę z dziewiątką.

Roześmieliśmy się z tego przeoczenia wszyscy, z wyjątkiem Armanda, który miał teraz rozdawać. Tasował karty zamyślony głęboko, tasował i tasował, w końcu położył je na stole, wziął do ręki kieliszek i upił odrobinę winiaku. Widziałem, że ręka mu drży.

– Wybaczcie – powiedział – ale ja już nie zagram dzisiaj– Czuję się trochę zmęczony.

Zgodziliśmy się i wtuleni w fotele zaczęliśmy komentować ostatnie wydarzenie, przypominać sobie wcześniejsze pomyłki i żartować z nich.

Armand milczał uporczywie, ale kiedy odezwałem się, że tylko on jeden nie zrobił nigdy podobnego błędu, gdyż gra najlepiej z nas wszystkich, zaprzeczył:

– To przypadek. Nie ma takiego pokerzysty, który nigdy się nie

pomylił. Im dłużej się gra, tym lepiej się to robi, ale tym większa jest możliwość popełnienia błędu, pomylenia kart.

– Chcesz powiedzieć – spytałem – że zdarza się to również zawodowcom?

– Tak. Nawet najlepszym... Nawet najlepszemu.

– Znasz tego najlepszego? – spytał z kolei Gabriel. – Kto nim jest?

Armand wzruszył ramionami.

– Nie wiem, nie grywam w Monte Carlo, w Nicei, w Las Vegas... Kiedyś, dawno temu, znałem ówczesnego króla pokera, ale...

– Opowiedz nam o nim! – krzyknęliśmy mimowolnym chórem.

– Nie... nie, to długa historia... – bronił się Armand.

– Armandzie, prosimy! – nalegaliśmy.

Dał się prosić przez kilka minut i w końcu uległ, po czym popłynęła opowieść, którą chcę teraz przytoczyć. Nie będę cytował Armanda, w każdym razie nie w całości, może tylko poszczególne zdania i określenia. Żaden z nas nie notował tego, co opowiadał nasz przyjaciel a szkoda, gdyż była to cudowna opowieść, istna bajka Szeherezady, odkrywająca jeszcze jeden wspaniały talent Armanda. Nie tyle krasomówstwo, ile umiejętność budownia niesamowitych nastrojów, jednocześnie pełnych grozy i melancholii, drażniąc zmysły jakimiś dziwnymi obrazami ze świata nadrealnego, z tych pokładów majestatycznych namiętności, które wzrastają gdzieś w dalekich archipelagach, nieosiągalnych dla nas, zwykłych zjadaczy chleba unurzanych w pospolitości codziennego marszu, w bełkocie radia i telewizji, mogący liczyć tylko na zmianę pogody.

Żałowałem wtedy, iż nie włączyłem sekretnie magnetofonu. Dlatego też powtórzę teraz z pamięci opowieść Armanda i wybaczcie mi, że w porównaniu z nią będzie to relacja płaska jak pusty talerz, jak pierś kobiety, która nie przepelnia żadne uczucie. Będę wierny treści zawartej w jego słowach, lecz najlepsze chęci nie pozwolą mi wyczarować tego samego nastroju, nawet gdyby w

domu każdego z was płonął podczas lektury kominek, tak jak płonął wówczas, miotając cienie po ścianach i naszych twarzach.

Czasami człowiek jest uboższy od zwykłej taśmy magnetofonowej. Działo się to w latach dwudziestych i w początkach lat trzydziestych. Żył wówczas pewien człowiek, którego nazwiska nikt nie znał. Jedni mówili, że pochodzi z Libanu, inni zaś gotowi byli przysiąc, że z Grecji i że jest półkrwi Włochem. Nazywano go messer Ricardo i mówiono o nim, że jest „gran diavolo” – wielkim diabłem. Messer Ricardo był arcymistrzem pokera. Nie słyszano, żeby kiedykolwiek przegrał, a przecież grał długo i śledzono jego karierę przez wiele lat. Z małą przerwą na czas pierwszej wojny światowej, kiedy to messer Ricardo zniknął. Później szeptano, że był austriackim szpiegiem i że oddał Habsburgom znaczne usługi.

Po wojnie „gran diavolo” rozpoczął nową serię błyskotliwych sukcesów i trwało to aż do Wielkiego Kryzysu. Krach na Wall Street zniszczył go. Okazało się, że ów genialny pokerzysta ulokował wszystkie swoje pieniądze w akcjach amerykańskich, z których giełda w ciągu owego fatalnego dnia uczyniła stos bezwartościowych papierów. Wówczas zniknął na dobre. Nie widziano go od tej pory w świecie salonów i kasyn, ani w ogóle gdziekolwiek, tylko od czasu do czasu wspominali go starzy pokerzyści przy jakichś ciekawszych licytacjach, przyjęto za pewnik, że tak jak wielu innych bankrutów popełnił samobójstwo.

W rzeczywistości messer Ricardo żył nadal, chociaż mocno się postarzał i stracił dawny wigor. Po utracie majątku osiadł na Południu, najpierw koło Frejus we Francji, a potem we włoskiej Casercie, blisko Neapolu. Wygrzewał pod tamtejszym słońcem swoje zmęczone kości, podczas gdy jego syn prowadził mały sklepik z warzywami i towarami kolonialnymi.

W tym momencie Gabriel przerwał Armandowi:

– Czy nie mógł dalej zarabiać pokerem? Jeśli był takim

geniuszem...

Armand potrząsnął przecząco głową.

– Nie, Gabrielu, to nie było możliwe. Widzisz, żeby dużo wygrywać w pokera trzeba obok wysokiego kunsztu w tej sztuce dysponować przed grą dużymi pieniędzmi. Grając o niewielkie sumki można zarobić na chleb, ale na chleb postny, bo od biedaków trudno dużo wygrać. Żeby zaś grać z bogatymi, trzeba mieć duże pieniądze. Z dwóch powodów. Po pierwsze żeby w ogóle móc zasiąść do gry, gdyż przy takich grach kapitał wyjściowy gracza ma swój dolny limit. Po drugie nie można grać wysoko nie dysponując sporymi rezerwami, bo wówczas może się zdarzyć, że wylecisz z gry chociaż masz w ręku najsilniejszą karty.

– Jakim sposobem? – zdziwił się Karol.

– Wyjaśnię ci to na przykładzie. Powiedzmy, że w puli leży trzy tysiące franków i ty jesteś przy głosie. Zalicytowałeś tysiąc franków. Gracz numer dwa, zamiast cię sprawdzić, przebił do czterech tysięcy. Gracz numer trzy też nie sprawdził poprzednika, lecz przebił do dwunastu tysięcy. I znowu przychodzi kolej na ciebie. Dysponujesz jeszcze piętnastoma tysiącami franków, więc jesteś w stanie sprawdzić, dokładasz jedenaście tysięcy. Ale to nie koniec, bo głos ma teraz gracz numer dwa. Gdyby i on sprawdził gracza numer trzy, byłby to koniec licytacji i ty ze swoją najsilniejszą kartą wygrałbyś. Lecz on dalej przebija, do dwudziestu pięciu tysięcy franków. W tym momencie ty ze swoimi czterema tysiącami w kieszeni przestałeś się liczyć. Nie możesz sprawdzić, bo zabrakło ci pieniędzy. I choćbyś miał wówczas w ręku wielkiego pikowego pokera, nic byś nie wygrał, bo wyrzucono cię z gry. Wyrzucił cię brak odpowiedniej sumy do gry. Teraz rozumiecie?

Po czym dalej popłynęła opowieść o messerze Ricardo. Pewnego dnia, a raczej pewnego parnego wieczoru, w ubogim mieszkanku na zapleczu sklepiku zjawilo się dwóch osobników. Rozmowa

przebiegała mniej więcej tak:

– Czy mamy honor z messerem Ricardo? – spytali dwaj nieznajomi.

– Tak – odpowiedział pokerzysta. – Kim panowie jesteście i czego chcecie?

– Jesteśmy przedstawicielami przedsiębiorstwa nastawionego na maksymalny zysk przy minimalnym nakładzie pracy – odpowiedział jeden z tych panów.

– Co to za przedsiębiorstwo i co ja mam z tym wspólnego?

– Nazwa przedsiębiorstwa nic panu nie powie, messer Ricardo. Zresztą ci, którzy mało wiedzą o tym przedsiębiorstwie, lepiej na tym wychodzą.

– Czego ode mnie chcecie?

– Żeby pan wrócił do swego fachu.

– Nie rozumiem?...

– Żeby pan zagrał w pokera o duże pieniądze.

– Żeby grać o duże pieniądze, trzeba mieć duże pieniądze – odparł smętnie messer Ricardo. – Ja ich niestety nie posiadam.

– Właśnie dlatego tu jesteście. Pieniądze otrzyma pan od nas.

Messer Ricardo oniemiał. Po chwili szepnął:

– A jeśli przegram te pieniądze?

– To spotka pana duża przykreść. Wypadek samochodowy albo utopi się pan podczas kąpieli w wannie, albo spadnie pan ze schodów i złamie sobie kręgosłup, bo to będą strome i twarde schody... Ale pan nie przegra, messer Ricardo, bo jak dobrze wiemy, pan nie umie przegrywać w pokera.

– Dawno nie grałem.

– Pacierza nie zapomina się nawet po dziesięciu latach. No więc?

Messer Ricardo zastanowił się, po czym spytał:

– A jeśli się nie zgodzę?

– To będzie się pan mógł spodziewać nieszczęśliwego wypadku w

najbliższym czasie. Zbyt dużo już zainwestowaliśmy w ten interes.

– Przecież ja panów wcale o to nie prosiłem! Nie możecie mnie zmusić!

– Pozwoli pan, że wyrazimy odmienne zdanie. Możemy!

Zapanowało milczenie. Po chwili messer Ricardo zadał inne, bardziej konkretne pytanie:

– Z kim będę grał?

– Z księciem von Holstein–Sonnenberg, z panem Rusfeldem, bogatym przemysłowcem amerykańskim, oraz adwokatem Dolcinim z Mediolanu. Wszyscy oni są umówieni na grę z greckim armatorem Kristoforosem w dniu dwudziestego trzeciego sierpnia, a więc za tydzień – we wtorek, w prywatnym gabinecie dyrektora kasyna w Monte Carlo. Pan będzie Kristoforosem, messer Ricardo.

– Ja? Przecież...

– Proszę się nie obawiać. Wszyscy ci panowie to zapaleni pokerzyści, jednakże nigdy dotąd nie grali ze sobą. Umówiono ich listownie. Uczynił to dyrektor kasyna na prośbę Dolciniego i Rusfelda, który właśnie spędza urlop na Rivierze. Brakowało im czwartego gracza o takim samym kapitale, podsunęliśmy więc dyrektorowi kandydaturę Kristoforosa i dopilnowaliśmy, by nie doszło do żadnej wpadki. Otrzyma pan od nas odpowiednie ubranie, wszystkie akcesoria i pieniądze. Gra będzie prowadzona w języku francuskim, zna go pan?

– Tak. Ale jeśli rozdawał będzie pracownik kasyna, krupier albo jedna z tych nowoczesnych maszynek do rozdawania kart...

– To nie wchodzi w rachubę. Ci panowie są zwolennikami tradycyjnego kunsztu, z własnoręcznym rozdawaniem. Poza wami w gabinecie będzie obecny tylko dyrektor kasyna.

– A co... co ja będę miał z wygranej?

– Dziesięć procent, reszta należy do nas. W pańskim więc interesie leży, by wygrać jak najwięcej.

– A jeśli Kristoforos...

– Powiedzieliśmy już panu, messer Ricardo, żeby pan nie zwracał sobie głowy tym, co należy do nas. Otóż Kristoforos przed dwoma dniami ciężko zaniemógł, w czym pomógł mu sekretnie jego własny kucharz, z którym łączą nas przyjacielskie stosunki. Rodzina Kristoforosa utrzymuje jego chorobę w tajemnicy, bo nie chce, żeby akcje jego firmy spadły na giełdzie. Z kolei sama gra w kasynie też odbędzie się w wielkiej konspiracji, bo żadnemu z graczy nie zależy na rozgłosie, zwłaszcza zaś Księciu von Holstein–Sonnenberg, który jest skoligacony holenderskim domem panującym. Tak więc, messer Ricardo, uważamy, że doszliśmy do porozumienia. Proszę nas oczekiwać w przyszłym tygodniu.

W wigilię owego dnia gry, dwudziestego drugiego sierpnia rano, zawitał do sklepiku messer a Ricarda don Ottaviano Simone, zastępca szefa rodziny mafijnej rządzącej Kalabrią. To on odkrył messera Ricarda i wpadł na pomysł wykorzystania go w Monte Carlo, i jemu mafia zleciła organizację całego przedsięwzięcia. Don Ottaviano przywiózł ze sobą trzech ludzi, którzy mieli grać rolę służących Kristoforosa i duży neseser zawierający milion franków w banknotach tysiącfrankowych.

O godzinie dziesiątej messer Ricardo wsiadł z synem, don Ottavianem i „służącymi” do samochodu i dał się powieźć do Neapolu, gdzie wszyscy przesiedli się do pociągu. Następnego dnia, o piętnastej, przed kasyno w Monte Carlo zajęchały luksusowy bugati z panem Kristoforosem i jego synem oraz mniej luksusowy renault z osobami towarzyszącymi. Dyrektor kasyna powitał armatora jak udziałnego monarchę i osobiście wprowadził go do wspaniałego apartamentu hotelowego oznaczonego numerem ósmym.

W godzinę później armator vel messer Ricardo wymienił milion franków na sztony i udał się do gabinetu gry, gdzie już czekali na

niego wszyscy partnerzy. Po prezentacji, której dokonał dyrektor, po wzajemnych komplementach i kieliszku koniaku, panowie zasiedli do gry.

Przez pierwsze dwie godziny gra toczyła się własnym torem. Messer Ricardo ingerował w układ kart w talft rzadko, dbając tylko o to, by nie przegrać więcej jak pięćdziesiąt tysięcy franków. Przez cały czas wygrywał Dolcini, najwięcej przegrywał książę. Około dziewiętnastej geniusz pokera uznał, że nadeszła pora rozstrzygnięcia. Właśnie przyszła jego kolej do rozdawania kart rozdał więc: księciu von Holstein-Sonnenberg trzy króle panu Rusfeldowi od razu fula-maxa, Dolciniemu cztery kara i kierową damę, sobie zaś cztery piki i dziewiątkę trefl. Spowodowało to duże ożywienie, które wszyscy panowie starannie maskowali. Książę dobrał czwartego króla i znalazł się w posiadaniu karety. Dolcini wyrzucił damę i w zamian otrzymał ósemkę karo, co razem dawało mu karowy kolor. Zaś messer Ricardo pozbył się dziewiątki trefl i zastąpił ją pikowym waletem, co w efekcie uczyniło go potentatem, gdyż miał pikowego pokera! Każdy z nich był pewien wygranej, toteż licytacja trwała długo...

W momencie, kiedy doszło do sprawdzenia, w puli leżały sztony o wartości trzech i pół miliona franków! Messer Ricardo odkrył i położył swoje karty na stole jako ostatni. I był pierwszym, który zauważył swą pomyłkę. W jego piątce obok pikowych: damy, waleta, dziesiątki i ósemki leżała... dziewiątka trefl! Nie miał więc pikowego pokera, nie miał nawet jednej pary, nie miał w karcie niczego! Był goły i skompromitowany, bo z jakiejś niepojętej przyczyny, przez roztargnienie, które nigdy przedtem nie było jego udziałem w czasie gry, popełnił błąd straszliwy, jakiego nie popełniłby laik siedzący po raz pierwszy przy zielonym stole – wyrzucił podczas wymiany dziewiątkę pikową zamiast treflowej!

Wstał od stołu ze zbielałą twarzą, myśląc o tym, co teraz zrobi don

Ottaviano.

– Pan już nas opuszcza, Herr Kristoforos? – spytał jego Książęca wysokość.

– Tak... chwilowo... muszę się otrząsnąć... taka pomyłka Boże...

– Ach, to się zdarza każdemu – mruknął Rusfeld. – Wreszcie taka suma, cóż to dla pana...

– Tak, oczywiście, to nic wielkiego, ale poczułem się trochę niedobrze...

– Kiedy rewanz? – spytał książę. – Służymy panu każdej chwili, Herr Kristoforos. Może jutro albo pojutrze?

– Może... tak... powiadomię panów przez dyrektora.

– Może koniaku, to dobrze robi – zaproponował Dolcini.

– Dziękuję... dziękuję panom, do zobaczenia.

I wyszedł. Na korytarzu zatrzymał się i oparł o ścianę. Przez moment chciał uciekać, ale przypomniał sobie, że zostawił w pokoju syna. Zresztą dokąd mógłby uciec?

Kiedy otworzył drzwi do swego apartamentu, don Ottaviano zerwał się z fotela i krzyknął:

– No i co?... Ile?

– Panie Simone, ja... – wyszeptał messer Ricardo i nie dokończył.

Tamten wpatrywał się w niego z niedowierzaniem, aż nagle dotarło doń, ta twarz i przerażone oczy powiedziały mu wszystko.

– Przegrałeś? – spytał cicho.

– Panie Simone... to... to była pomyłka, ja... wymieniłem nie tę kartę, którą... którą miałem wymienić, pomyliłem się... sam nie wiem, jak to się stało...

– Przegrałeś?! – zawył don Ottaviano. – Przegrałeś nasze pieniądze, ty szczurze?! Milion franków?!

– Panie Simone... ja...

Wargi messera Ricarda trzęsły się, nie mógł mówić.

Mafioso złapał się za głowę i jęknął:

– Santa Madonna!... Don Antonio ci tego nie daruje!... Co ja mu teraz powiem?! Co ja mu powiem, ty bydlaku?!

Sięgnął za rozpięcie marynarki i zamarł w tym ruchu, przytomniał z wolna. Wyjął powoli pustą dłoń i syknął.

– Jeszcze się zobaczymy!

Messer Ricardo cofnął się pod ścianę i cały drżał. Drżał nawet wówczas, gdy tamci wyszli. W chwilę później wybiegł za nimi jego syn. Dopędził ich na ulicy, gdy wsiadali do aut.

– Don Ottaviano... chwileczkę... niech pan zaczeka!

– Czego?! – warknął mafioso.

– Ojciec zwróci panu te pieniądze.

– Co?

– Mówię, że ojciec zwróci...

– W jaki sposób?

– Wygra. Ta przegrana to był głupi przypadek, pomyłka... Jeśli da mu pan jeszcze jedną szansę, odegra to zawiązką.

– Czyli że musiałbym dać mu jeszcze jeden milion?

– Tak.

– Słuchaj, synu – powiedział don Ottaviano zbliżając swoją twarz do twarzy młodzieńca – twój stary to już żywy trup! Nie darujemy mu tego, a ja modłę się, żeby mnie darował padrone. Bo teraz ja muszę zwrócić te pieniądze organizacji i nie wiem, na Boga, jak mam to zrobić, skąd wziąć! A ty chcesz, żebym poprosił don Antonia o jeszcze jeden milion!

– Tak, don Ottaviano. Wówczas otrzyma pan z powrotem wasze dwa i jeszcze drugie tyle wygranej... Proszę pana! Ojciec jest wirtuozem, wygrywa, kiedy chce...

Nagle ujrzeni obok messera Ricarda. Stał trzęsąc się i starał się coś powiedzieć, ale słowa nie przechodziły mu przez gardło.

– Ojcie! – krzyknął rozpaczliwie młodzieniec, chwytając starego człowieka w ramiona.

– Nie róbmy zbiegowiska na ulicy! – wycedził don Ottaviano. – Do wozu!

Wciągnęli messera Ricarda do samochodu jak bezwładną kukłę. Za miastem zjechali w boczną drogę i stanęli nad brzegiem morza. Syn messera Ricarda spojrział ojcu w twarz i ujrzał szeroko otwarte oczy trupa, z których wyzierało potworne przerażenie. Zabił go strach. Don Ottaviano powiedział do chłopaka:

– Wsiadaj!

– Panie Simone, mój ojciec nie żyje!

– Widzę, zaoszczędził nam kul. Wsiadaj!

– Pan chce mnie zabić?

– Muszę, nie zostawiam świadków. Weźcie go, chłopcy!

– Nie chce pan odzyskać tego miliona?

– Co?!... A jak mogę?

– Ja panu zwrócę.

– Ty?

– Ja. Gram nie gorzej od ojca, mogę rozdać karty tak, jak tylko chcę. Niech pan mi da talię, a udowodnię to. Ojciec uczył mnie przez wiele lat i nauczył wszystkiego. Ostatnio byłem już od niego lepszy, bo mam młodsze ręce. W kilka godzin ogram ich do dna!

Don Ottaviano zawahał się.

– Nie łżesz?

– Przysięgam panu!

– Jeśli kłamiesz, to poćwiartuję cię żywcem!... Chłopcy, wyrzucie ciało starego i zwracamy!

Z ciałem messera Ricarda nie było kłopotów. Stali przy nadmorskim urwisku i wystarczyło zrzucić je w dół. Potem wrócili do hotelu przy kasynie i syn messera pokazał im, co potrafi robić z kartami. Goryle don Ottaviana nie mogli powstrzymać zachwytu i bili brawo, zaś sam don Ottaviano poszedł do dyrektora i oznajmił, że pan Kristoforos czuje się źle i prosi, by rewanż udzielono jego

synowi. Propozycja została przyjęta.

W pół godziny później don Ottaviano wyjechał z Mote Carlo. Wrócił po dwóch dniach, wszedł do apartamentu, numer osiem i położył na stole pełny neseker.

– Don Antonio zgodził się. Masz tutaj milion. Ale nie pomył się, bo wówczas ja umrę, ale ty przede mną i w taki sposób, że nie życzyłbym najgorszemu wrogowi!

Rewanż rozegrano dwudziestego szóstego sierpnia w piątek. Po trzech godzinach gry syn messera Ricarda rozdał karty do decydującego ataku. W puli znajdowały się trzy miliony franków, kiedy Rusfeld przebił o półtora miliona.

Dolcini spasował, a księżę przebił jeszcze o trzy miliony. Wówczas młodzieniec wstał i powiedział:

– Przepraszam panów, ale nie mam przy sobie sumy wystarczającej do sprawdzenia. Muszę iść po pieniądze do swego pokoju. Proszę, żeby pan dyrektor zechciał zapieczętować moje karty.

Dyrektor kasyna zerwał się z miejsca.

– Bardzo chętnie, służę panu.

– Chwileczkę, czy tylko pan sprawdza, czy będzie pan przebijal? – spytał księżę.

– Nie wiem. Muszę uzgodnić to z ojcem, gdyż gram za jego pieniądze. Za chwilę wrócę.

W apartamencie numer osiem odbyła się następująca rozmowa:

– Don Ottaviano, doszło do zderzenia – oświadczył syn messera Ricardâ.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że na stole jest siedem i pół miliona franków, a ja, żeby sprawdzić, muszę mieć jeszcze trzy miliony. Jeśli mi ich nie dacie, stracimy wszystko. Ale jeśli dacie, wygramy najmniej sześć i pół miliona!

Młodzieniec spodziewał się, że Mafioso wpadnie w szał, ale reakcja don Ottaviana była zupełnie inna. powiedział spokojnie:

– Przewidziałem taką możliwość, a raczej przewidział don Antonio. On jest w mieście, zaraz do niego zadzwonię. Tylko czy tym razem...

– Nie ma mowy o pomyłce, don Ottaviano. Przysięgam panu na Zbawiciela i na jego Matkę, że wiem, co robię i że się nie pomyliłem!

– Co masz w karcie?

– Karowego pokera! Dolcini miał fula i spasował. Von Holstein i Rusfeld mają po karcie, z tym, że księżę wyższą. Właśnie jego chcę sprawdzić.

– Czy można zobaczyć twoje karty, synu?

– To niemożliwe, nie zgodzono by się na to. Poza tym zostały zapieczętowane w kopercie, zanim opuściłem gabinet dyrektora. Ale proszę się nie obawiać, don Ottaviano, już wygraliśmy, nie wiadomo tylko ile.

– Od czego to zależy?

– Od dwóch rzeczy. Czy Rusfeld też sprawdzi. Jeśli tak, to zyskamy półtora miliona więcej. Poza tym mogę jeszcze przebić, a wówczas...

– Co wówczas?

– Wówczas sądzę, że Rusfeld spasuje, chociaż to nie jest pewne, bo włożył już zbyt dużo do puli i będzie chciał tego bronić. Natomiast księżę sprawdzi prawie na pewno.

– O ile chciałbyć przebić?

– Niedużo, żeby nie przestraszyć księcia. Ale jeśli dołożę jeszcze trzy miliony, sądzę, że wówczas sprawdzi.

– Łącznie więc potrzebujesz aż sześciu milionów?

– Po to, żeby wygrać dziewięć i pół albo więcej, jeśli sprawdzi także Rusfeld.

Don Ottaviano zagwizdał cicho.

– Straszne pieniądze!... Dobrze, synu, wracaj tam i czekaj na mnie.

Dwadzieścia minut później rozległo się pukanie do drzwi gabinetu dyrektora. Ten wstał i otworzył. Don Ottaviano podał mu pudełko z banknotami, mówiąc: |

– Tu jest sześć milionów franków. Proszę je przeliczyć wymienić na sztony i wręczyć synowi pana Kristoforosa.

Kiedy dokonano tej operacji, syn messera Ricarda powiedział:

– Panowie, wyrównuję do księcia i przebijam o trzy miliony.

Von Holstein zareagował natychmiast:

– Sprawdzam pana.

– Proszę nie odzywać się „przez rękę”, książę! – skarcił go dyrektor, który nadzorował grę. – Głos ma teraz pan Rusfeld!

Rusfeld długo wpatrywał się w swoje karty.

– Trudno! – powiedział w końcu z determinacją – Jestem chyba za słaby, ale... ale dam! Zaraz przyniosę pieniądze.

– Ja też, tak jak mówiłem! – powiedział książę. – Ale przedtem muszę wycofać pieniądze z konta. To potrwa pół godziny. Proszę zapieczętować moje karty.

– Nie wszyscy naraz! – odezwał się dyrektor. – Tylko jeden z panów może być nieobecny.

Najpierw przyniósł pieniądze Rusfeld. Potem wyszedł książę. Wrócił po chwili i powiedział:

– Moi ludzie już to załatwiają. Zadzwoń do banku. Za kilkanaście minut dyrektor banku przywiezie pieniądze mojemu szambelanowi.

– Świetnie – rzekł na to syn messera Ricardo – wobec tego pozwolę panowie, że wyjdę do ubikacji.

– Nie musi pan, mam tu własną, te drzwi – wskazał mu dyrektor.

Młodzieniec wszedł do toalety, zamknął drzwi na zasuwkę i skonstatował z zadowoleniem, że plan hotelu, który obejrzał poprzedniego dnia, nie kłamał. Rozpiął koszulę i odwinął taśmę, którą był obwiązany. Zrobił na niej kilkanaście supłów, przywiązał

jeden koniec do rury, drugi zaś wyrzucił przez okienko na zewnątrz. Potem położył na sedesie zieloną kopertę, przylepił sobie brodę i wąsy, założył perukę, podciągnął się, przecisnął przez okno i spuścił na dół.

W niecałe pół godziny później dyrektor kasyna wybiegł na korytarz i niemal wpadł na czekającego pod drzwiami don Ottaviana.

– Niech pan pozwoli, szybko!

– Co się stało?

– Syn pana Kristoforosa uciekł!

– Jak to uciekł?! Czyście powariowali?!

– Ależ proszę pana!... On naprawdę... ja tego, doprawdy, zupełnie nie pojmuję!

– Którędy uciekł?!

– Przez okno mojej toalety. Mój Boże, dlaczego on to zrobił?!...

Zostawił tę kopertę z listem...

Don Ottaviano wyrwał mu z ręki kartkę papieru, na której było napisane:

„Dokończ za mnie tę grę, signor Simone”.

Zaskoczeni gracze ujrzeni, jak don Ottaviano sinieje i jak ręce zaczynają mu drżeć.

– Gdzie są jego karty?! – wyharczał.

Rozerwał kopertę i wyrzucił karty na stół. Była tam para ósemek, walet, dziesiątka i król! Książę von Holstein–Sonnenberg krzyknął:

– Mein Gott! Przecież tam nic nie ma, tylko para ósemek!... On blefował!... Ja mam karete asów! A pan, panie Rusfeld?

– Karete ósemek, niestety!

– Więc wygrałem! – wrzasnął uradowany książę. – Nigdy w życiu nie wygrałem tyle w jednym rozdaniu. Fantastyczne!

– Rzeczywiście – przytaknął Rusfeld – ma pan szczęście, książę, gratuluje... Ale ten młody człowiek, co to za maniery! Nie sądzę, żeby jego ojciec podziękował mu za takie zachowanie.

Don Ottaviano nie słyszał o czym mówili. Stał i patrzył w ścianę, a w oczach miał to samo przerażenie, ten sam potworny strach, który zabił messera Ricardo i w który syn messera ubrał teraz jego. Gdzieś tam, za murami hotelu, czekał padrone don Antonio, a świat stał się pustynią bez dróg, którymi można uciec. Don Ottaviano odwrócił się i wyszedł na korytarz martwym krokiem manekina.

Zaraz potem obecni w gabinecie dyrektora usłyszeli strzał. Kiedy wybiegli za drzwi, ujrzeni don Ottaviana, leżącego pod ścianą, z oderwanym wierzchem czaszki i rozprysniętym mózgiem...

– I to już wszystko – powiedział Armand.

Zamyśliliśmy się. Pierwszy przerwał to milczenie Karol, mówiąc:

– Wiele ryzykował. Gdyby w toalecie dyrektora nie było okna?...

– Wówczas znalazłby pretekst do wyjścia gdzie indziej – odpowiedział Armand. – Poszukałby innego wykřetu lub te¿... popełniłby samobójstwo.

Miał przy sobie rewolwer i liczył się z taką możliwością, z tym że przedtem zastrzeliłby don Ottaviana. I to byłaby klęska, bo nie o to mu chodziło... Chciał, żeby tamtego zabił strach, ten sam strach, który zabił jego ojca.

– Czy mafia nie próbowała go odnaleźć? – spytał z kolei Gabriel.

– Nie wiem. Chyba tak, ale zaszył się w Indiach i zmienił nazwisko, nie zdołali go dopaść. Powrócił do Europy po trzynastu latach.

Chciałem i ja o coś zapytać, ale powstrzymałem się. Chciałem zapytać, skąd zna tak dokładnie wszystkie szczegóły tej sprawy, ale pomyślałem sobie, że byłoby to czymś więcej niż pokerowym błędem – byłoby to najzwyczajniejszym chamstwem.

TWOJA MAMUSIA MUSI BYĆ ŚLICZNA...

Będzie to opowieść o zawodowym mordercy, dobrym strzelcu i równym kumplu, Franciszku Madellinie. A także o małej dziewczynce imieniem Alicja.

Kilka danych personalnych: Franciszek Madellin (nazwisko matki) urodzony 23 sierpnia 1932 roku w Oranie, wzrost 1,84 m, włosy czarne, oczy niebieskie; znaki szczególne: duża blizna postrzałowa na lewym udzie i tatuaż poniżej lewego łokcia (litery CES plus koło przecięte na krzyż); wykształcenie: nie ukończone średnie, dwanaście lat służby w oddziałach specjalnych (dywersja) w Wietnamie i Algierii (specjalność: snajper), odznaczenie bojowe za Dien Bien Fu (znajdował się w ostatniej grupie, która wyrwała się z oblężenia); zawód wyuczony: kierowca–mechanik; zawód wykonywany po demobilizowaniu: morderca do wynajęcia; ostatni zawód wykonywany: główny „ass” (od „assassin” –zabójca) czyli spec od wykonywania wyroków w gangu korsykańskim Paola Casalty. Ostatnie pseudo: „Tino”.

Kilka danych dotyczących dziewczynki: Alicja de Tournon, córka francuskiego „króla anyżku”, urodzona 12 stycznia 1969 roku w Paryżu, wzrost znormalizowany, włosy blond, oczy niebieskie.

Rankiem 3 grudnia 1976 roku, tak jak każdego z poprzednich dni, Alicja została odwieziona do szkoły przez specjalnego szofera, specjalnie do tego przeznaczonym mercedesem. Była godzina 10.15. Szofer wysadził dziewczynkę i obserwował, jak wchodzi wraz z gromadką innych dzieci do przyszkolnego ogrodu. Kiedy zniknęła w drzwiach budynku, zawrócił. Po ostatniej lekcji, o godzinie 13. 30, Alicja opuściła szkołę i wsiadła do tego samego zielonego

mercedesa, który jak zwykle czekał na nią przy krawężniku w odległości kilku metrów od furtki w ogrodzeniu.

Alarm wszczął ojciec jej koleżanki Lucille. Lucille, córka urzędnika bankowego, mieszkała w pobliżu willi de Tournonów i przyjaźniła się z Alicją, toteż często szofer „króla anyżku” zabierał ze szkoły obie dziewczynki. Tym razem stało się inaczej. Lucille po powrocie do domu poskarżyła się rodzicom, że *„ten pan w samochodzie odepchnął ją i był tam jeszcze drugi pan i ten, który ją odepchnął, to był całkiem inny pan i...”*. W tym momencie ojciec Lucille zerwał się od stołu strącając butelkę wina, chwycił za słuchawkę telefonu i połączył się z prefekturą. Zielonego mercedesa odnaleziono w lesie, trzydzieści kilometrów od Paryża. Szofera w Paryżu, w Sekwanie.

Tego samego dnia porywacze nawiązali pierwszy kontakt z de Tournonem. Rozpoczęły się pertraktacje, o których policja i prasa wiedziały niewiele. I zapewne pertraktacje te zakończyłyby się szybko sukcesem, gdyby policja okazała się mniej ciekawa i mniej natrętna. Porywacze nie zamierzali tolerować trzeciego partnera w grze, toteż rozmowy rwały się i przeciągały, policja zaś, mimo nacisków de Tournona, nie zamierzała postępować według zasady „laissez faire”.

Tak minęło kilka miesięcy, dla państwa de Tournon najczarniejszych miesięcy w życiu, aż przyszło lato i czas Franciszka Madellina pseudo „Tino”.

1 lipca 1977 roku Madellin wszedł do nadmorskiej rezydencji Casalty w Ajaccio, strzeżonej dniem i nocą przez psy i chłopców z obstawy. Znalazł się tam po raz pierwszy, do tej pory rozkazy przekazywano mu przez łącznika. Z szefem widywał się rzadko, tylko podczas narad odbywanych na zapleczu knajpy Ramona albo w samochodzie na przybrzeżnej autostradzie. Teraz wprowadzono go do „zamku”, rozumiał więc, że idzie o coś naprawdę wielkiego. Czuł dumę – zaproszenie do tego wnętrza było czymś w rodzaju

nobilitacji.

Siedział w różowo tapetowanym hallu, na kanapie, obok gigantycznej donicy z jakąś egzotyczną rośliną i czekał. Naprzeciw niego warował w fotelu jeden z goryli starego, „Rubin”, tłusty wieprz ze szklanymi oczami, wiecznie ssący miętówki. Madellin nie lubił „Rubina”. Patrząc na jego nieustannie ruszającą się szczękę miał zawsze ochotę wyrżnąć w nią pięścią tak, żeby miętówki zmieszały się z zębami. Odwrócił wzrok.

Za szklaną ścianą rozciągał się pomieszany lazur morza i nieba i tylko cienka smużka okrętowego dymu rysowała w oddali granicę między oboma królestwami. Chciał zapalić, ale nie dostrzegł żadnej popielniczki i pomyślał, że może nie wypada, tak tutaj czysto... „Rubin” nie chciał pytać, schował papierosa z powrotem do pudełka i znowu zapatrzył się w szybę.

Nagle rozległo się ciche brzęczenie. „Rubin” wstał, prawą dłonią otworzył ciężkie, brązowe drzwi, lewą zaś wykonał w kierunku Franciszka ruch, który znaczył: włącz, baranie! Madellin przeszedł przez cały hall, zapadając się w dywanie i obiecując sobie, że kiedyś policzy miętówki w tej gębie, przekroczył próg i usłyszał, jak drzwi zamykają się za nim.

W pokoju panował półmrok. Story były zaciągnięte, a ciemność rozpraszała tylko lampka na biurku, przy którym siedział Casalta. Madellin z trudem przyzwyczał wzrok do tego wnętrza. Zrobił nieśmiało krok do przodu.

– Jestem, szefie.

– Siadaj! – Casalta wskazał mu fotel. – Jest robota, pojedziesz do Bretanii.

– W porządku, szefie.

– Słuchaj, Tino, to jest ważna robota, cholernie ważna! Jeśli ją wykonasz, zarobisz więcej niż normalnie przez rok... Słyszałeś o tej małej porwanej w Paryżu?

– Jasne szefie, gazety i telewizja trąbią o tym od kilku miesięcy. Glinom coś kiepsko idzie...

– Otóż to. Gliny były na dobrej drodze, ale przedobrzyły, pchały się zbyt nachalnie... Teraz nic nie wiedzą i są bezradni, a ci, którzy chapnęli małą, zerwali pertraktacje i zamilkli. Jej starzy wpadli w panikę, nie są nawet pewni, czy mała żyje. Niecały miesiąc temu jej ojciec nawiązał z nami kontakt. Daje milion franków za wiadomość o małej i dziesięć milionów za jej dostarczenie. Od wczoraj wiemy, gdzie ona jest. Porwali ją Marsylczycy, ci od Grubego Marcela...

– Przecież on wacha trawę, szefie, rąbnięto go w maju...

– Dlatego jego ludzie zamilkli. Mają teraz chaos w organizacji, skaczą sobie do oczu o szefostwo. Przerwali pertraktacje do momentu wyklarowania się sytuacji. Z tego, co wiem, szefem będzie Coulon, może już jest, udało mu się wyeliminować La Botte...

– Aaaa, to stąd ta strzelanina w Casino de Monte-Christo!

– Zgadłeś... Widzisz, Tino, teraz mamy okazję, żeby zapłacić im za ten numer z narkotykami, który zrobili nam przed rokiem. Ale musimy się spieszyć!... Trzymają ją na farmie w okolicy Plouescat.

Casalta wstał, podszedł do starej, pięknie rzeźbionej sekretery, otworzył szufladkę i wyjął mapę. Rozłożył ją na biurku i przez chwilę studiował.

Franciszek zmrużył oczy, światło bijące od lampy raziło go.

– Chodź no tu – powiedział Casalsa – popatrz, to tutaj.

Cienki palec starego wskazywał punkt w Bretanii blisko wybrzeża, kilka kilometrów od La Manche.

– Pojedziesz tędy albo nie... tędy...

Palec zaczął sunąć przez Francję, aż dotarł ponownie do owego punktu.

– Tutaj gdzieś jest ta farma.

– Jak się nazywa? – spytał Franciszek.

– Mówią na nią „Farma starego Raoula”. Małej pilnują dwaj faceci i

kobieta, która im gotuje.

Casalta rozparł się wygodnie i spojrzał Franciszkowi w twarz.

– Tino... Nie wolno ci spać tej roboty! Przywieziesz mi tę małą i nie pożałujesz... Muszę ją mieć! Widzisz, chłopcze, to jest prosty rachunek: milion już mamy za sam adres, ale ja chcę ją mieć, bo umiem liczyć i wypada mi, że dziesięć milionów to więcej niż jeden... Ale muszę ją mieć nietkniętą, nietkniętą, zrozumiałeś?

– Jasne, szefie.

– W porządku. Dam ci dwóch chłopaków i alfa romeo...

– Wolę jechać sam, szefie.

– Dlaczego?

– Szefie... ja zawsze pracuję sam.

– Tino, ale...

– Szefie, głupia strzelanina mogłaby małej zaszkodzić, prawda? A ja mam zaufanie tylko do samego siebie. Dam sobie radę sam.

– Jak chcesz – mruknął Casalta – ale nie wracaj mi bez małej albo z wiadomością, że ona nie żyje!... Przywieziesz ją do Cannes, do Willi Maria.

Tego samego dnia Franciszek Madellin vel „Tino” ruszył w drogę. Po dopłynięciu promem do Nicei, przeciął Francję z południowego wschodu na północny zachód przez Lyons, Nevers, Tours i Rennes. Po raz drugi przenocował w Morlaix, około trzydziestu kilometrów od celu.

Wynajął pokój w małym hoteliku i chciał jak najszybciej położyć się do łóżka, ale na schodach zaczepiła go córka właściciela. Miała długie czarne włosy spadające na plecy i końskie zęby, które jej nie szpeciły. Powiedziała, że zaraz przyjdzie zmienić pościel. Powiedziała to tak, że już wiedział. Przewrócił ją chichoczącą na goły materac i szalał przez godzinę, aż się zmęczył. Potem wziął kąpiel i zasnął ciężkim snem.

Śniła mu się dżungla wietnamska. Uciekał przed partyzantami

miotając za siebie granaty i strzelając bez przerwy z automatu, nogi zapadały mu się w bagno, coraz głębiej, woda sięgnęła mu piersi, próbował dotrzeć do kępy krzewów, na której siedziała dziewczynka wyciągająca do niego ręce, szarpał się jak oszalały w mule, zachłystywał wodą, zaczął krzyczeć rozpaczliwie...

Ocknął się spocony obok łóżka i przez kilka minut siedział na podłodze, oddychając ciężko. Kiedy ponownie się położył, długo nie mógł zasnąć i wpatrywał się w sufit przecięty smugą światła z ulicznej latarni.

Obudził się późno i leżąc przyglądał się obrazkom, którymi właściciel hotelu ozdobił pokój. Były tam jakieś martwe natury, akty, sceny myśliwskie, a także wizerunek młodej kobiety trefiącej włosy małemu chłopcu. Wstał, umył się, ogolił, ubrał i sprawdzwszy, czy drzwi są zamknięte na klucz, rozłożył pistolet, kładąc wszystkie części na stoliku pod oknem. Przeczyścił je jeszcze raz, złożył, sprawdził, czy mechanizm spustowy funkcjonuje tak miękko jak powinien, i dopiero wówczas opuścił hotel.

Dziewczyna pożegnała go wdzięcznym uśmiechem, a w jej „do zobaczenia” pobrzmiwała bezwstydną nadzieją.

W południe zjadł porządny, kilkudaniowy obiad w knajpce na rogu i kupił dokładną mapę okolicy. Farmy nie były na niej zaznaczone. Po południu ruszył trasą wzdłuż wybrzeża, przez St. Pol de Leon do Plouescat. Po obu stronach szosy migotały między drzewami pofałdowane krajobrazy, pełne ciepłej, lipcowej zieleni, upstrzonej domkami z kamienia i stadami owiec bez pastuchów. Słońce rzucało głębokie cienie, usypiając ziemię. Szosa była prawie pusta, czasami tylko mijał rowerzystę lub chłopski wózek.

W pobliżu miasteczka, za jakąś wiosczyną, zatrzymał wóz przy staruszce w białym koronkowym czepcu bretońskim.

– Matko, gdzie tu jest... – krzyknął, lecz ona, nie pozwalając mu dokończyć, otwarła drzwiczki i pakując się na siedzenie obok niego,

wyseplenia:

– Dziękuję ci, synu, dziękuję... Chociaż do kościoła już blisko, ale moje nogi stareńkie, a i tak jestem spóźniona. Musisz wiedzieć, że ksiądz Duvernois nie lubi spóźnialskich... Pan Bóg ci wynagrodzi za dobre serce. Tu musisz skrócić, o tu, w lewo...

Zanim ją wysadził przed małym spatynowanym kościółkiem, którego dzwonnice wieńczyło bocianie gniazdo, dowiedział się, że „Farma starego Raoula” leży dwa kilometry za Plouescat, po prawej stronie drogi, że nikt tam od dawna nie mieszka i że pozna ją po wielkiej, wymalowanej w żółte pasy, kamiennej stodole z nadpalonym dachem.

Przez wymarłe Plouescat przejechał w kilka minut, nie zatrzymując się. Za miastem zwolnił i uważnie spoglądał na prawo. Dwukrotnie, widząc w prześwitach zieleni jakieś zabudowania, zatrzymywał się, by skonstratować, że to jeszcze nie to i ruszał dalej. Za trzecim razem ujrzał cel do którego zdązał.

Żółte pasy na ruinie stodoły wyblakły od deszczu i wiatru, a słońce wybieliło je jeszcze bardziej, ale były widoczne i nie mogło być wątpliwości, że to jest właśnie „Farma starego Raoula”.

W tym akurat miejscu, w którym ujrzał ją przez okno samochodu, nic nie osłaniało widoku na szosę i z szosy, przejechał więc, nie zwalniając, by nie wzbudzić podejrzeń. O kilkaset metrów dalej skręcił w leśną drogę i zaparkował wóz wśród drzew, na małym polanie. Starannie sprawdził, czy wszystkie drzwiczki samochodu są zamknięte i ruszył przed siebie, pochylony nisko, stąpając jak kot.

Dotarwszy do skraju lasu ujrzał otwartą przestrzeń, zaniedbane pole, pełne chwastów i dzikich kwiatów. Przeczłogał się przez nie do zasłony z krzewów rosnących nad błotnistym rowem i leżąc w wysokiej trawie wpatrywał się w zabudowania przez lornetkę.

W ciągu pierwszej godziny nie dostrzegł najmniejszych oznak życia. Wreszcie czyjaś ręka otworzyła okiennicę. Gdy zaczęło się

zmierzchać, ukazał się mężczyzna z wiadrem. Rozejrzał się bacznie na wszystkie strony, potem szybko napompował wody na podwórzu i zniknął w drzwiach do niskiego budynku flankującego stodołę. Potem znowu zapanował bezruch, drażniąca martwota okrywana szarością gasnącego dnia.

Zmierzch zapadał powoli, dłużył się niemiłosiernie wilgotniejącą trawą i chłodem wędrującym z ziemi poprzez trawy w ciało Franciszka. Łokcie bolały go, przewracał się więc z boku na bok, trzymając lornetkę na przemian lewą albo prawą ręką i ani na moment nie przestał obserwować budynku. Kiedy minęła dziewiąta, ściągnął z grzbietu skórzaną kurtkę i położył pod siebie, po czym nakręcił tłumik na wylot lufy pistoletu i znowu wbił oczy w szkła lornetki. Widział coraz mniej wyraźnie. Ściany domu rozplływały się w mroku, milczące, zda się obumarłe i puste, lecz on czuł przez skórę sekretne życie które pulsowało we wnętrzu.

Począł jeszcze kwadrans i podniósł się. Przeskoczył rów i pobiegł zarośniętą brudą do kępy krzewów oddalonej od rozwalonego płotu nie więcej jak o dwadzieścia metrów. Uklęknął i znowu czekał.

Gdy zapadła noc, w jednym z okien rudery błysnęło blade światelko i umarło, zapewne za sprawą kotary. Fosforyzujące wskazówki zegarka poruszały się wolno odmierzając minuty dzielące go od zabijania. Kiedy wskazały jedenastą, zrobił krok w kierunku płotu, potem drugi i trzeci... Zbliżał się niemal po omacku i przez cały czas myślał, co zrobi z psem. Ale psa na szczęście nie było.

Dotknąwszy chłodnego tynku ściany poczuł się pewniej. Przytknął oko do szyby, penetrując wnętrze przez szparę między framugą a odchyleniem kotary.

W dużej izbie lampa naftowa ledwie rozpraszała mrok. Z wielkich wykruszeń tynku wzyierały szorstkie lica kamieni, potężne bloki stropu czerniały nisko nad stołem, obok którego leżała balia i brudne naczynia. Na sznurach rozwieszonych między szafą a

jakimś punktem, którego nie sięgał wzrokiem, wisiła mokra bielizna. Po ścianach i mokrym prześcieradle fruwały cienie owadów kotłujących się wokół lampy. Dawały one pozór życia temu obskurnemu wnętrzu, w którym istoty ludzkie zdawały się trwać w letargu.

Dziewczynka siedziała przy stole i jadła. Miała czarne włosy w lokach i nie była podobnada porwanej. Nieźle ją przerobili – pomyślał. Obok niej rosły mężczyzna w kraciastej, rozpiętej na piersi koszuli wbił łokcie w stół i spoglądał tępo w szklankę wina. Miał na twarzy kilkudniowy zarost, który przeszkadzał Franciszkowi przypomnieć sobie, skąd go zna. Twarz mężczyzny nie była mu obca, toteż przez chwilę mocował się z pamięcią, ale bez skutku. Z drewnianego oparcia krzesła za plecami siedzącego zwisał skórzany pasek od kabury noszonej pod pachą.

Była tam też kobieta. Odwrócona do Madellina tyłem, siedziała na niskim stołku obok starej, dawno wygasłej kuchni i układała na drewnianej skrzyni równe rzędy kart. Brała je z talii troskliwie, czasami z wahaniem, jakby ze strachem, kładła obok już położonych i studiowała uważnie. Jeśli to porządny pasjans, to powinien ci wyjść feralny brunet wieczorową porą – pomyślał drwiąco.

Przez dłuższy czas szukał wzrokiem drugiego mężczyzny. W końcu dostrzegł nogi w butach na łóżku wystającym zza wielkiej szafy. Zastanowił się. Sytuacja nie była dobra. Nie wiedział, czy kobieta ma przy sobie broń, nie wiedział, czy ten na łóżku śpi, nie wiedział, czy mężczyzna przy stole ma spluwę w wiszącej na krześle kaburze, czy za pasem. Mało wiedział. Za mało. Pierwszego trzeba załatwić tego przy stole, ale strzał w półmroku, gdy obok siedzi dziecko... Najgorszy był problem drzwi. Nie wiedział, czy są zamknięte na klucz, a naciśnięcia klamki nie mógł zaryzykować. Jeszcze raz musiał się uzbroić w cierpliwość. Zrozumiał, że musi czekać, może nawet do rana.

Czekał godzinę. Kobieta położyła dziecko spać w sąsiedniej izbie, a pijącemu poleciła obejść farmę i rozejrzeć się. Mężczyzna otworzył drzwi, wyszedł za próg, spojrzął w rozgwieżdżone niebo i ziewnął. W tym samym momencie Madellin, stojąc z ręką wyciągniętą tak, że tłumik niemal dotykał skroni tamtego, nacisnął spust. Kopnięcie w drzwi, dwa skoki, otwarte oczy i usta kobiety, strzał, cichy jak pstryknięcie palcami. Upadła na kuchnię, spadł jakiś garnek, grzmotnęło. Nie widział tego, odwrócony już w kierunku łóżka, ze spustem cofniętym tak, że brakowało dziesiątej części milimetra do strzału.

Nieruchomość śpiącego powstrzymała jego palec.

Mężczyzna leżący na łóżku był stary, miał siwe włosy i zapadnięte policzki ze szkarłatną siatką cienkich żyłek. Madellin podszedł bliżej i przyjrzał mu się. Stara żaloszna poczwarka, której obiecano jakiś ochłap za pilnowanie małej. Śpiący zamruczał przez sen i przewrócił się na drugi bok.

Madellin włożył mu wylot tłumika w muszlę ucha i po raz trzeci nacisnął spust.

Nasłuchiwał. Z pokoju obok nie dobiegał żaden szmer. Zajrzał tam ostrożnie z bronią gotową do strzału. Dziewczynka spała przykryta kocem, widać było tylko czubek jej głowy. Cofnął się i przeszedł wzdłuż ścian kuchni.

Zatrzymał się przy skrzyni okutej na narożach zardzewiała blachą. Ostatnią kartą w najniższym rzędzie był pikowy walet. Na podłodze w kącie izby leżał metalowy krążek. Franciszek podniósł klapę i zajrzał w ciemną czeluść. Zobaczył tylko kilka schodków. Zdjął lampę z półki wiszącej na ścianie i poświecił sobie. Pierwszą przyciągnął do otworu kobietę, potem mężczyzn i zepchnął wszystkie ciała do piwnicy. Zamknął klapę i rozejrzał się. Podszedł do skrzyni, strącił karty na ziemię i przesunął ciężkie pudło w narożnik izby, tak iż całkowicie pokryło klapę. Rozejrzał się i

odetchnął. Było dziesięć minut po jedenastej. Nie przypuszczał, że pójdzie tak łatwo.

Zasunął sztabę w drzwiach wejściowych, położył się na tapczanie stojącym obok łóżka dziewczynki i drzemał snem komandosa, gotowy zerwać się na najłżejszy szmer: Wstał o pierwszym brzasku, odszukał samochód i podjechał nim pod dom. Dziewczynka nie obudziła się, gdy przenosił ją na rękach. Ułożył ją delikatnie na tylnym siedzeniu. Skuliła się jak małe zwierzątko, a na twarzy wykwitł jej motyli uśmiech. Wrócił do domu, wziął poduszkę i koc, którym szczelnie opatulił drobne ciało. Dotykając go doznał uczucia dziwnej nieśmiałości. Ruszył tak ostrożnie, jak jeszcze nigdy w swym życiu, klnąc w duchu każdą wyboinę, która zarzucała wozem. Wyjeżdżając na asfalt odwrócił głowę. Dom był tak samo cichy i martwy jak wczoraj, nic się nie zmieniło. Dziewczynka wciąż spała.

Obudziła się dopiero nad ranem, gdy mijali Vannes. Madellin wybrał trasę zachodnią i unikał większych miejscowości, chociaż miała ze zmienionym kolorem włosów nie przypominała porwanej. Obudziwszy się, przyglądała mu się długo bez słowa, patrząc to na jego plecy, to na twarz odbitą w lusterku.

– Serwus – powiedział.

– Dzień dobry – odpowiedziała z wahaniem. – Kim ty jesteś?

– Świętym Mikołajem.

– Nieprawda, kłamiesz!... Widziałam Świętego Mikołaja, on ma długą białą brodę i czerwoną czapkę... I jeszcze łaskę!

Widział kiedyś Świętego Mikołaja w domu towarowym rozdającego dzieciom reklamówki i zabawki, za które zapłacili ich rodzice. Stał długo i przyglądał się, aż ktoś krzyknął, że blokuje dzieciom dostęp. Zawstydził się wtedy, cofnął i szybko odszedł. Dziewczynka milczała, robiąc obrażoną minę.

– Nie noszę teraz białej brody i czerwonej czapki, bo jeszcze daleko

do Nowego Roku – wyjaśnił.

– Nie wierzę ci – odburknęła. – Święty Mikołaj nie jeździ samochodem, a ty jeździsz. Nie oszukuj, bo to bardzo nieładnie! Mój tatuś powiedział, że kto oszukuje, idzie do piekła!

A kto nie oszukuje, idzie do dna – chciał odpowiedzieć, ale się powstrzymał. Twój stary, mała, ma już piekło zagwarantowane jak w szwajcarskim banku. Gdyby nie oszukiwał, nie poznalibyśmy się, bo nie miałby milionów i nikomu nie chciałoby się ciebie porywać. Naraz uświadomił sobie, że byłoby mu przykro, gdyby się nie poznali i pomyślał cieplej o de Tournonie i o jego milionach, które sprawiły ten cud. Dziewczynka też myślała zawzięcie i wreszcie wymyśliła.

– Jak mi powiesz, kim jesteś, to powiem ci, kim ja jestem. Chcesz?...

– No?... Ja jestem Alicja... Widzisz, mogłam cię oszukać i powiedzieć, że jestem Alicją z Krainy Czarów, a powiedziałam ci prawdę, że jestem zwykłą Alicją. Teraz ty powiedz.

Madellin roześmiał się.

– Zgoda. Jestem Ludwik. Wiozę cię do twoich rodziców.

Dziewczynka klasnęła w ręce, piszcząc z radości:

– Naprawdę?... Och, to cudownie, znudziły mi się już te wakacje! Cały czas musiałam siedzieć w pokoju i było tam brudno i jedzenie było brzydkie i wiesz, nie miałam się z kim bawić. I tam śmierdziało... Naprawdę jedziemy do domu?

– Nie od razu. Najpierw pojedziemy do innego domu, a stamtąd za dzień, dwa lub trzy wrócisz do rodziców.

– A nie możemy od razu? – dziewczynka wyraźnie posmutniała.

– Nie.

– No to trudno... Ale za dwa dni, obiecujesz?

Madellin zastanowił się.

– Nie... nie wiem. Może to potrwać... tydzień, to nie ode mnie

zależy...

- No więc za ile?
- Bo ja wiem, może dziesięć dni...
- Mówiłeś, że trzy! Znowu oszukujesz!
- Pomyliłem się, teraz już nie oszukuję.
- No dobrze, ale obiecaj, że najpóźniej za dziesięć dni!

Dziesięć dni powinno szefowi wystarczyć, aż za dużo. Franciszek szybko podliczył w myśli ile mogą potrwać ostatnie rozmowy. Wszystko już było przecież uzgodnione...

- Obiecuję, jeśli ty mi coś obiecasz – powiedział. Zgoda?

- Zgoda!

- Posłuchaj, mała. Kiedy cię ktoś po drodze zapyta, jak się nazywasz, powiesz, że Klara Duval. Zapamiętaj : Klara Duval. Zapamiętasz?

- Dobrze, obiecuję.

- Ale czy zapamiętasz?

- Klara Duval – powtórzyła dziewczynka – czy tak?

- Doskonale, masz świetną pamięć.

- A obietnica? Ja już ci obiecałam, teraz ty!

- Też obiecuję.

Mijali wsie i miasteczka, lasy i pola, wielkie skrzyżowania i stacje benzynowe. Na jednej z nich Madellin kupił dziecku paczkę cukierków, ale przedtem, zanim zatrzymał wóz, upewnił się:

- Pamiętasz, jak się teraz nazywasz?... To znaczy jak masz mówić, kiedy...

- Klara Duval – odpowiedziała dziewczynka.

- Brawo! Nie pomyliłem się, masz rzeczywiście dobrą pamięć.

- Wiem. Pani w szkole powiedziała, że jestem bardzo zdolna.

Wszystko pamiętam i wierszyków uczę się najszybciej... Chcesz, powiem ci wierszyk o...

- Poczekaj, teraz zatrzymamy się, dostaniesz w nagrodę cukierki.

Dziewczynka aż podskoczyła z uciechy.

– Kup takie długie czerwone! – krzyknęła, kiedy wysiadał.

Długich czerwonych nie było, ale te, które kupił, też jej smakowały. Obserwował w lusterku, jak ssie jeden po drugim mlaskając głośno. Każde mlaśnięcie było jak uśmiech, nigdy dotąd nie czuł się tak szczęśliwy. Naraz dziewczynka dotknęła jego ramienia.

– Zatrzymaj się!

– Po co?

– Muszę się wysiusiać!

Zjechał na pobocze. Potem znowu mijali wsie i miasteczka, a dziewczynka powiedziała mu dwa wiersze i za, śpiewała piosenkę „Sur le pont d’Avignon”. Pod koniec nucili razem... Kiedy poczuła głód, zatrzymał się znowu przy dużej stacji benzynowej, kupił kilka kanapek i sok pomarańczowy. Sam nie jadł, nie czuł głodu. Dziewczynka, skończywszy jeść, powiedziała:

– Wiesz co, zagrajmy w coś. Znasz zabawę w trzy koty za płoty?

– Nie.

– A w kapelusze?

– Też nie.

– Ojej, to ty nic nie znasz? Dlaczego twoja mamusia nie nauczyła cię?... Powiedz jej, zaraz jak wrócisz do domu, żeby cię nauczyła... Albo nie, ja cię nauczę.

– Nie teraz, mała, nie mamy czasu. Musimy szybko dojechać na miejsce.

– No dobrze, ale nie zapomnij powiedzieć swojej mamusi, żeby cię nauczyła. Czy ona kupuje ci zabawki?

– Tak – burknął na odczepnego.

– A lody?

– Też.

– A ty kupisz mi loda? Tak dawno już nie jadłam loda...

W najbliższym wiejskim sklepiku kupił jej porcję lodów.

Skończywszy lizać stwierdziła z przekonaniem:

– Twoja mamusia musi być śliczna.

– Dlaczego? – zdziwił się.

– Bo kupuje ci zabawki i lody... A w ogóle to wszystkie mamusie powinny być śliczne. Moja jest bardzo śliczna, twoja też, prawda?

Ledwo pamiętał matkę. Należała do tych matek, które nie znają ojców swych dzieci. Wykończyła się w tanim burdelu w Oranie. Nie kupowała mu nic poza łałkami i książkami do nauki. Kiedy umarła, zwał ze szkoły, pamiętał, że miała czarne włosy, wielkie czarne oczy, których nie odziedziczył, okrągłe kolczyki w uszach i wąskie żylaste dłonie z żółtymi bransoletami, które brzęczały czułością, kiedy się przytulał zbity pałkami przez policjantów.

Obiad zjedli w Bergerac. Dziewczynka gryzła powoli, musiał pokroić jej mięso na drobne kawałki i usunąć żyły. Niecierpliwił się. Czekać, aż skończy jeść, zauważył przez szybę restauracji policjanta zaglądnącego do alfa romeo.

– Poczekaj, zaraz wracam! – szepnął dziewczynce i wybiegł.

Okazało się, że zaparkował w niewłaściwym miejscu. Zapłacił mandat i odprowadził wóz na pobliski parking. Kiedy wrócił, miejsce dziewczynki przy stoliku było puste. Poczł, jak robi mu się słabo, a nie była to obawa przed Casaltą. Zaczepił kelnera:

– Garçon, gdzie jest ta mała?

– Która mała, proszę pana?

– Ta, która była ze mną! – krzyknął.

Kelner wytrzeszczył oczy i jęknął:

– Boże, to boli! Ouuuu!... Niech pan mnie puści!

Rozluźnił uścisk na ramieniu przerażonego chłopaka.

– Gdzie ona jest?!

– Nie wiem... naprawdę nie wiem. Siedziała tu sama i jadła. Potem wyszła z jakimś facetem.

– Kiedy?!

– Przed chwilą, dopiero co... ja nic nie wiem, proszę pana, ja...

Wybiegł półprzytomny. W drzwiach dogoniły go słowa barmana: „wariat, prawdziwy wariat, widzieliście, jak patrzył na Karola?” Skręcił w boczną uliczkę i przebiegł kilkanaście metrów, zawrócił pędem i dotarł do drugiej – ani śladu dziewczynki! Na czoło wystąpił mu pot, a pod czaszką pojawił się obraz zbrodźcy zrywającego z małej odzienię. Madellin czytał o takich.

Chryste, musi go dopaść zaraz, bo będzie za późno, musi go rąbnąć tak, że łeb rozprysnie się o ścianę, będzie bił, aż zabije, zatłucze ścierwo, zakopie na śmierć, wydrze z niego bebechy...

– Hej, gdzie byłeś?

Odwrócił się gwałtownie. Stała przed nim i patrzyła karcąco, jakby to on się zgubił. Pochylił się, podniósł ją i przytulił, zamykając oczy.

– Szukałem cię... Gdzie byłaś?

– Robiłam siusiu.

– Przecież już robiłaś po drodze.

– Tak, ale teraz robiłam też kupkę.

– A ten człowiek?

– Jaki człowiek?

– No ten, z którym wyszłaś!

– Ten pan pokazał mi, gdzie jest ubikacja. Była podwórku i było tam okropnie brudno, ale była umywalka i umyłam ręce.

– Dobrze. Chodź, musimy jechać dalej.

– A kupisz mi komiks?

– Kupię.

– To chodź, tutaj obok można kupić *Asterixa* i *Pouffa*.

Kupił kilka książeczek, które ona oglądała w czasie jazdy. W pewnej chwili podsunęła mu pod nos otwartą stronę, pytając:

– Co tu jest napisane?

– Słuchaj, Alicjo, nie mogę czytać i prowadzić samochodu!

– Ale przeczytaj tylko to, więcej nie chcę...

– Przestań, mała, i zabierz mi to sprzed nosa!

Nadała się i milczała przez chwilę, by nagle wybuchnąć:

– Wcale nie jestem mała, jestem prawie najwyższa w klasie! Tylko Sylvia i Mireille są ode mnie wyższe. Jak będziesz mówił do mnie mała, to nie będę się do ciebie odzywać, zobaczysz!

– A jak mam do ciebie mówić?

– Tak jak już raz powiedziałeś: Alicjo.

– Dobrze, Alicjo.

Wieczorem Madellin był już bardzo zmęczony, wołał jednak nie ryzykować zatrzymywania się na noc w hotelu. Dziewczynka zasnęła w trakcie oglądania mijanych krajobrazów, jeszcze przed nadejściem zmroku. Zatrzymał wóz, okrył ją kocem i podłożył zamszą poduszkę pod głowę.

O drugiej w nocy dojechał do Cannes. Nad wejściem do willi paliło się światło. Nacisnął dzwonek przy furtce, raz krótko, dwa razy długo i jeszcze raz krótko. Odczekał minutę i powtórzył ten sam kod. Po chwili z głośniczka przy skrzynce na listy rozległ się zaspany głos:

– Kto tam?

– To ja, Madellin.

– Psiakrew! Ale sobie wybrałaś porę!... Zaraz, już idę.

W otwartych drzwiach ukazał się człowiek w szlafroku. Mario.

– Masz małą? – spytał Franciszka.

– Mam.

– To dobrze, stary się ucieszy. Wprowadź wóz do garażu, stamtąd jest wejście do domu.

W małym pokoju z dwoma łózkami zdjął dziewczynce buciki i położył ją. Sam również zasnął, prosząc przedtem Maria o zwiadomienie szefa.

Casalta zjawił się przed południem w towarzystwie „Rubina” i jeszcze jednego goryla. Poklepał Madellina po ramieniu.

– Ładnie się spisałeś, Tino, piękna robota. Możesz teraz odpocząć, a ty Louis – skinął na jednego z goryli, tego, którego Franciszek nie znał – kupisz żarcie dla małej na cały tydzień. Wsadzisz do lodówki, a jak skończy, kupisz następny zapas.

– To nie oddajemy jej od razu, szefie? – spytał dellin.

– Nie, Tino, zmieniłem plan.

Madellin osłupiał.

– Szefie, ale...

– Co za ale, Tino? Umiesz liczyć? Czy dwadzieścia milionów to więcej niż dziesięć?.. Prawda, że więc Twój udział też się podwoi.

– Szefie, taka kupa forsy... On się nie zgodzi, była mowa o dziesięciu...

– Była, ale teraz będzie inna. Teraz my ją mamy, dzięki tobie, Tino.

Sytuacja trochę się zmieniła od czasu, kiedy kochający tatuś poprosił nas o pomoc. Zmieniły się więc i nasze warunki. Nie martw się, on ma tyle forsy, że nie zdechnie z głodu. Ma dać dwadzieścia i da!

– A jak nie da?

Casalta uśmiechnął się.

– Czy wiesz, Tino, co to jest strach?

– Wiem, szefie.

– Nie wiesz, nigdy nie miałeś dziecka. Wiesz, co to jest strach o własne dziecko?... To jest okropna rzecz, Tino. To jest coś takiego, że gdyby nawet on nie miał tej forsy, to napadłby na bank, żeby ją zdobyć... Ale ma i szybko zmięknie. Nie oddamy jej tak od razu, poczekamy, aż ten strach rozplaszczy go. Zawiadomimy go tylko, że mała pójdzie na papu dla robaczków, jeśli on nie zorganizuje tej forsy. On już wie, co to jest strach o własne dziecko i trzeba tak zrobić, żeby zesrał się z tego strachu!

Madellin wciągnął głęboko powietrze i poczuł, że ten strach, którego nie znał do tej pory, wypełnia mu płuca do bólu.

– Szefie – spróbował jeszcze raz – ona jest zmęczona tym wszystkim. Powiedziałem jej, że zaraz wróci do domu. Szefie...

– Oszalałeś, Tino?

– Szefie, obiecałem jej... myślałem, że...

Casalta machnął nerwowo ręką.

– Koniec gadania! Nie jesteś tu od myślenia, Tino, zrobiłeś swoje i to dość! Za dużo sobie pozwalasz! Przestań bredzić i połóż się spać albo idź na dziwki!... Obiecał, dobre sobie! Co ty tu masz do obiecywania?!

Zapadło napięte milczenie. „Rubin” stał pod ścianą i uśmiechał się złośliwie gębą żującą miętówki. Casalta podszedł do zmartwiałego Madellina i odezwał się łagodniej:

– No już dobrze, Tino, rozumiem, że jesteś trochę zmęczony. Idź wypocząć i nie kłopotz się o nic... Nie można inaczej, mój chłopcze, musimy ją przetrzymać trochę, żeby tatuś bardziej spuchł ze strachu. Potem oddamy mu ją, ale za dwadzieścia milionów. Będzie musiał je bulnąć, jeśli chce w ogóle zobaczyć małą... Tino!? Co robisz?! Tino, na miłość boską, nie, nieeeeeee!!

Nigdy jeszcze nie musiał działać z taką szybkością. Po pierwszym strzale, który przedziurawił brzuch Casalcie, miał zaledwie dwie, trzy sekundy na goryli i to bez możliwości celowania. Walił niemal na oślep, posługując się bardziej rutyną niż wzrokiem. Udało się – pierwszy dostał w sam środek czoła i znieruchomiał w fotelu z odrzuconą głową. „Rubin”, trzymający już spluwę w dłoni, trafiony w pierś zwinął się jak szmata na ziemię. W tej samej chwili otworzyły się drzwi i Madellin rąbnął z półobrotu w ich światło. Szarpnęło go coś, ujrzał Maria osuwającego się powoli, wzdłuż futryny, z pistoletem w dłoni, i poczuł straszliwy ból w piersi. Próbował wstać z kolan i podejść do telefonu, ale ból przygwoździł go do podłogi.

W drzwiach pokazała się dziewczynka. Przestąpiła z uśmiechem ciało Maria i powiedziała:

– Dzień dobry... bawicie się jak w telewizji?

– Słuchaj, Alicjo – wyszeptał z trudem – podaj mi telefon...

Wykręcił numer policji i mocując się z bólem poinformował, gdzie zastaną Alicję de Tournon. Ze słuchawki, którą upuścił, dobiegał jeszcze potok gorączkowych pytań, ale on leżał i wiedział, że ma już to wszystko za sobą, wszystko, całe parszywe życie. Widział w tym życiu wiele podobnych ran i nie miał złudzeń. W ustach robiło mu się słodko od krwi i nie rozumiał, dlaczego o tej porze zapada zmrok.

Dziewczynka usiadła na podłodze obok niego.

– Pamiętasz, co mi obiecałeś? – spytała.

– Tak, jeszcze... jeszcze dzisiaj zobaczysz... rodziców.

– Co ci jest?... Jesteś chory?

– Ta... taaak...

– To się zmartwi twoja mamusia. Nie powiedziałeś mi wtedy, czy jest śliczna?

– Jest.

– Widzisz, wiedziałam, że tak... Co będziemy teraz robić, chodźmy może na lody?

– Nie... nie mogę... nie mogę... mówić... teraz... zaaa... zasnę, mała... a ty... cze... czekaj...

W kilka minut później zjawił się w willi Maria inspektor Leclerc ze swoimi ludźmi. Jeden z nich, patrząc na obfotografowywane ciało Madellina, powiedział:

– To był najgorszy „profi”, o jakim słyszałem, zupełnie zwierzę...

– Przecież nie zrobił tego z dobrego serca, prawda, panie inspektorze?

Leclerc spojrział na mówiącego dziwnym wzrokiem i odwrócił się do okna, po którego szybach zaczęły spływać pierwsze łzy deszczu.

Jeżeli uznacie, że opowiadania, które znajdują się na następnych stronach, to kryminały, czyli historyjki o zbrodniach i karach - będziecie mieli rację, ale niech Bóg zlituje się nad wami. W istocie są to apologetyczne portrety Perfidii, która rządzi obrotami ludzkich spraw, niewidoczna u źródeł, lecz zabójcza w finałach. Zważcie, iż każdy zostaje tu oszukany, a najbardziej wy przy końcu każdej z tych bajek, albowiem dwa razy dwa tylko czasami równa się cztery. Czuwa nad tym bogini Perfidia, bez której życie byłoby smutne jak bat bez grzbietu.

Valdemar Baldhead

